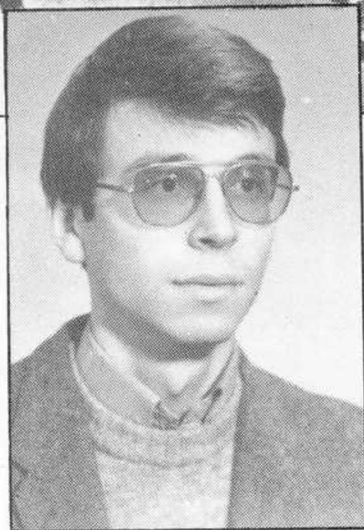
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

2(65) LUTY 1988 CENA 100 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



DARIUSZ CHOJNACKI



Dariusz Chojnacki ma 25 lat, studiuje socjologię na UAM w Poznaniu. Jego pierwsze grafiki powstały w latach 1982–84 dla poznańskiego klubu „Orbita". Później przyszły próby z kolorem, a ich wynikiem była stała obwoluta do fanzinu „Kwazar". Obecnie współpracuje z wydawnictwem „Alfa", dla którego wykonał kilka projektów okładek.
Prezentowane obrazy powstały w roku ubiegłym.

DARIUSZ CHOJNACKI


Andrzej Brzezicki

16

Pełen sarkazmu humor, wartka akcja, błyskotliwe dialogi – oto walory opowiadania Karla Michaela Armera „Przez wszechświat gnam, szubiduba'', które najprawdopodobniej sprawiły, że znalazło się ono wśród najlepszych utworów europejskiej SF, zestawionych w wydanej w USA antologii „The Best of European SF''. Proponując to właśnie opowiadanie naszym Czytelnikom przypominamy, że drukowaliśmy już trzy inne opowiadania Armera („Fantastyka'' nr 6/86, 11/86, 11/87).

Opowiadania i nowele

Mark Clifton
Co ja zrobiłem? **4**
„...Siedział sobie po drugiej stronie biurka, a ja nawet nie miałem pojęcia jakie ma zamiary. Nie wiedziałem, jakie są motywy jego postępowania. Nic nie wiedziałem – bo i skąd? Skoro przez całe życie poznajemy naszych bliźnich, to ile czasu potrzeba na to, by poznać istotę z gwiazd?

Lubomír Macháček
Pomocnik domowy **13**
„...Odpytywałem Pepika w przerwach hokejowego meczu. Bardzo mu się to nie podobało, ale nad nami stała Zdena i za każdym razem, kiedy tylko mnie nie usłuchał, dawała mu w łeb...''

Karl Michael Armer
Przez wszechświat gnam, szubiduba **16**
„...Chłopcy siedzieli rozwaleni w fotelach, gadając coś bez ładu i składu, jeden przez drugiego. Rzecz jasna, same głupoty. Ale na pokładzie tego statku kosmicznego to nic nowego: chrzani się tak już od pięciuset lat. Można się przyzwyczaić...''

Powieść

Norman Spinrad
Jeździec na pochodni **21**
Nagrodzona Jupiterem w 1975 r. mikropowieść amerykańskiego autora znanego już naszym Czytelnikom (patrz: „Fantastyka'' nr 8/87).

Z polskiej fantastyki

Piotr N. A. Gociek
Wielka ucieczka
Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki'' **45**
„...Schowany za murem moich humanistycznych poglądów walczyłem ze wszystkimi grzechami ludzkości...''

Katarzyna Kuligowska
Sprawa honoru **46**
„...Nie zwiódł mnie spokojny ton jego głosu, odskoczyłem uderzając plecami o ścianę. Nóż Attabo przekroił ze świstem powietrze...''

Maciej Parowski
Mildgor **48**
„...– Obcokrajowcy won stąd – wrzasnąłem po niemiecku, patrząc prosto w jego wyblakłe oczy. – Gnida z Księżyca nie będzie przeszkadzać, kiedy dwaj szwajcarscy obywatele zechcą ze sobą porozmawiać w swoim kraju!''

Krytyka

Słownik polskich autorów fantastyki **55**
Maciej Parowski (ur. 1946) – dziennikarz, prozaik, krytyk filmowy, kierownik działu literatury polskiej w naszym miesięczniku. Na str. 48 fragment jego nowej powieści „Mildgor''.

Adam Hollanek
A jednak romantyzm **56**
„...niesamowita atrakcyjność opakowań, przesłań fantastycznych stała się zarówno nadzieją, jak i nieszczęściem fantastyki...'' – referat przygotowany na sympozjum naukowe „SF w kulturze współczesnej'', zorganizowane przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Zakład Nauk Społecznych Politechniki Rzeszowskiej.

Recenzje **58**
„Fiasko'' Stanisława Lema uważa się za jego powrót do typowej SF. Przedstawiamy recenzję Leszka Bugajskiego oraz fragmenty omówień drukowanych za granicą.

Spotkanie z pisarzem

Konrad Fiałkowski **60**
„...jestem z innej grupy profesjonalnej, tej od nauki, a nie tej od literatury...''

Nauka i SF

Arka Noego 1988 **62**
Kosmiczna kolonia Ziemian „Biosfera II'' powstaje na... arizońskiej pustyni! – Maciej Iłowiecki o przygotowaniach do zasiedlenia Księżyca.

Film i fantastyka

Horror znaczy straszyć **III**
„Diabelski nieboszczyk 2'' (reżyseria Sam Raimi) według naszej recenzentki zamiast widzów straszyć

...3...2...1...



Podobnie jak w zeszłym roku, również i w tym, o tej samej jesiennej porze, zaproszono mnie do Polskiego Radia, którego Program Czwarty sporo czasu antenowego poświęca nauce i science fiction, i zaproponowano udział w jury konkursu na słuchowisko fantastyczno-naukowe i popularnonaukowe. Oczywiście chodziło o osąd nadesłanych, w ilości około trzech czwartych tysiąca, słuchowisk – form niełatwych, jeśli zważyć, że na kilkunastu stronicach maszynopisu trzeba zmieścić dramat, który przykułby uwagę słuchaczy, nie zaś widzów.To rzeczywiście sztuka.

Większość utworów była na szczęście sprawnie napisana, choć bardzo niewiele stało na odpowiednim poziomie dramaturgicznym i literackim. Konkursy organizowane przez radio już od wielu lat zdołały widać wykształcić kadrę osób, najczęściej amatorów, którzy jednak, obsyłając z roku na rok konkurs, zdobyli już pewne kwalifikacje pisarskie i nieźle nawet sobie radzą. Najlepsze rzeczy piszą bowiem właśnie ci, co często stają w szranki z innymi rywalami do publikatorskich laurów. I tutaj się rodzi zasadnicze pytanie, zadawane sobie także przez nas, zespół „Fantastyki": czy potrzeba takich konkursów i jaką one rolę pełnią, komu i czemu służą.

Odpowiedź wcale nie należy do prostych i znalazłoby się natychmiast wielu przeciwników imprezy, wybrzydzających na dominującą z konieczności amatorszczyznę, dyletantyzm itd. itd., a przecież, jak mówił niegdyś Boy Żeleński, którego maksymy szybko przylegały do życia potocznego i wchodziły w obieg – „dyletantyzm zabija Polskę". To prawda, że nie jedynie w sztuce i nie jedynie w środkach masowego przekazu mnóstwo u nas zabójczego dyletantyzmu, że mnóstwo osób po prostu partaczy robotę, zabierając się nie do swoich spraw, udając fachowców – naukowców, pieśniarzy, aktorów, mechaników, inżynierów – listę tę dałoby się długo ciągnąć. Z drugiej jednak strony mnóstwo argumentów za amatorszczyzną, czyli – jakby powiedzieli co złośliwsi – i za dyletantyzmem. Rzadko się przecież zdarza, żeby jakiekolwiek hobby uprawiało się zawodowo i zawodowstwo bywa, w tak pojętym zainteresowaniu jakąś dziedziną – niepotrzebne. Znacznie bardziej drażni nas przecież upadek naszego piłkarstwa – co tu dużo mówić – w pełni zawodowego, niż to, że nędznie czy po amatorsku grają drużyny miłośników tego sportu.

Z hobbystów, z amatorów, składa się większość publiczności literackiej, kibiców sportowych, miłośników malarstwa, majsterkowania, modelarstwa, fantastyki we wszelkich jej postaciach. Ostatecznie z amatorów – miłośników rekrutują się również późniejsi, często znamienici, zawodowcy, a znałem doskonale kilku wybitnych uczonych – że wymienię tu choćby nieodżałowanej pamięci przyrodnika najwyższej klasy – prof. Władysława Szafera, który twierdził, że spojrzenie amatora i jego opinia nie raz i nie dwa naprowadza zawodowych naukowców na właściwe drogi, to samo kiedyś powiedział mi jeden z najświetniejszych polskich astronomów, profesor Eugeniusz Rybka, który swoją wspaniałą karierę światową rozpoczynał od poezji Owidiusza, opisujących ciała niebieskie i od pełnej ciekawości obserwacji czysto hobbystycznej zjawisk niebieskich. Z tym dyletantyzmem więc różnie bywa i przez pryzmat sympatii i pożytku z amatorszczyzny należy oceniać także i konkursy literackie dla amatorów, pozbawione wszelkiej klauzuli zawodowstwa.

Tak jest, szczególnie w sztuce i to nie tylko w tej najbardziej współczesnej nieraz zacierały się i zacierają różnice między artyzmem zawodowym a artyzmem naiwnym. Są to zresztą na ogół rzeczy dość oczywiste – nasza książka „Trzecia brama", zestawiona z utworów laureatów konkursu pierwszego w „Fantastyce" i opublikowana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, ukazała w sposób dość przejrzysty trendy współczesnej fantastyki, modę panującą w tej dziedzinie i wyłoniła kilka talentów, mających szansę ugruntowania swojej obecności na łamach czasopism i kartach książek. Dawno już zresztą zauważył badacz zjawisk literackich, profesor Bystroń, że nawet grafomani, czyli maniacy pisarstwa, za wszelką cenę i wszelkimi środkami pchający się na afisz, mogą być zaczynem czy ważnymi udziałowcami środowisk i wydarzeń pisarskich.

Niewątpliwie konkurs organizowany przez IV Program Polskiego Radia należałoby pod tym kątem ocenić i ze wszech miar pochwalić, szczególnie że popularyzatorów nauki brakuje, o czym niejednokrotnie mówiono i pisano, a tutaj trzeba przekazywać nie najłatwiejsze treści w możliwie najbardziej atrakcyjnej, a nawet i literacko zgrabnej formie. Jest więc ten konkurs z jednej strony sondażem zainteresowań radiosłuchaczy, kilkumilionowej ich rzeszy – to rzecz niebagatelna! – z drugiej zaś strony jest także swego rodzaju szkółką, kształcącą umiejętności wypowiedzi, wykładu, zręczności pisarskiej.

Zwraca jednak uwagę kilka zjawisk, godnych artykulacji. Przede wszystkim zmniejsza się liczba popularyzatorów treści humanistycznych – czy też, mówiąc precyzyjniej, spraw i treści zawartych w takich naukach, jak socjologia czy historia, bardzo mało utworów zajmuje się postaciami godnymi studiów i publikacji. Równocześnie następuje jak gdyby ucieczka od tematów związanych bezpośrednio z naukami ścisłymi, nie manifestują się także dostatecznie zainteresowania tematyką ekologiczną, zajmującą przecież tak poczesne miejsce we współczesnej fantastyce, wyczerpują się pomysły fantastyczne, będące przecież głównym czynnikiem twórczym literatury science fiction. Jury miało więc dość trudne zadanie, aby wyłonić trzech laureatów nagród i trzy osoby wyróżnione. A ponieważ staramy się w naszym piśmie ukazywać różne formy i treści fantastyki, postanowiliśmy poprosić kierowników IV Programu PR o pozwolenie na druk kilku nagrodzonych prac i wkrótce je zaprezentujemy, prosząc o opinie Czytelników.

Do następnego orbitowania, niestety jeszcze chyba w zimie.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Nakład 200 000 egz.
Zam. 120/88 U-69

NR INDEKSU [illegible] PL ISSN [illegible] © Copyright by Fantastyka [illegible]

Czytelnicy i „Fantastyka"

Lądowanie LX

Strasznie dziwaczne i zaskakujące są niekiedy propozycje Czytelników, poddaję je pod dyskusję, proszę się w niej nie oszczędzać, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy dość istotne. Dla większości osób istotne zaś są pieniądze; wydawanie ich na ulubione lektury. Oto opinie na ten temat, sprzeczne, a czasem wręcz skrajne, budzące nieraz w nas, redaktorach, odruch obronny.

Jesteście za tani

To certowanie się z cenami „Fantastyki" i innych poczytnych pism powoduje niepotrzebne zjawiska. Po prostu „Fantastyka" jest już w tej chwili zbyt tania, a przecież gdybyście dodali trochę tekstów i zwiększyli nakład i objętość, to śmiało można by brać za nią dwa razy tyle co kosztuje obecnie. Dzisiaj dla najmłodszego nawet miłośnika SF wydanie dwóch czy trzech setek to wydanie groszy, a czy wy chcecie być pismem za grosze, czy to się wam kalkuluje, czy to zachęca do walki o poziom...

Janusz Rokicki z Warszawy

Popatrzcie kochani ile osób kupuje „Fantastykę" po podwójnej czy nawet potrójnej cenie na bazarach, czy w ramach tej Waszej zbyt rzadko drukowanej rubryki „komu – komu". I to są uczniowie i studenci, nie żadni bogacze, zrozumcie wreszcie: mnóstwo osób przestało kupować takie pisma jak „Kultura", jak „Życie Literackie", nie każdy gustuje w „Przeglądzie Kulturalnym", w „Literaturze", czy „Miesięczniku Literackim". Nikomu jakoś nie strzeliło do łba, żeby robić literackie czasopismo dla wszystkich, czy dla prawie wszystkich, takie jak „Fantastyka", dlatego po prostu macie powodzenie, dlatego te ceny na różnych placach i przy różnych kupnach z drugiej ręki. Windujcie ceny, niech zgnije drugi rynek. Wolę wam płacić niż pośrednikom... **Jan Grocerak** z Gdańska

Elitarność zarżnęła w tym kraju kulturę i będzie ją zarzynać nadal, a wy się nie cieszcie zbytnio, bo tylko dlatego macie powodzenie, że umiecie polować na tę popularność, wy jedyni, którzy śmiecie podpisywać swe pismo literackim, a przecież przeznaczonym dla tłumu. Uważajcie, żeby nie przekroczyć granic, nie oddalić się od tego, co ludzie lubią, albowiem wtedy was przestaną lubić i będzie klops.

Julia Restyńska z Katowic

Bez tajemnic

Konieczne jest wprowadzenie prawa ograniczającego tajność twórczą, gdyż bez tego marna jest przyszłość urzeczywistnienia wielu wynalazków i spełnienia fantastycznych pomysłów. Rozczarowanie, gorycz, brak zaufania do ludzi nauki i niedostatecznego postępu, to między innymi skutek panoszenia się międzynarodowej manii utajniania twórczości różnego rodzaju. W takiej sytuacji obietnice szczęśliwszego życia mogą się nigdy nie spełnić.

Imre Sławiński z Łodzi

Przyszedł czas tłumaczenia różnych białych plam, które utrudniają stosunki międzyludzkie, budzą niepokój i brak zaufania. Mnie się wydaje, że dotyczy to nie tylko lecz także, w nie mniejszym stopniu, współżycia w jednym narodzie, w pojedynczych grupach społecznych. W naszych szkołach nikt jednak nie wyjaśnia naszej historii, nie tłumaczy nam dlaczego mieliśmy takie trudne lata po wojnie, tak samo o tym się nie mówi, jak i na naszych lekcjach nie podaje się właściwie żadnych prognoz przyszłościowych, szkoła uczy tylko formuł i formułek, co tydzień organizuje sprawdziany z wykutych faktów i dat, ale myśleć o przyszłości, teraźniejszości i przyszłości nikomu się nawet gadać, a nie tylko uczyć nie chce. Zdaję wkrótce maturę i czuję się do niej nie najgorzej przygotowany, ale matura oznacza dojrzałość nie tylko do dobrego, prawidłowego wypisywania wzorów i rozwiązywania zadań, moi starsi koledzy mówili mi, że z dojrzałości życiowej, dojrzałości intelektualnej nikt nikogo nie pyta. Fantaści, pomóżcie!

Jacek Druh z Poznania

Śmieszy mnie podział na młodzież i dorosłych – podział, którego granica przebiega rzekomo w okolicy trzydziestego roku życia. Oczywiście ktoś na tym podziale korzysta, zarabia forsę, przechwytuje władzę, ale czy naprawdę jest jakakolwiek różnica między trzydziesto- i czterdziestolatkiem, dwudziesto- i pięćdziesięciolatkiem. Te podziały mają coś z dawnej łacińskiej zasady „divide et impera", „dziel i rządź". Najmniej służą dzielonym i rządzonym. Dlatego pytam czy warto dzielić także i „Fantastykę" na „Małą" i „Komiks", czy nie lepiej byłoby za większe pieniądze dać w jednym wydaniu wszystko dla wszystkich – to znaczy przy większej objętości i bogatszym rozrzucie tematycznym. „Fantastyka" jest jedna, po co ją dzielić?

Robert z kolegami
z Poznania

Nie wzywać do plagiatów

Ten „Wiedźmin", którego tak wychwalacie (także i niektórzy czytelnicy) jest w gruncie rzeczy plagiatem, cały opiera się na legendzie i to legendzie już opracowanej literacko, a więc nie można tu mówić o jakimś praźródle, tylko o dalszej, wcale przy tym nie gruntownej przeróbce materiału. I niech mi tutaj nikt nie mówi, że Szekspir tak robił, że Mickiewicz, że Słowacki, że nasz Chopin w muzyce czy także Szymanowski. Boję się, że Wasz mało krytyczny stosunek do plagiatu zachęci wielu mniej rozgarniętych i mniej utalentowanych grafomanów do przepisywania z innych autorów i po kilku przeróbkach podawania takiego „dzieła" za swoje. I co wy na to? Dostaniecie za swoje, gdy przyjdzie Wam wyczytywać i rozróżniać dziesiątki i setki grafomańskich kalkomanii.

Jan Struś (pseudonim?)
z Warszawy

Wkrótce fantastyce zarówno krajowej, jak i zagranicznej zabraknie oryginalnych tematów, i co wówczas, co się będzie pisało, ściągawy? Te wydawcy i zapewne także i redaktorzy „Fantastyki" odrzucą, a zostanie im – wielkie nic, i to będzie początek końca literatury SF, którą trudno nie tylko pisać, ale w ogóle wyobrazić sobie bez prawdziwych, chwytających za gardło, pomysłów...

Gerard Konczyński
z Berlina Zachodniego

No i co Państwo na takie dictum, czekam na opinie, na sprzeczkę, na wyrywanie wzajemnie włosów.

Redaktor

Mark Clifton

Co JA ZROBIŁEM?

(What Have I Done?)

Tak, to musiałem być ja. Głupotą byłoby upierać się, że ten ciężar powinien spaść raczej na jakiegoś wielkiego męża stanu, przywódcę czy znanego naukowca. Z całą skromnością, na jaką mnie stać, uważam, że jestem jednym z nielicznych, którzy potrafiliby odpowiednio wcześnie wyczuć niebezpieczeństwo i zapobiec nieszczęściu. Mam pewien specjalny talent. To właśnie jemu wszystko zawdzięczam. Mianowicie znam się na ludziach.

Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, płaciłem właśnie w sklepiku za papierosy. Facet stał przy stelażu z czasopismami. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Z drugiej strony podobną minę ma wielu ludzi nie mogących się zdecydować na jedną, ściśle określoną rzecz.

Zaniepokoił mnie tylko fakt, że nie mogłem go rozpoznać.

Są tacy, którzy mogą porównywać się ze mną, jeżeli chodzi o liczbę przypadków, z jakimi mieli do czynienia, ale to właśnie ja zwróciłem uwagę na tego faceta. Przez trzydzieści lat słuchałem ludzi, rozmawiałem z ludźmi, radziłem ludziom – w sumie sporo ponad dwustu tysiącom. Nie były to takie sobie rutynowe pogaduszki. Każdemu z nich miałem do zaoferowania wrażliwość, współczucie i inteligentne zainteresowanie.

Moją obsesją była chęć jak najlepszego poznania ludzi. Nie tak, jak to czyni zachodnia nauka, tworząc narzędzia i wzory służące do mierzenia z drobiazgową dokładnością zewnętrznych powłok żywych robotów, ignorując jednocześnie tkwiącego pod tą powłoką człowieka. Ani nie tak, jak to czynią różne wschodnie filozofie, chcące poznać człowieka na podstawie obrazu, jaki na ułamek sekundy wywoła we mgle jego oddech.

Starałem się korzystać z obydwu tych szkół. Muszę stwierdzić, że nie bez sukcesów.

Doświadczony geograf potrafi rzucić okiem na fragment odręcznie narysowanej, konturowej mapy i błyskawicznie umiejscowić przedstawiony na niej obszar kuli ziemskiej, orientując się według charakterystycznego zakrętu rzeki, swoiście ukształtowanej linii brzegowej jeziora czy wygięcia łańcucha górskiego. Swoją wiarygodność potwierdzi następnie opowiadając z najdrobniejszymi szczegółami, co można, a czego nie można tam znaleźć.

Dla mnie, po zapoznaniu się z około pięćdziesięcioma tysiącami przypadków, w których musiałem postawić diagnozę, a następnie obserwować i sprawdzić jej słuszność, takimi charakterystycznymi cechami stały się skrzywienie ust, ruch dłoni, pochylenie pleców. Moimi dokonaniami zainteresował się jeden z uniwersytetów. Według ich badań, wyniki moich obserwacji potwierdziły się w 92 % przypadków. Działo się to piętnaście lat temu. Przypuszczam, że przez ten czas mogłem się jeszcze poprawić.

Mimo to przyglądając się młodemu mężczyźnie stojącemu przy stelażu z czasopismami, nie mogłem nic odczytać. Nic a nic.

Gdyby była to taka sobie, zwyczajna twarz, odruchowo zaklasyfikowałbym ją do takiej kategorii, po czym natychmiast bym ją zapomniał. Widuję takich tysiące. Ale ta twarz nie mogła zostać sklasyfikowana i zapomniana, ponieważ nie było w niej nic.

Chciałem już napisać, że to w ogóle nie była twarz, ale to nieprawda. Każda ludzka istota ma jakąś twarz.

Jeżeli chodzi o sylwetkę to mężczyzna był niewysoki, dosyć barczysty, proporcjonalnie zbudowany. Miał krótko przystrzyżone, jasne włosy, niebieskie oczy, jasną karnację skóry. Klasyczny typ nordycki, można by powiedzieć – ale nie byłoby to zgodne z prawdą.

Zapłaciłem za papierosy i spojrzałem jeszcze raz w jego stronę, mając nadzieję na uchwycenie w jego rysach czegoś, co mogłoby mi cokolwiek o nim powiedzieć. Nic z tego. Zostawiłem go przy czasopismach, sam zaś wyszedłem na ulicę i skręciłem za najbliższy róg. Sama ulica, wystawy sklepów, policjant na rogu, ciepłe, słoneczne promienie – wszystko było tak znajome, że nie zwracałem na to żadnej uwagi. Wszedłem po schodach na piętro, do mego biura znajdującego się w budynku stykającym się jedną ścianą z tym, w którym mieścił się sklep.

Poczekalnia mojej agencji zatrudnienia była pusta. Nie zależy mi specjalnie na dzikich tłumach, bo wtedy nie mam możliwości porozmawiania dłużej z interesantami i pogłębiania mojej wiedzy.

Margie, recepcjonistka, była zajęta sporządzaniem jakiegoś sprawozdania, więc tylko skinęła mi głową, gdy przechodziłem koło jej biurka. Margie jest dobrą, pracowitą dziewczyną, nie mogącą zrozumieć, dlaczego marnuję tyle czasu zajmując się różnymi pijakami, ćpunami i rozmaitymi innymi psychopatami, po których od razu widać, że nie wzbogacą szczupłego konta firmy żadnymi wpłatami.

Usiadłem za biurkiem i powiedziałem na głos:

– Ten facet jest fałszywy! Nie ma najmniejszych wątpliwości. Po prostu fałszywy!

Usłyszawszy mój własny głos, zastanowiłem się przez chwilę, czy aby nie zaczynam wariować. Co to znaczy „fałszywy"? Wzruszyłem ramionami. Po prostu trafiłem wreszcie na kogoś, z kim nie potrafiłem sobie poradzić. To wszystko.

Wtedy dopiero do mnie dotarło, jak niezwykłe byłoby to przeżycie. Nie doświadczyłem go już od przeszło dwudziestu lat. Wyobraźcie sobie rozkosz, jaką po tylu latach może dać zmierzenie się z czymś, co wydaje się niemożliwie do osiągnięcia!

Wypadłem z biura i popędziłem na dół do sklepu. Hallahan, ten gliniarz z rogu, przyglądał się ze zdziwieniem, jak kłusuję ulicą. Pomachałem mu ręką na znak, że wszystko w porządku. Zsunął czapkę z czoła i podrapał się za uchem, po czym potrząsnął głową, przesunął czapkę na jej poprzednie miejsce i zagwizdał wściekle na jakiś samochód prowadzony przez kobietę.

Wbiegłem do sklepu. Faceta, rzecz jasna, już tam nie było. Rozejrzałem się dookoła, mając nadzieję że dojrzę go kryjącego się za którymś stelażem, ale nic z tego. Zniknął.

Ociągając się ruszyłem w drogę powrotną do biura. Usiłowałem przypomnieć sobie tę twarz, by spróbować coś z niej jednak odczytać. Logika mówiła mi to samo. Gdyby było można, nie istniałby żaden problem. Twarz była po prostu pusta, pozbawiona śladu jakichkolwiek ludzkich uczuć bądź emocji.

Nie, to chodziło o coś jeszcze. Była pozbawiona... pozbawiona... człowieczeństwa!

Zawróciłem do sklepu, rozglądając się uważnie w nadziei, że gdzieś go zauważę. Hallahan znowu spojrzał w moim kierunku, ale teraz tylko krzywo się uśmiechał. Podejrzewam, że w sąsiedztwie uważają mnie za dziwaka. Zadaję ludziom najniezwyklejsze pytania, z punktu widzenia laika, rzecz jasna. Mimo to usłyszałem już od kilku klientów, że gdy pytali gliniarza, jak trafić do najbliższej agencji zatrudnienia, zawsze byli kierowani właśnie do mnie.

Po raz kolejny wspiąłem się po schodach i wszedłem do poczekalni. Margie spojrzała na mnie podejrzliwie, ale powiedziała tylko:

– Ma pan klienta. Czeka w gabinecie.

Odniosłem wrażenie, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale tylko wzruszyła ramionami. Albo zadrżała. Od razu wiedziałem, że coś musi być nie tak, skoro nie kazała mu usiąść w poczekalni.

Otworzyłem drzwi do mego gabinetu i doznałem ogromnego, niewyobrażalnego uczucia ulgi. To był on. Właściwie nie było nic niezwykłego w tym, że właśnie tu się znalazł. Prowadzę agencję zatrudnienia. Ludzie przychodzą do mnie po pomoc w znalezieniu pracy, dlaczego więc nie on?

Wśród umiejętności, jakie posiadam, poczesne miejsce zajmuje zdolność nieujawniania żadnych uczuć. Ten osobnik nie miał prawa choćby przez moment podejrzewać, jak wielką rozkosz sprawi mi wysłuchanie jego historii. Gdybym spotkał go na ulicy, mógłbym co najwyżej zadać standardowe pytanie o godzinę, albo czy ma zapałki, ewentualnie czy nie wie, którędy do ratusza. Tutaj natomiast mogłem go wypytywać, ile dusza zapragnie.

Wysłuchałem, co miał o sobie do powiedzenia, a potem przystąpiłem do zadawania rutynowych pytań. Wszystko było w niesamowitym wręcz porządku.

Służył w wojsku, skończył astronomię na uni- bez najmniejszego nawet wyobrażenia o tym, co właściwie chciałby robić, jednym słowem bez niczego, czym mógłby zainteresować ewentualnego pracodawcę. Typowe.

W dodatku pozbawiony jakichkolwiek uczuć czy emocji. To już mniej typowe. Zwykle są rozdrażnieni i oburzeni, że nikt nie czeka na nich z otwartymi ramionami. Zdecydowałem się na stary schemat naprowadzający klienta na coś choćby odrobinę praktycznego.

– Astronomia? – spytałem. – To znaczy, że jest pan dobry w matematyce. Zdolności matematyczne można często wykorzystać choćby w pracy związanej ze statystyką.

Miałem nadzieję, że może w ten sposób posunę się choćby o krok naprzód.

Okazało się, że wcale nie jest taki dobry.

– Jeszcze nie przystosowałem mojej matematyki do... – urwał.

Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że reaguje na to, co się dzieje dokoła niego. Zawahał się. Do tej pory można go było wziąć za grecki posąg – szeroko otwarte, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu oczy, doskonałe, zbyt doskonałe rysy, nie wykrzywione czy zmienione echem żadnej myśli.

– Po prostu nie jestem w tym zbyt dobry, to wszystko – dokończył po chwili.

Westchnąłem w duchu. To także nie było nic nowego. Wypuszczają ich teraz z uczelni byle szybciej. Czasem przez kilka dni wśród moich klientów nie trafiał się nikt, kto potrafiłby robić coś sensownego. Tak więc, w pewnym sensie i to było normalne.

Nienormalne natomiast było to, że najwyraźniej wyczuwał, iż to, co mówi, nie brzmi najlepiej. Zwykle tacy młodzieńcy nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że jednak powinni coś potrafić. Sprawiał wrażenie zażenowanego faktem, że można skończyć astronomię nie znając zbyt dobrze matematyki. No cóż, wcale bym się nie zdziwił, gdyby można ją było skończyć nie wiedząc nawet, ile jest planet w Układzie Słonecznym.

Najwyraźniej zaczął się też niepokoić. Było to również dosyć niezwykłe, bowiem do tej pory wydawało mi się, że znam wszystkie możliwe kombinacje naprężeń i napięć mięśni ciała, jego zaś zdenerwowanie objawiało się tak, jakby był skomplikowaną marionetką prowadzoną przez lalkarza-amatora. I jeszcze te oczy. Ciągle bez żadnego wyrazu.

Zapytałem o to, o tamto. Podsunąłem jedną myśl, drugą... Spośród wszystkich fałszywych masek i sztucznych póz, z jakimi miałem do czynienia, ta była najbardziej nienaturalna. Spotykam się nieraz z czymś takim u facetów, którzy siedzieli długo w więzieniu i wychodząc z niego fabrykują sobie przeszłość. Ale to nigdy nie ma aż takich rozmiarów.

I jeszcze jedno. Zazwyczaj tak jest, że gdy klient zorientuje się, że jego mydlenie oczu na nic się nie zdaje, znika, korzystając z pierwszego lepszego pretekstu. A ten nie. Wyglądało to tak, jakby... bo ja wiem... sprawdzał, na ile wiarygodne jest to, co ma mi do powiedzenia.

Skierowałem rozmowę na astronomię, o której, jak mi się wydawało, mam jakie takie pojęcie. Okazało się, że albo tylko mi się wydawało, albo to on jest w tym zupełnie zielony. Jego astronomia nie miała z moją nic, ale to nic wspólnego.

I wtedy właśnie wygadał się. Mówił coś o Układzie Słonecznym i zaczął następne zdanie od

Natychmiast przerwał.

– Ach, prawda. Przecież jest tylko dziewięć.

Może to była ignorancja, ale nie przypuszczam. Raczej wiedział o istnieniu planety, której nie udało się jeszcze odkryć naszym uczonym.

Uśmiechnąłem się. Otworzyłem szufladę i wyjąłem z niej kilka magazynów SF.

– Czytał pan to kiedyś? – zapytałem.

– Przejrzałem kilka w sklepie, parę minut temu.

– Dzięki nim bardzo rozszerzyłem moje horyzonty – powiedziałem. – Tak bardzo, że mógłbym nawet uwierzyć, że gdzieś w kosmosie istnieje system planetarny zamieszkany przez inteligentne istoty.

Zapaliłem papierosa i czekałem na jego reakcję. Jeśli nawet się myliłem, to zawsze będę mógł obrócić to w żart.

Jego oczy się zmieniły. Nie przypominały już oczu greckiego posągu. Nie były już błękitne. Były czarne bezdenną, nieskończoną czernią, tak głęboką i zimną jak sam kosmos.

– Na czym polegał mój błąd? – zapytał, wykrzywiając wargi w uśmiechu, który wcale nie był uśmiechem.

No tak, teraz już wiedziałem. Rzeczywiście trafiłem na coś niezwykłego, nie ma dwóch zdań. Siedział sobie po drugiej stronie biurka, a ja nawet nie miałem pojęcia, jakie ma zamiary. Nie wiedziałem, jakie są motywy jego postępowania. Nic nie wiedziałem – bo i skąd? Skoro przez całe życie poznajemy naszych bliźnich, to ile czasu potrzeba na to, by poznać istotę z gwiazd?

Wiele bym dał za to, by móc zachować się tak, jak ci bohaterowie space oper, którzy w podobnych okolicznościach uśmiechają się uprzejmie i mówią: „Powiadasz, że jesteś z Arktura? Popatrz, popatrz, jaki ten Wszechświat mały!" A potem obejmują się wpół i idą na drinka do najbliższego baru.

Przemknęła mi histeryczna myśl, że nie wiem nawet, czy ten typek lubi piwo, czy nie. Nie będę opisywał walki, jaką stoczyłem z moim organizmem, a szczególnie mięśniami, by nie dać niczego po sobie poznać. W każdym razie udało mi się nie spaść z krzesła i zachować uprzejmy wyraz twarzy. Procentowało duże doświadczenie w stosunkach z ludźmi.

– Nie mogłem nic w panu wyczuć – odpowiedziałem. – Kompletnie nic, tylko pustkę.

Faktycznie wyglądał tak jakoś pusto. Tyle że oczy miał już znowu błękitne. Wolałem to, niż tamtą czerń.

W takiej sytuacji powinny cisnąć się na usta miliony pytań, ale ja miałem cały czas uczucie, że siedzę w towarzystwie odbezpieczonej bomby. Nie wiedząc, co może spowodować jej wybuch. Mogłem się zdobyć tylko na coś doskonale trywialnego.

– Jak długo jest pan na Ziemi? – spytałem. Coś takiego, jak: „Cześć, Joe! Kiedy wróciłeś do miasta?"

– Od kilku waszych tygodni – odpowiedział. – Ale dziś jestem po raz pierwszy wśród ludzi.

– A gdzie pan był do tego czasu?

– Uczyłem się.

Jego odpowiedzi stawały się coraz krótsze i znowu coś dziwnego działo się z jego mięśniami.

– Gdzie pan się uczył? – naciskałem.

Wstał z miejsca i wyciągnął do mnie rękę, wszystko jak najbardziej sprawnie.

– Muszę już iść – oświadczył. – Oczywiście, moje podanie o pracę przestaje być aktualne. Musimy się jeszcze wiele nauczyć.

Uniosłem w górę brwi.

– Uważa pan, że ot, tak sobie o wszystkim zapomnę? O czymś takim?

Uśmiechnął się ponownie swoim dziwnym uśmiechem.

– Zdaje się, że na tej planecie istnieje zwyczaj zgłaszania wszelkich problemów policji. Może pan to zrobić.

Nie mogłem się zdecydować, czy powiedział to powodowany ironią, czy zwykłą logiką.

Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Wyszedł, a ja stałem bez ruchu przy biurku i patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi.

Co miałem robić? Iść za nim?

Poszedłem.

Nie jestem wywiadowcą, ale czytałem wystarczająco wiele powieści detektywistycznych, by wiedzieć, jak należy śledzić kogoś, samemu pozostając niezauważonym. Po pewnym czasie dotarliśmy do cichej, spokojnej dzielnicy domków jednorodzinnych. Stanąłem za palmą, udając, że zapalam papierosa, a on wszedł właśnie do jednego z tych domów. Widziałem, jak przez chwilę walczy z drzwiami, otwiera je i wchodzi do środka. Drzwi zamknęły się.

Odczekałem dłuższą chwilę, wszedłem po schodach i zadzwoniłem. Otworzyła mi siwowłosa matrona, najwidoczniej oderwana od zajęć w kuchni, bo wycierała dłonie w fartuch.

– Niczego dziś nie kupuję – oświadczyła, nie zdążywszy jeszcze do końca otworzyć drzwi.

Niemniej spoglądała na mnie z ciekawością, czekając, co mam do zaoferowania.

Przywołałem na twarz najlepszy z moich uśmiechów, przeznaczonych dla starszych pań.

– A ja niczego nie sprzedaję – odparłem, wręczając jej moją wizytówkę. Przyjrzała jej się ze zdziwieniem, po czym podniosła wzrok.

– Chciałbym się widzieć z Josephem Hoffmanem – powiedziałem grzecznie.

– Obawiam się, że pomylił pan adresy.

Byłem już gotów wsadzić stopę między drzwi, ale okazało się to niepotrzebne.

– Był u mnie w biurze kilkanaście minut temu – wyjaśniłem. – Wychodząc zostawił mi swój adres. Oferta pracy dla niego nadeszła tuż po jego wyjściu, a ponieważ i tak szedłem w tym kierunku, pomyślałem sobie, że wpadnę i powiem mu o tym osobiście. To dosyć pilne – dodałem. Parę razy rzeczywiście zdarzały mi się takie sytuacje, ale teraz nawet ja sam nie bardzo mogłem uwierzyć w to, co mówię.

– Nikt tu nie mieszka oprócz mnie i mojego męża – upierała się gospodyni. – A on już dawno jest na emeryturze.

Nie obchodziło mnie to, co robi jej mąż. Mógł nawet wisieć głową w dół na drzewie. Potrzebowałem tego młodego typka.

– Ale widziałem, jak ten młody mężczyzna tu wchodził – nie dawałem za wygraną. – Właśnie wyszedłem zza rogu i nie zdążyłem go dogonić.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

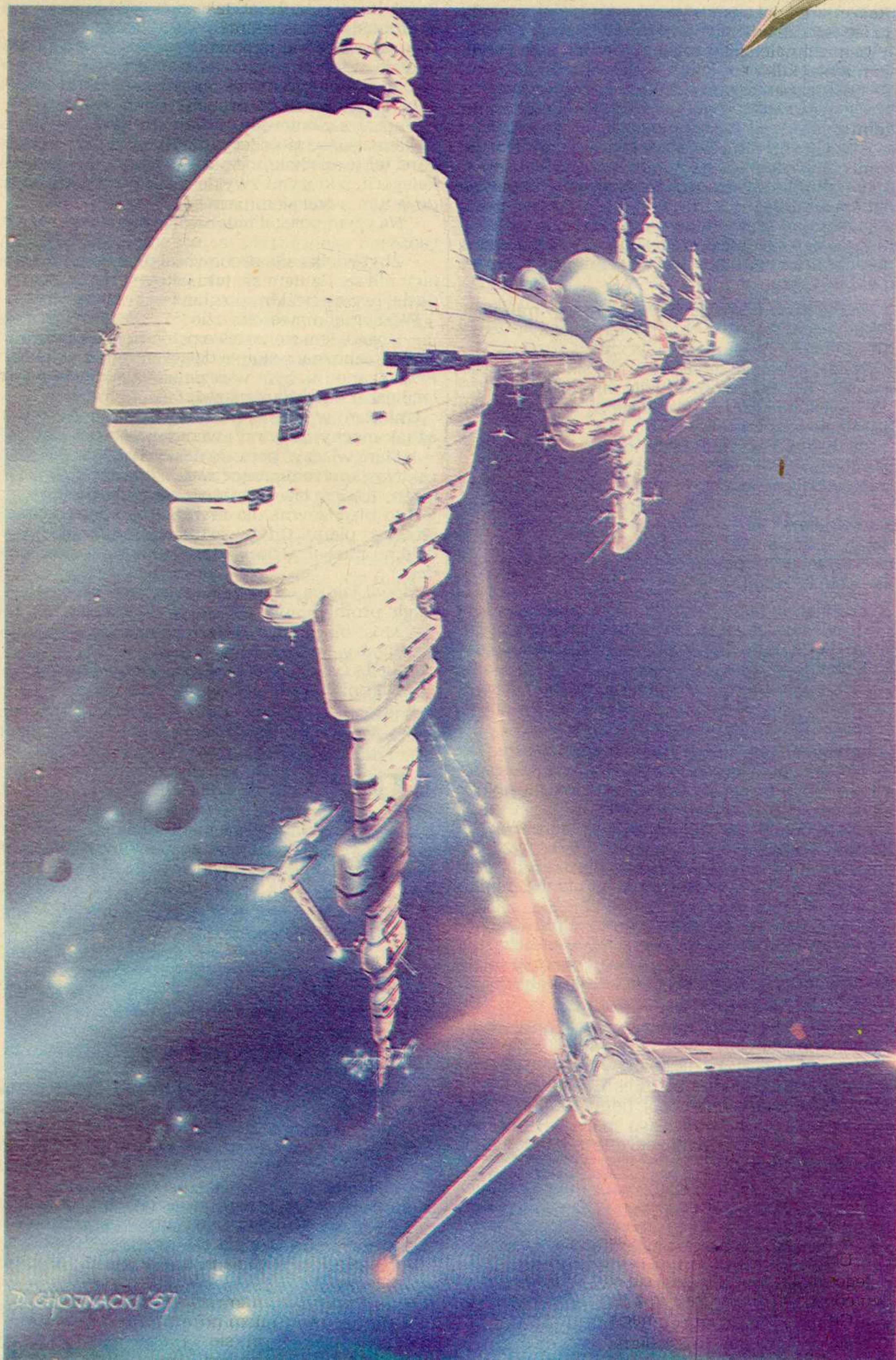
– Nie wiem, do czego pan zmierza – odparła z zaciśniętymi wargami – ale ja i tak niczego nie kupię. Ani nie podpiszę. Nie chcę nawet z panem rozmawiać. – Wyglądało na to, że naprawdę wierzy w to, co mówi.

Przeprosiłem ją mamrocząc coś o pomyłce, którą, zdaje się, musiałem popełnić.

– Tak właśnie mi się wydaje – powiedziała kwaśno i z godnością zamknęła drzwi. Mogę dać głowę za to, że była to godność nieudawana.

DARIUSZ CHOJNACKI

GALERIA



Prowadząc w odpowiedni sposób biuro pośrednictwa pracy można zyskać wielu przyjaciół. Przez kolejnych kilka dni ta nieszczęsna starsza pani musiała mieć wrażenie, że zwaliła się na nią plaga szarańczy.

Najpierw zjawił się człowiek od naprawy telefonów w celu zlokalizowania stwierdzonego rzekomo uszkodzenia. Potem człowiek z gazowni sprawdzał plomby na liczniku. Potem człowiek z elektrowni szukał zwarcia w sieci. Modliłem się tylko o to, by jej mąż nie okazał się na przykład byłym elektrykiem, bo błyskawicznie zdemaskowałby tę maskaradę. Na koniec przyszedł człowiek z Urzędu Statystycznego, by skorygować pewne dane z ostatniego spisu.

Dom został przeszukany cegła po cegle, od piwnicy począwszy, na strychu skończywszy. Kobieta mówiła prawdę: nie mieszkał w nim nikt oprócz niej i jej męża.

Pogrążony we frustracji czekałem trzy miesiące. Wydeptałem dziury w chodnikach, szukając wszędzie młodego faceta. Bezskutecznie.

I nagle, pewnego dnia otworzyły się drzwi mego gabinetu i Margie wprowadziła młodego mężczyznę. Za jego plecami chwytała się za serce i trzepotała opętańczo rzęsami.

Był typowo wysoki, ciemnowłosy, przystojny, uśmiechnięty i o błyszczących, żywych oczach. Jego osobowość uderzyła mnie z siłą kowalskiego młota. Tacy faceci nigdy nie przychodzą do biur zatrudnienia, bo po prostu tego nie potrzebują. Każdy pracodawca zatrudni go po trzech minutach rozmowy, a potem będzie zachodził w głowę, dlaczego to zrobił.

Nazywał się Einar Johnson i pochodził z Norwegii. Jeżeli myślał, że jestem naiwniakiem, którego łatwo da się otumanić, to od razu wyprowadziłem go z błędu.

– Poprzednim razem nazywał się pan Joseph Hoffman – powiedziałem. – I pod względem antropologicznym był pan raczej Nordykiem.

Ogniki w jego oczach momentalnie zgasły, zaś na twarzy pojawiła się irytacja. Spora irytacja, powiedziałbym nawet. W dodatku sprawiająca wrażenie jak najbardziej autentycznej.

– W porządku. Na czym teraz wpadłem? – zapytał niecierpliwie.

– Wyjaśnienie tego zajęłoby mi bardzo dużo czasu. Może najpierw wysłucham tego, co ma mi pan do powiedzenia.

Może to dziwne, ale czułem się zupełnie swobodnie. Zdawałem sobie sprawę, że pod tą pozornie ludzką powłoką kryje się obce, niezrozumiałe stworzenie, ale kamuflaż był tak doskonały, że pozwalał o tym zapomnieć.

Przez dłuższą chwilę mierzył mnie spojrzeniem, a potem powiedział:

– Według naszych przewidywań, istniała nie więcej niż jedna szansa na milion, że zostanę rozpoznany. Przyznaję, że mój poprzednik niezbyt nam się udał, ale od tego czasu sporo się nauczyliśmy i wszystko to zostało zebrane w osobowości, którą teraz noszę.

Przerwał, by obdarzyć mnie promiennym uśmiechem. Gdyby rzeczywiście przyszedł po pracę, już by ją miał.

– Przewędrowałem całą południową Kalifornię – podjął. – Pracowałem przez jakiś czas jako sprzedawca. Chodziłem na zabawy i przyjęcia. Upijałem się i trzeźwiałem. Nikt, powtarzam, nikt nie powziął najmniejszego podejrzenia.

– Nie byli zbyt spostrzegawczy, prawda? – zapytałem z ironią w głosie.

– Ale pan jest – odparł. – Dlatego właśnie zjawiłem się tu, by przejść ostatni test. Chciałbym wiedzieć, na czym polegał mój błąd.

– Przychodzą tutaj różni osobnicy – zacząłem. – Facet, który rejestruje się w różnych biurach jako bezrobotny, by żyć z zasiłków. Nieszczęśnik, którego przygania tutaj żona strasząc go, że jeśli nie pójdzie wreszcie do pracy, to ona zrezygnuje ze swojej. Tajniak, węszący w poszukiwaniu nielegalnych kantorów bookmacherskich. Najróżniejsi. – Słuchał z zainteresowaniem. Skrzywiłem się. – Są demaskowani w ciągu najdalej dwóch minut. Pana też to spotkało, ale pan nie należy do żadnej z kategorii, z którymi zwykle mam do czynienia. A poza tym... czekałem na pana.

– Na czym polegał mój błąd? – powtórzył z uporem.

– Zbyt wielka siła osobowości. Ludzie po prostu tacy nie są. Czułem się tak, jakbym, bo ja wiem... dostał czymś ciężkim po głowie.

Westchnął niewesoło.

– Obawiałem się, że tak czy inaczej uda się panu mnie rozpoznać. Skontaktowałem się z domem. Przekazano mi, bym w razie zdemaskowania polecił panu nawiązanie z nami współpracy.

Uniosłem w górę brwi. Nie wiedziałem, czy jest aż tak mocny, żeby mi cokolwiek polecać.

– Mam włączyć pana do naszych działań w charakterze kontrolującego i nadzorującego nasz ostateczny trening tak, by nikt nie mógł nas rozpoznać. Jest to nieodzowne dla realizacji naszego podstawowego planu. Gdyby to miało się nie udać, będziemy musieli wprowadzić w życie plan zastępczy.

Mówił jak nauczyciel, ale czar jego osobowości ciągle promieniował jak lampa podczerwona.

– Musi mi pan powiedzieć znacznie więcej niż do tej pory – odezwałem się.

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi gabinetu.

– Nikt nie będzie nam przeszkadzał – zapewniłem go. – To, co klienci mają do powiedzenia otoczone jest ścisłą tajemnicą.

– Pochodzę z jednej z planet Arktura – powiedział.

Na mojej twarzy musiał pojawić się uśmiech, bo zaraz zapytał:

– Uważa pan, że to zabawne?

– Ależ skąd – zaprzeczyłem gwałtownie. A więc jednak nie potrafi czytać w moich myślach. Najwidoczniej byliśmy dla nich równie obcy jak oni dla nas. – Uśmiechnąłem się dlatego, że za pierwszym razem, kiedy pan się tu zjawił, pomyślałem sobie, że jest pan równie nieodgadniony, jak istota na przykład z Arktura. A teraz okazuje się, że jednak miałem rację. Najwidoczniej jestem jeszcze lepszy niż przypuszczałem.

Teraz on z kolei uśmiechnął się ze zdawkową uprzejmością.

– Moja ojczysta planeta jest bardzo podobna do waszej – podjął. – Z jednym wyjątkiem: jest dużo bardziej zatłoczona.

Po plecach rozeszły mi się nieprzyjemne mrówki.

– Zbadaliśmy waszą planetę i postanowiliśmy ją skolonizować. – Było to po prostu stwierdzenie faktu, bez cienia wahania czy wątpliwości.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– I spodziewacie się, że wam w tym pomogę?

Odpowiedział mi mądrym, nieruchomym spojrzeniem.

– A czemu by nie?

– Chociażby dlatego, że istnieje coś takiego jak lojalność wobec własnego gatunku. Jeszcze kilka

pokoleń i nam też będzie za ciasno. Nie zmieścimy się razem na Ziemi.

– Och, to nie problem – odparł ze wzruszeniem ramion. – Dla nas starczy miejsca na bardzo długo. Rozmnażamy się dosyć wolno.

– A my nie – powiedziałem z naciskiem. Cały czas miałem niejasne wrażenie, że ta rozmowa powinna się toczyć między nim a jakimś wielkim mężem stanu, nie mną.

– Pan mnie chyba nie zrozumiał – zaczął znowu cierpliwym tonem. – Was tutaj nie będzie. Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy oszczędzić wasz gatunek. Po prostu wymrzecie i to wszystko.

– Zaraz, zaraz – wpadłem mu w słowo. – Ja wcale nie chcę, żebyśmy umierali.

Spojrzał na mnie jak na nieznośnego bachora, który uparcie odmawia położenia się spać.

– Dlaczego? – zapytał.

I tym mnie załatwił. To bardzo dobre pytanie, pod warunkiem, że zada się je w odpowiednim miejscu. Spróbujcie przedstawić sensowną argumentację na rzecz tego, by pozostawić ludzi przy życiu. Ja spróbowałem.

– Ludzkość przeszła niełatwą drogę – zacząłem. – Za nasz rozwój musieliśmy nieraz płacić straszliwą cenę. Jeżeli teraz zabierze się nam przyszłość, na którą można z nadzieją oczekiwać, to znajdziemy się w położeniu kogoś, kto zapłacił bardzo dużo za coś, o czym nie ma najmniejszego pojęcia – co to jest i do czego służy.

Nic lepszego nie potrafiłem wymyśleć. Przytaczanie argumentów o sprawiedliwości, miłosierdziu i litości nie miało żadnego sensu. Nie miałby pojęcia, o czym mówię. I raczej nie wyglądało na to, żeby mógł się tego prędko nauczyć.

Nie czekałem długo na odpowiedź.

– A jeżeli nikt nie będzie wiedział o naszym istnieniu, my zaś stopniowo i niepostrzeżenie przejmiemy od was tę planetę, to kto będzie miał cierpieć z tego powodu, że ludzkość nie ma już przed sobą żadnej przyszłości? – Wstał nagle, podobnie jak poprzednim razem i powiedział lodowatym tonem: – Możemy, rzecz jasna, zrealizować nasz drugi plan i zniszczyć ludzkość bez żadnych negocjacji. Nie mamy w zwyczaju zadawać żadnej formie życia niepotrzebnych cierpień, ale możemy to zrobić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeżeli nie zgodzi się pan na współpracę z nami, to jest jasne, że prędzej czy później zostaniemy zdemaskowani. A wtedy nie będziemy już mieli żadnego wyboru.

Uśmiechnął się, ogłuszając mnie niemal siłą swego osobistego wdzięku.

– Zdaję sobie sprawę, że musi pan się nad tym zastanowić. Jeszcze tu wrócę.

Już w drzwiach odwrócił się do mnie jeszcze raz.

– I proszę nie niepokoić więcej tej biednej, starej kobiecinki. Drzwi jej domu są tylko jednym z wielu połączeń, jakie utworzyliśmy. Ona nie ma pojęcia o naszym istnieniu, tylko czasem dziwi się, dlaczego nie działa jej zatrzask. A my wcale nie musimy korzystać akurat z jej domu. Sam pan zresztą widzi...

I zniknął.

Otworzyłem drzwi. Margie, umalowana i promieniująca kobiecością, czekała w pogotowiu za biurkiem. Kiedy gość się nie pojawił, wstała i zajrzała do mojego gabinetu.

– Gdzie on się podział? – zapytała ze zdumieniem.

– Otrząśnij się, dziewczyno – powiedziałem. – Jesteś tak rozmarzona, że nawet nie zauważyłaś, jak wychodził.

– Coś tu jest nie tak – mruknęła.

Miała rację. A ja miałem jak najbardziej realny, monstrualnych rozmiarów problem.

Co miałem robić? Mogłem zgłosić się do miejscowych władz i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zgłosić się do jakiegoś instytutu czy ośrodka badawczego i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Mogłem zawiadomić FBI i wylądować w zakładzie zamkniętym jako niepoczytalny. Nie, ta linia rozumowania stawała się zdecydowanie zbyt monotonna.

Uczyniłem jedyną rzecz, która moim zdaniem mogła pomóc! Spisałem całą historię i wysłałem do mego ulubionego pisma science fiction. Prosiłem o pomoc i radę tam, gdzie mogłem z pewnością liczyć na szybką reakcję i, co najważniejsze, na zrozumienie.

Rękopis wrócił tak szybko, jakby był połączony z moim biurkiem niewidzialną, ciągnącą się przez cały kontynent gumową taśmą. Obejrzałem dokładnie, z dwóch stron, krótką odpowiedź redakcji uzasadniającą odrzucenie rękopisu, ale nigdzie nie mogłem znaleźć żadnych słów dodających otuchy i radzących, co robić. Ba, nie było tam nawet zachęty, żeby spróbować jeszcze raz.

Wtedy pierwszy raz w życiu przekonałem się, co to znaczy być samotnym – całkowicie, zupełnie samotnym.

Właściwie trudno było się dziwić. Mogłem sobie wyobrazić redaktora, odrzucającego z niesmakiem mój rękopis. „No tak, i znowu jakaś obca rasa chce podbić Ziemię. Gdybym to wydrukował, już jutro byłbym bez pracy". Jak ten ksiądz, który zobaczywszy wypisane na ścianie świństwa mruknął tylko pod nosem: „I do tego z błędami".

Przypomniała mi się bajka o chłopcu, który o jeden raz za dużo krzyknął: „Wilk! Wilk!" Byłem sam. Sam musiałem rozwiązać ten problem. Nie było wątpliwości, że miałem do wyboru dwa rozwiązania: pierwszym była natychmiastowa eksterminacja. Rasa, która potrafi tak bezpośrednio przenosić się z jednego systemu planetarnego do drugiego, dysponuje z pewnością środkami, które pozwoliłyby jej tego dokonać. Drugim było wytępienie, co prawda stopniowe, ale równie pewne. Gdybym odmówił współpracy, postawiłbym się w sytuacji sędziego, skazującego cały rodzaj ludzki na śmierć. Gdybym się zgodził, zostałbym arcyzdrajcą, a skutki byłyby takie same.

Mijały dni, a ja cierpiałem męki niezdecydowania. Wreszcie, jak to się zwykle robi w takich sytuacjach, postanowiłem grać na zwłokę. Udając, że zgadzam się z nimi współpracować, mogę odkryć sposób, w jaki można będzie ich pokonać.

Kiedy już to postanowiłem, moje myśli zaczęły w szalonej gonitwie analizować najróżniejsze możliwości. Gdybym został instruktorem uczącym ich,

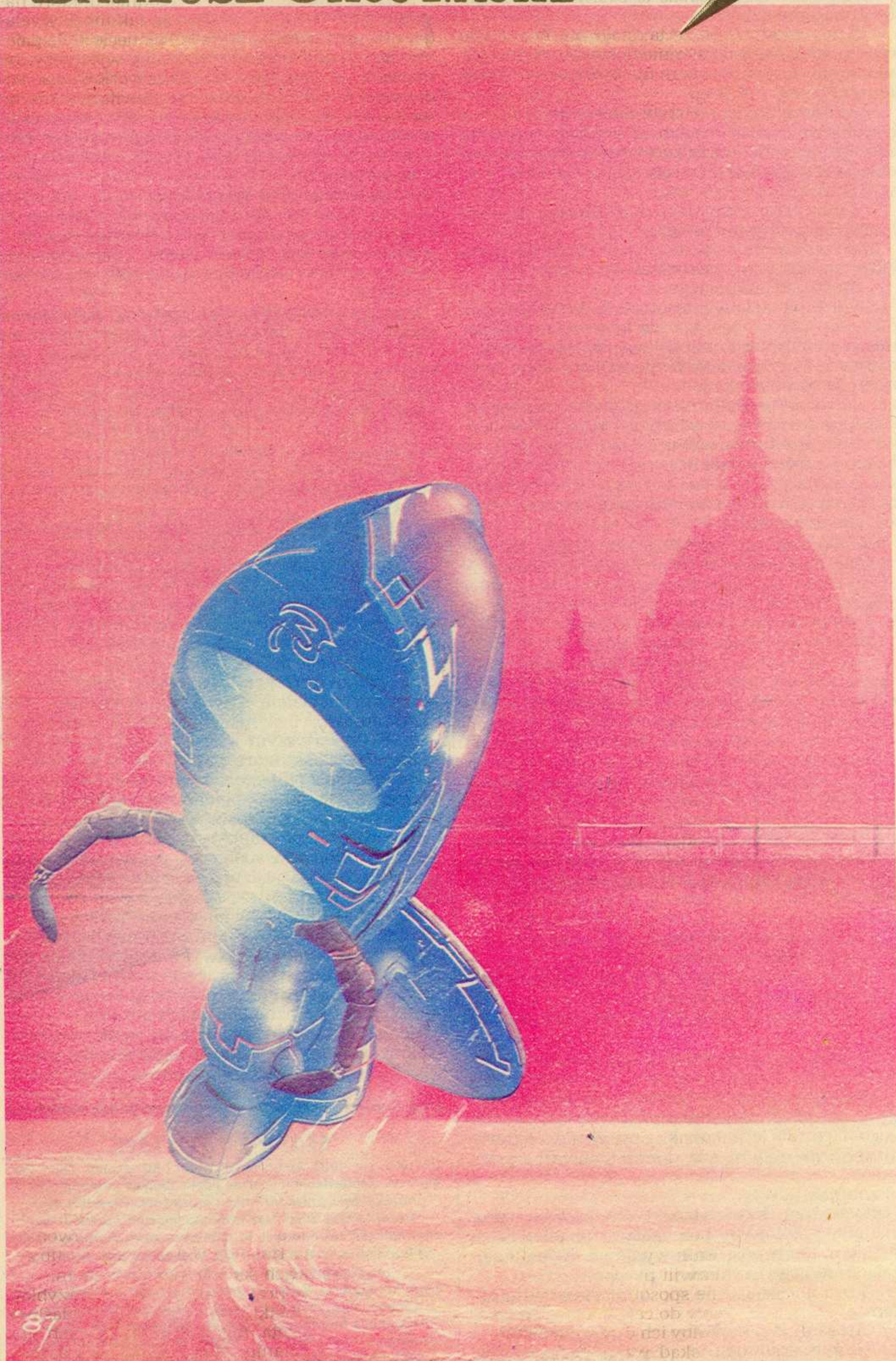
Mark CLIFTON

Ur. 1906, zm. 1963. Amerykański autor i biznesmen. Zajmował się m.in. zestawianiem wielkiej liczby danych personalnych w poszukiwaniu prawidłowości i możliwości przewidywania dalszej kariery ludzi. Bez trudu odnajdziemy odbicie tych doświadczeń zawodowych w zamieszczonym tu opowiadaniu. Clifton debiutował w roku 1952. Większość jego powieści i opowiadań układa się w dwie serie: utwory o Superkomputerze Bossy i utwory połączone postacią Ralpha Kennedy'ego, przedstawiające z satyrycznym zacięciem rozbuchaną biurokrację federalną. Nagroda Hugo (1955) za powieść „They'd Rather be Right". W Polsce przedstawiony dotychczas tylko jednym opowiadaniem w „Krokach w nieznane".

L. J.

DARIUSZ CHOJNACKI

GALERIA



jak mają zachowywać się wśród ludzi, miałbym ich w garści. Wyposażyłbym ich w takie cechy i nauczył takich zachowań, które sprawiłyby, że ludzie zniszczyliby ich w oka mgnieniu.

A ja znałem ludzi. Może to i nawet dobrze, że trafiło akurat na mnie.

Zadrżałem na myśl, że ta istota mogła spotkać kogoś o mniejszym ode mnie doświadczeniu. Najprawdopodobniej na Ziemi nie byłoby już ani jednego człowieka.

Tak, tak, ten stary i zużyty pomysł o bezimiennym bohaterze ratującym całą ludzkość przed śmiertelnym niebezpieczeństwem może jeszcze znaleźć swoje odbicie w rzeczywistości.

Byłem gotów. Arkturianin mógł wracać. I wrócił.

Porządnie tym razem przestraszona Margie otrzymała płatny urlop, ja zaś opuściłem biuro w towarzystwie Einara Johnsona. Miał masę pieniędzy i nie widział nic złego w ich wydawaniu. Dla kogoś, kto potrafi przenieść się w dowolnej chwili do bankowego skarbca, pieniądze naprawdę nie są żadnym problemem.

Oczami wyobraźni widziałem nieszczęsnych urzędników, tłumaczących się przed kontrolerami, ale to już nie był mój problem.

Zamknąłem za sobą drzwi biura i powiesiłem na nich wywieszkę z informacją, że jestem chory i nie wiem, kiedy wrócę do pracy.

Zeszliśmy na parking, wsiedliśmy do mego samochodu i w tej samej chwili znalazłem się na zacienionym patio w Beverly Hills. Tak po prostu. Żadnych sensacji z utratą przytomności czy przewracaniem żołądka na lewą stronę. Nic z tych rzeczy. Po prostu tak: samochód – patio.

Chciałbym móc opisać Arkturian jako istoty o ohydnych, wijących się mackach i obrzydliwych paszczach, ale nie mogę. W ogóle nie mogę ich opisać, bo ich nie widziałem.

Widziałem natomiast około trzydziestu ludzi spacerujących po patio, pływających w basenie, wchodzących i wychodzących z domu. Miejsce było idealnie dobrane. Nieproszeni goście nie odwiedzają posiadłości w Beverly Hills.

Miejscowi przyzwyczaili się już na tyle do obecności całej chmary gwiazd, że przestali się właściwie czemukolwiek przyglądać albo dziwić, zaś ciekawscy turyści mogli co najwyżej dostrzec zakręcający podjazd, drzewa, trawę i może kawałek dachu. Jeśli mieli z tego choć odrobinę satysfakcji, to tym lepiej dla nich.

Jednak nawet gdyby rozeszła się wieść, że po posiadłości włóczy się gromada dziwacznych osobników, nikt by się tym nie zainteresował. Mieszkańcy takich posiadłości nie różnią się specjalnie od zbieraniny, którą można zobaczyć na ulicach Hollywood.

Tyle tylko, że ci akurat się różnili. Mogliby zrobić fortunę występując jako trupa naturalnej wielkości marionetek. Teraz wiedziałem, dlaczego pozbawiony życia Nordyk, którego dane mi było nie tak dawno spotkać, został uznany za tak doskonałego, by móc przebywać między ludźmi. W porównaniu z tą gromadą był tryskającym energią i pełnym czaru disc-jockeyem.

Tyle właśnie zobaczyłem. Ludzkie ciała wykonujące ludzkie ruchy bez choćby śladu ludzkich uczuć czy emocji. Zadanie wyglądało na trudniejsze, niż w pierwszej chwili przypuszczałem. Ale skoro uznali ten właśnie sposób za najwłaściwszy i najszybciej prowadzący do celu, to ich sprawa.

Ktoś ciekawski zasypałby ich dziesiątkami pytań – skąd mają ten dom, skąd wzięli ludzkie ciała, gdzie nauczyli się mówić po angielsku – ale ja nie byłem ciekawski. Miałem ważniejsze sprawy na głowie. Skoro mieli i potrafili to wszystko, to znaczy, że byli do tego zdolni i już.

Nie będę się rozpisywał o tygodniach, które nastąpiły potem. Nie mam pojęcia, jak może wyglądać cywilizacja na ich ojczystej planecie. Cała pajęcza sieć naukowej psychologii nie wystarczy, by ukazać choćby skrawek wnętrza człowieka. Podobnie jakiekolwiek opisy ich cywilizacji nic by nam o nich nie powiedziały. Wiedzieć coś o człowieku a znać go to dwie zupełnie odrębne rzeczy.

Na przykład wszystkie te warunkujące nasze zachowanie reakcje mózgu, które nazywamy potocznie uczuciami, są im zupełnie nieznane. Ideały, takie jak prawda, honor, sprawiedliwość, doskonałość – także. Nie ma u nich nawet podziału na płcie, stąd też nie są w stanie zrozumieć, co to jest miłość. Ze wszystkich filmów i spektakli, które oglądali w telewizji rozumieli mniej, niż my z zachowania kolumny mrówek, maszerujących przez ścieżkę.

Czy próby opisu takiej cywilizacji mogą zakończyć się sukcesem? Człowiek nie może osiągnąć spełnienia nie marząc najpierw o czymś. Oni najwyraźniej mogli, bo przecież dotarli tutaj.

Kiedy wreszcie przekonałem się, że nie ma sensu i potrzeby kontaktowania ze sobą tych dwóch cywilizacji, odczułem przypływ wielkiej radości i ulgi. Moje zadanie stawało się tym samym znacznie łatwiejsze. Wiedziałem, jak ich zniszczyć. I miałem podstawy przypuszczać, że nie będą potrafili uniknąć pułapki, którą na nich zastawię.

A nie będą potrafili właśnie dlatego, że mają ludzkie ciała. Może stworzyli je sobie z powietrza, ale w ich żyłach płynęła krew, czuli ból, zimno i gorąco, otrzymywali zwykłą porcję produkowanych przez gruczoły hormonów.

Otóż to, hormony. Dowiedzą się, co to emocje i uczucia. Byłem przecież mistrzem w manipulowaniu i jednym, i drugim. Marzeniem człowieka było osiągnięcie wielkich, nieśmiertelnych ideałów. Niemal cała literatura dotyczy w gruncie rzeczy właśnie tego tematu. Zawsze i wszędzie mówiło się i pisało o tym, jacy powinniśmy być, prawie nigdy i nigdzie o tym, jacy jesteśmy.

W ramach prowadzonej przeze mnie nauki zaaplikowałem im spory wybór arcydzieł światowej literatury, malarstwa, rzeźby, muzyki – tych gałęzi sztuki, w których najlepiej widać ciągłe dążenie do ideału. Nauczyłem ich, co to znaczy „marzyć".

Wiedząc, co to jest i ulegając działaniu produkowanych bezustannie hormonów, nauczyli się czuć. Tym większym podziwem zacząłem obdarzać Einara, bo przecież wtedy, kiedy tak mnie oszołomił siłą swojej osobowości, jeszcze nie czuł.

Z marionetek stali się nowo narodzonymi dziećmi. Dziećmi obdarzonymi dorosłymi ciałami, ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tego faktu.

Chciałem uczuć – i miałem uczucia. Nie ograniczone żadnymi hamulcami, nie skrępowane żadnymi zakazami. Czasem, najzwyczajniej w świecie bałem się i musiałem korzystać z całej mojej wiedzy o manipulowaniu emocjami. Kiedy indziej znowu zachowywali się za bardzo po hollywoodzku, nawet jak na Hollywood. Starałem się utrzymać ich w granicach szeroko pojętych norm.

Jedno muszę im przyznać: uczyli się. I to szybko. Najpierw marionetki, potem dzieci, hałaśliwi chłopcy i dziewczęta, młodzież o zmiennych nastrojach i zachowaniu, którego nie można było

mężczyźni i kobiety. Metamorfoza dokonywała się na moich oczach.

Zrobiłem jeszcze więcej.

Uczyniłem z nich takich, jakimi chciał być każdy z nas: mądrych, szlachetnych, uczuciowych. Mój skromny IQ 145 stał się granicą, poniżej której była już tylko głupota. Najwspanialsze z marzeń o wielkości człowieka okazały się niczym wobec tego, co oni osiągnęli i co jeszcze mogli osiągnąć.

Realizacja mego planu odbywała się bez zakłóceń.

W pełni ukształtowani przypominali bogów. Wpajając nowe, wyrzucałem jednocześnie stare. Odkryłem, że mamy jednak z nimi coś wspólnego: podstawą ich działania była logika, ale wyniesiona na takie wyżyny, o których mnie nigdy się nawet nie śniło. Mimo to udało mi się znaleźć coś, co można było uznać za wspólny punkt odniesienia.

W pewnej chwili zrozumieli, że jeśli pozwolą, by w ich świadomości funkcjonowała ICH własna, obca motywacja, to zawsze towarzyszyć im będzie aura inności, stanowiąca zagrożenie dla realizacji ich celów. Zaniepokoiłem się, kiedy mi o tym powiedzieli, podejrzewając, że teraz z kolei oni próbują zastawić na mnie pułapkę. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że przecież nie nauczyłem ich fałszu i obłudy.

Uznawali za całkowicie logiczne i słuszne, że muszą mi się zupełnie podporządkować. Gdybym to ja znalazł się na ich planecie i starał się do nich upodobnić, również musiałbym robić wszystko, co by mi polecił tamtejszy instruktor. Zdawali sobie sprawę, że po prostu nie mają innego wyjścia.

Z początku nie widzieli nic dziwnego w tym, że pomagam im w zniszczeniu mego własnego gatunku. Według nich Arkturianie byli najlepiej przystosowani do tego, by przetrwać, więc tak właśnie powinno się stać. O ludziach nie można było tego powiedzieć, dlatego musieli zginąć.

Nauczyłem ich co to współczucie. I wreszcie, kiedy zaczęli dojrzewać jako ludzie i gdy ich chłodny intelekt został przytłumiony przez ludzkie uczucia, zrozumieli, na czym polega mój dylemat.

Było w tym sporo ironii. Od ludzi nie mogłem oczekiwać zrozumienia. Najeźdźcy obdarzyli mnie zrozumieniem i współczuciem. Pojęli, że mój zdradziecki czyn miał na celu zyskanie jeszcze kilku lat dla ludzi.

Ale ich arkturiańska logika była jeszcze zbyt silna. Ronili wraz ze mną gorzkie łzy, lecz nie mogło być mowy o zmianie planu. Plan był ustalony, oni zaś stanowili jedynie zespół instrumentów niezbędnych dla jego sprawnego przeprowadzenia.

A jednak, wykorzystując ich współczucie, udało mi się go zmienić. A oto rozmowa, w której wyszło na jaw, że taka modyfikacja zaistniała.

Einar Johnson, który jako robiący największe postępy właściwie się ze mną nie rozstawał, powiedział do mnie pewnego dnia:

– Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy już ludźmi. Sam powiedziałeś, że tak jest, więc musi to być prawdą – dodał z uśmiechem. – Zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak wielki i wspaniały jest człowiek. – Kiedy to mówił, promieniował powagą i dostojeństwem. – Ci, którzy pozostali na naszej planecie nie dysponując ani ludzkimi ciałami, ani ową równowagą między inteligencją a uczuciami, którą ty nazywasz duszą, nie będą w stanie docenić i zrozumieć ogromnego skoku, którego dokonaliśmy. Nigdy nie staniemy się tym, czym byliśmy, bo zbyt wiele przyszłoby nam utracić.

Nasi ziomkowie kierują się w swym postępowaniu logiką. Muszą polegać na tym, co im przekażemy, o ile, rzecz jasna, nie wiązałoby się to z koniecznością zrezygnowania z planu, jaki mamy zrealizować. Poinformowaliśmy ich o wszystkim, czego się nauczyliśmy. We Wszechświecie jest dosyć miejsca i dla nas, i dla was.

Nie będzie migracji z naszej planety na waszą. Pozostaniemy wśród was, będziemy się rozmnażać i żyć tak godnie, jak nas tego nauczyłeś. Może kiedyś naszym udziałem stanie się ta wielkość, którą teraz możemy podziwiać u ludzi.

Pomożemy wam znaleźć wasze przeznaczenie wśród gwiazd, tak jak my je znaleźliśmy.

Schyliłem głowę i rozpłakałem się. A jednak zwyciężyłem.

Minęły cztery miesiące. Wróciłem do siebie. Hallahan zostawił kierowców ich własnemu losowi i zszedł ze skrzyżowania, by powitać mnie pytaniem:

– Gdzie pan się podziewał?

– Chorowałem – odparłem.

– Widać to po panu. Niech pan na siebie uważa. Co... Co za dureń tam się wpakował! – popędził na swoje miejsce, dmuchając co sił w gwizdek.

Wszedłem po schodach na górę. Tak, zdecydowanie wymagają remontu. Cały czas wysyłałem Margie pieniądze, żeby płaciła za czynsz i telefon. Zdjąłem z drzwi wywieszkę i wszedłem do środka.

Poczekalnia miała ten typowy, zakurzony wygląd, jaki przybierają wszystkie pomieszczenia, w których od dawna nikogo nie było. Dozorca w ogóle nie otwierał okien, toteż powietrze było stęchłe i nieświeże. Z przyzwyczajenia oczekiwałem, że zobaczę Margie siedzącą za jej biurkiem, ale było to zupełnie nierealne. Jeżeli dziewczyna i tak dostaje pensję, a jednocześnie nie ma kompletnie nic do roboty, to jedynym miejscem, gdzie można ją na pewno spotkać, jest plaża.

Moje krzesło pokryte było warstwą kurzu, ale usiadłem na nim nie zadając sobie nawet trudu, by go zgarnąć. Ukryłem twarz w dłoniach i wpatrzyłem się w ludzką duszę.

Wszystko zależało właśnie od tej umiejętności. Znałem ludzi. Znałem ich bardzo dobrze, kto wie, może nawet najlepiej ze wszystkich.

Zajrzałem w przeszłość i zobaczyłem, jak człowiek pali, krzyżuje i drze na strzępy to, co szlachetne, dobre i wspaniałe.

A przecież jedyna szansa ocalenia ludzkości leżała w tym, by udało mi się wpoić tym trzydziestu istotom właśnie to, co wspaniałe, dobre i szlachetne. By udało mi się przekonać ich, że wszyscy ludzie są właśnie tacy. Tylko wtedy mogliby uznać nas za równych sobie.

Zajrzałem w przyszłość i zobaczyłem, jak giną jeden po drugim. Nie dałem im żadnej możliwości obrony. Są całkowicie nie przygotowani na spotkanie z człowiekiem takim, jaki jest w istocie. Nie będą potrafili tego pojąć.

To bowiem, co człowiek najbardziej podziwia – dobro, szlachetność, piękno – jest jednocześnie tym, czego nie potrafi ścierpieć, gdy już to odnajdzie.

Są bezbronni, gdyż nie zdają sobie z tego sprawy. Zginą, pokonani wściekłością, zawiścią i żądzą niszczenia, tak bowiem zawsze reaguje człowiek, gdy stanie twarzą w twarz ze swoimi ideałami.

Chowam twarz w dłoniach.

Co ja zrobiłem?...

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Lubomír Macháček

POMOCNIK DOMOWY

(Domáci pomocník)

Nikomu dziś nie jest lekko, każdy musi starać się osiągnąć jak najlepsze wyniki. Ja też. Gnam na pełnych obrotach od startu do mety. Czasami czuję się przemęczony, najchętniej rzuciłbym wszystko w diabły, ale później zaciskam zęby i wytrzymuję. Rozumiem, takie są czasy. Eksplozja racjonalistycznego myślenia w naszej świadomości, rewolucja naukowo-techniczna rozwija się w najlepsze, zbrojenia w kosmosie. Kiedy wczoraj wyglądałem przez okno, usłyszałem jak Kwasniczkowa, ta plotkarka z przeciwka, mówi, że ludzie już nie wiedzą, jaką jeszcze głupotę mają wymyśleć. Dopóki miała piecyki węglowe, wszystko było w porządku, a teraz podobno musi codziennie myć kolektory słoneczne, ponieważ osiada na nich smog. Nie jestem wrogiem postępu, skądże znowu, ostatecznie jestem jego dzieckiem. Kwasniczkowa ma rację, chwilami nie mamy czasu nawet się obejrzeć za siebie, zatrzymać na chwilę. Ale jest to i samousprawiedliwienie. Rzecz w tym, że tylko przebiegamy wzrokiem nagłówki: „Zamach na papieża!", „Latający talerz wylądował u rzeźnika!", „Masakra w Disneylandzie!" I tak dalej.

Dużo czytałem i studiowałem, bo kto tego obecnie nie robi, nie ma szans. Przede wszystkim chodziło mi jednak o to, by pomóc Zdence.

– Czekasz na mnie? – zapytała, ledwo weszła do domu. Leżałem z twarzą przykrytą gazetą. Kiedy zdjęła ją ze mnie, zawołałem:

– Paff!

– Ciągle tylko czytasz. Słuchaj, co się stało w tym Disneylandzie?

Zdena rzuciła siatkę z zakupami na stół tak gwałtownie, że aż obrus się pozwijał i nie zdejmując płaszcza usiadła na krześle.

– Jakiś głupek usiłował dokonać zamachu na roboty. Przede wszystkim chciał załatwić te, które przypominały mu ludzi. No i kilka osób oberwało...

– Dlaczego to zrobił?

– W dziewiętnastym wieku również rozbijano maszyny – odrzekłem, chociaż przypuszczałem, że kryje się za tym coś innego. Zdena nic nie powiedziała, zdjęła płaszcz i wyszła na korytarz. Postała chwilę przed lustrem, zapewne sprawdzając czy nie wygląda jak robot. Kiedy wróciła przede wszystkim wyjęła z siatki chleb i podsunęła mi go pod nos. Cudownie pachniał. Usłyszałem, jak jej w palcach zachrupała skórka. Nie mogłem się oprzeć i odgryzłem kawałek.

Ciepły chleb jest zawsze dobry, pomyślałem. Zdena zaczęła mnie zapewniać, że w niedzielę sama upiecze chleb. Później powyjmowała wszystkie rzeczy z torebki i wsadziła je do lodówki.

Chleb był naprawdę dobry, Zdena dała mi jeszcze kawałek skórki. Ale ona sama mi się dzisiaj nie podobała. Sprawiała wrażenie, że ją coś gnębi. Sama przyznała, że jest zmęczona i musi sobie zrobić kawę, bo inaczej uśnie. Gdybym ja umiał przyrządzać kawę po turecku, na pewno bym ją dla niej zrobił. Zdena należała do kobiet, które są wiecznie aktywne, a jeżeli na chwilę spoczną, mają uczucie, że im coś uciekło. Długo nie mogłem się do tego przyzwyczaić, ale starałem się ją zrozumieć. Pracowała w księgowości. Wiadomo, dwa razy w miesiącu nerwy, godziny nadliczbowe, praca w nocy. A ile funkcji społecznych! Działała chyba w trzech komisjach: w Towarzystwie Ochrony przed Herbicydami, w Stowarzyszeniu Osób Niepływających, w klubie „Akcja Brontosaurus" była nawet sekretarką. Poradziłem jej, że powinna mieć jeszcze jedno dziecko. Zdena się upiła. Pijana baba wygląda gorzej niż pijany chłop. Zaczęła na mnie krzyczeć, że kobietom nigdy nie było lekko, czego nie zrobiły same, tego nie miały. A w ogóle, gdy wstępował w nią bojowy duch...wówczas trochę się jej bałem. Dzisiaj niepokoiłem się raczej o nią.

– Coś cię dręczy?

– Wy, mężczyźni, ciągle tylko coś kombinujecie. Idę do dentysty – kobieta. Mam anginę, bada mnie kobieta. U rzeźnika za ladą – kobieta. Tramwaj prowadzi kobieta. Dobrze, że chociaż mamy ginekologa-mężczyznę.

– Czy nie przesadzasz? – powiedziałem. – Czy ja ci już nie wystarczam?

Coś musiało ją okropnie zirytować.

– A w szkole również kobieta – dodała. – Co z tych dzieci wyrośnie! Histerycy i już!

– Uspokój się, uspokój – mówiłem łagodnie.

Zdena ugryzła kawałek chleba, łyknęła trochę kawy, a potem otarła rękawem łzy. W łzach jest kobietom do twarzy, pod tym względem są niezrównane.

– Jakieś złe wieści?

– No wiesz, Pepik, to było do przewidzenia.

– Będzie miał czwórkę ze sprawowania?

– Ależ nie – zamilkła. Znałem te jej gierki. Trzymała mnie w napięciu, wiedziała, jaki jestem ciekawski. Potem wsunęła mi palce we włosy:

– Ty moja mądra główko, ty mój cybernecie, też powinieneś się już ostrzyc.

Zdenerwowała się Pepikiem, a mówiła o strzyżeniu. Może uspokajało ją brzęczenie maszynki, bo zazwyczaj strzygła mnie, kiedy była zdenerwowana. Nie było mowy o fryzjerze, skądże znowu, ten by cię urządził, a zresztą to droga zabawa. Pewnego razu nawet zrobiła mi ondulację. Potem mnie przytuliła i nawijała sobie loczki na palec. To był piękny wieczór.

Beata Maruszewska

– Będzie miał dwóję z historii – oznajmiła.

No, to jesteśmy w domu. Pepik chodził do piątej klasy. Wprawdzie nie był żadnym geniuszem, ale tabliczka mnożenia szła mu bez trudu, a i gramatykę też jakoś opanował. Ale do historii nie miał cierpliwości. Najpierw Zdena sądziła, że ma jakieś nieporozumienia z nauczycielką. Myliła się, chłopiec stanął w obronie nauczycielki. Posadziliśmy go między sobą i wzięliśmy w krzyżowy ogień pytań.

Pepika wyrwano dziś do odpowiedzi z historii. Wczoraj przerabialiśmy razem kulturę starożytnego Wschodu: Mezopotamia, Fenicja, Palestyna i Kreta. Odpytywałem Pepika w przerwach hokejowego meczu. Bardzo mu się to nie podobało, ale nad nami stała Zdena i za każdym razem, kiedy tylko mnie nie usłuchał, dawała mu w łeb. Ja go z zasady nie biłem, zresztą dzieci nie wolno bić po głowie. Całkiem dobrze wszystko umiał, nawet się dziwiłem, że potrafił tak długo przesiadywać nad mapą starożytnego Wschodu.

– Miał sobie poprawić stopień i proszę, co zrobił.

– Ale w jaki sposób miał sobie przyswoić taką masę informacji. Nawet mnie często boli od tego głowa.

Pepik wprawdzie zapamiętał, co to są gliniane tabliczki, ale że zapisywano na nich bajki, eposy i przysłowia, tego jakoś nie potrafił powiedzieć.

– Ale przecież ona wcale nie pytała go, co to są bajki, eposy i przysłowia, ale zupełnie o coś innego. No, jak widać pokpiliście wczoraj odrabianie lekcji.

– Poza eposami i przysłowiami umiał wszystko – upierałem się przy swoim.

Jeszcze przed chwilą bałem się o nią, ale zauważyłem, że Zdena znowu zerka na moje włosy.

– Interesujecie się hokejem, ale o tym, że Hetyci stworzyli silne imperium, które największy rozmach osiągnęło w połowie drugiego tysiąclecia, o tym nie wiecie. Pepik dostał dwóję z minusem właśnie za to. Co sobie teraz o nas pomyśli Kwasniczkowa?

– Na miłość boską, zapomniał, ile razy mam ci to tłumaczyć.

– Ale skład drużyny narodowej zna na pamięć.

– Czy w ogóle jest w stanie zrozumieć to, o czym jest mowa w podręczniku?

– No wiesz – obraziła się Zdena.

– Wybacz, niewłaściwie się wyraziłem, nie chciałem cię dotknąć – zaszczebiotałem jak wróbelek i ze skruchą poprosiłem ją o kawę. Kiedy robiła kawę dla siebie zawsze pamiętała i o mnie. Tym razem było inaczej. Krótko mówiąc – nie był to szczęśliwy dzień.

– No więc, jak tam było w szkole? – zaatakowałem Pepika, gdy tylko się pojawił. Pepik zrzucił tornister z pleców na dywan, aż zadudniło. Zdena siedziała za stołem, ręce miała złożone na podołku. Pewnie zastanawiała się, czy chwycić za rózgę czy nie. Pepik wyczuł atmosferę, powiedział grzecznie dzień dobry i od razu na progu mieszkania zdjął buty i założył kapcie. Ba, nawet podszedł do mamy i pocałował ją.

– Jaruszka powiedziała, że będę mógł sobie stopień poprawić.

– Która Jaruszka? A...wychowawczyni w waszej klasie. – Zdena chwyciła się za głowę. – A czego ty właściwie nie wiedziałeś? Tyle mi tego naopowiadała.

– Już nie pamiętam – szczerze odpowiedział chłopiec.

– Nie pamiętasz, czego nie umiałeś? – zapytała z wyrzutem.

– A ty twierdziłeś, że Pepik jest zdolny – zwróciła się do mnie.

– Mamusiu, co to jest bajka, epos i przysłowie? I kim był Bedřich Hrozný?

– Jak by ci to wyjaśnić...Przysłowia są mądrością narodów...A co to jest właściwie przysłowie? – spojrzała na mnie.

Milczałem uparcie.

– Kim był Bedřich Hrozný?

Napiętą ciszę przerwał na szczęście chłopiec.

– Mamusiu, Jaruszka miała dzisiaj fantastyczną torbę...byli na niej Niebiescy Siuksowie, ta kapela, no wiesz?

– Niebiescy Siuksowie! Czemu sprawiasz mi tyle zmartwień, Pepiku? – powiedziała i wzięła chłopca na kolana. – Bedřich Hrozný to był przecież ten czeski uczony, który rozszyfrował język Hetytów, no, czy to tak trudno sobie zapamiętać? Musisz mi obiecać, że będziesz się uczyć. Obiecujesz mi?

Pepik w milczeniu skinął głową, nic innego mu nie pozostawało. W ostatnim czasie zamykał się w ubikacji i czytał „Dikobraz". Dowcipy pamiętał, ale o tym, że matematycy w Mezopotamii stworzyli system sześćdziesiętny, używany do mierzenia czasu i stopni w kole, nie wiedział.

Tym razem Pepik nie zamknął się w ubikacji, pokornie udał się do swego pokoju z podręcznikiem w ręku. Słyszałem, jak Zdena porządkuje mu rzeczy i wyciera mokrą szmatą blat stołu. Potem usłyszałem jeszcze, jak trzasnęły drzwi i cienki, drżący głosik Pepika powtarzający, że Persowie przejęli wiedzę od najstarszych państw i że za ich pośrednictwem z jej osiągnięciami zaznajomiły się również narody żyjące nad Morzem Śródziemnym.

Kiedy Zdena wróciła do kuchni, zaczęła gotować kolację.

– Robię ją, żeby się uspokoić – odparła. – Myślałam, że dzisiaj ugotuję kaszę manną, ale zrobię wam kaszę jaglaną bez śliwek.

Tym nie mogła mnie zdenerwować. Wiem, że każda mama ma o swoim dziecku jak najlepszą opinię. Pepik wykułby i Fenicjan, ale co by z tego pozostało po tygodniu, nie miałem odwagi prorokować. Rację miała tylko pod tym względem, że wczoraj rzeczywiście więcej czasu poświęciliśmy hokejowi niż Fenicjanom. Hokej podbił nasze serca. Ależ to była walka!

– Wybacz – tłumaczyła mi po chwili – ale sprawy szkolne są pod twoją kontrolą, a ja mam tyle innych rzeczy na głowie, po prostu nie mam już na to wszystko siły. – Potem wyjęła z pudełka kaszę jaglaną. Niestety, to nie były tylko pogróżki. Udawałem pokorę. Było mi jej żal, ale bez przesady. Zdena była zupełnie ładną kobietą i kiedy tak sobie o tym pomyślałem, doszedłem do wniosku, że nie trafiłem źle. Przecież zawsze się starałem, żeby wszystko było jak najlepiej. Nastał już czas, by wyjaśnić sobie niektóre okoliczności.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Tylko niczego nie próbuj mi udowodnić. Interesują mnie tylko wyniki.

– Trudności związane z opanowaniem materiału należy oceniać z grubsza z dwóch punktów widzenia: ilości i jakości. Byłoby ciekawie zbadać ilość informacji, którą dzieci w piątej klasie muszą sobie przyswoić i to nie tylko na godzinach historii.

– Powiedz to nauczycielce.

– Jaruszce? Ona na pewno o tym wie...Rozpatrując sprawę od strony jakości, bierze się pod uwagę właściwości materiału, które decydują o jego złożoności. Weźmy na przykład pod uwagę syntaktyczną uciążliwość tekstu albo trudności pojęciowe.

Zdena podniosła się znad kaszy jaglanej, westchnęła i nalała sobie kieliszek kubańskiego rumu. Muszę mówić powoli, żeby w ogóle chciała mnie słuchać.

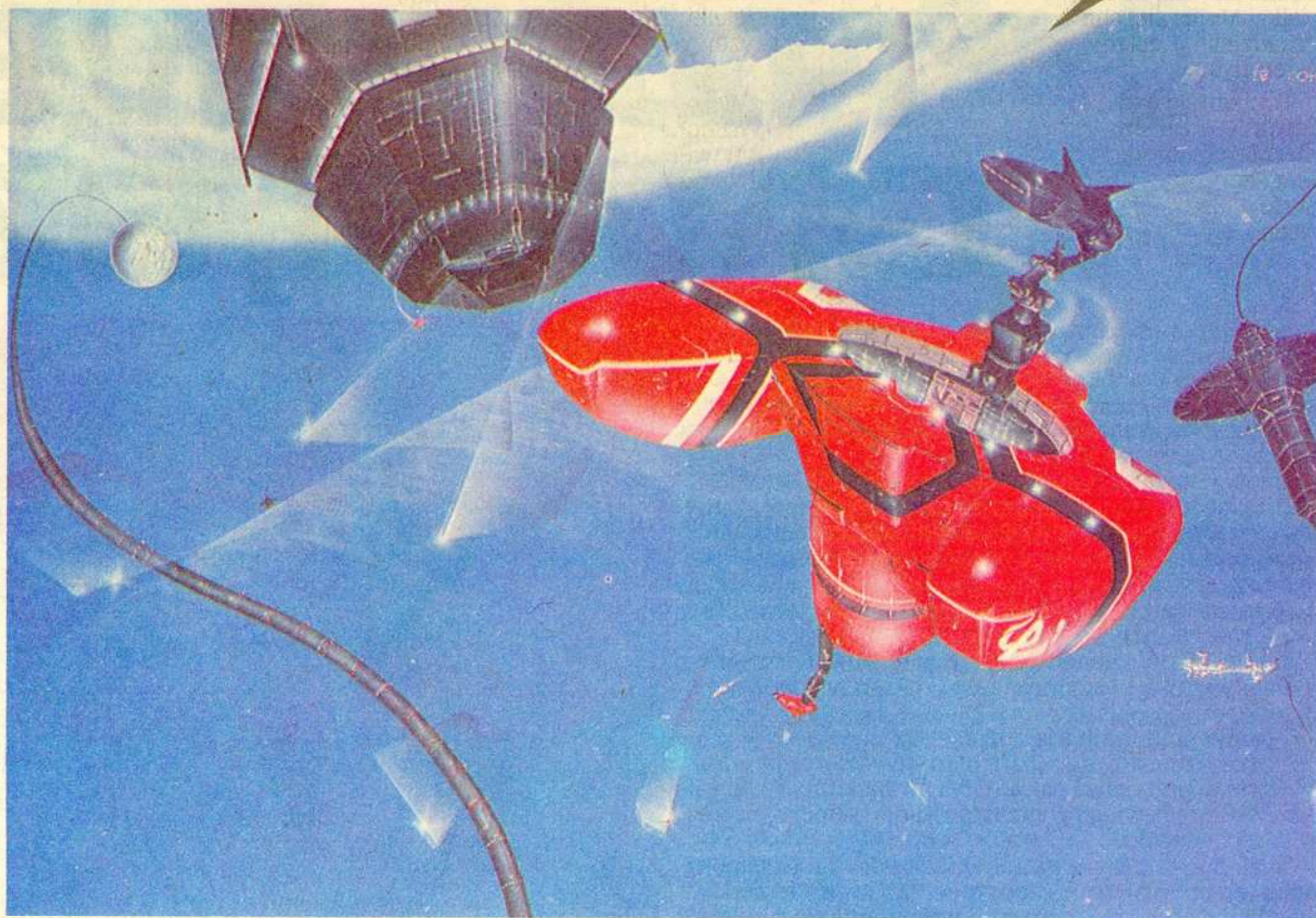
– Istnieje wzór określania stopnia trudności opanowania podręcznikowego tekstu.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Nie bój się, nie będę przedstawiać równań. Ostatecznie jednak, gdybyś mi pozwoliła obliczyć, okazałoby się, że niektóre podręczniki są dla dzieci w piątej klasie za trudne, nie tylko dlatego, że występują w nich złożone kompleksy zdań, ale i z powodu nadmiernego obciążenia pojęciami.

Spojrzała na mnie nieprzytomnie, musiałem trochę podnieść głos. Najchętniej chwyciłbym ją i potrząsnął, na szczęście dotarło do niej.

DARIUSZ CHOJNACKI



– Chcesz przez to powiedzieć, że te podręczniki nie są warte złamanego szeląga. Po prostu nie chcesz się przyznać, że oglądaliście hokej...

– Wcale się nie wykręcam. Oglądaliśmy hokej, ale do podręcznika także zaglądaliśmy.

– No to mi powiedz, dlaczego mu tego porządnie nie wyjaśniłeś? Przyznaj się, że nie potrafisz! A może ci to sprawia przykrość? No i po co cię mam, po co cię mam – rozbeczała się nagle.

– Nie było czego wyjaśniać – rozzłościłem się. – Tam jest wszystko, wszystko!

– Wszystko? – zapytała przestraszona. – Zgłupiałeś. Do szczętu zgłupiałeś. – Potem przełknęła ślinę, trzepnęła mnie w okolice karku i powiedziała – Idziemy!

Wyszliśmy na ulicę, padało. Zdena niosła wprawdzie parasol, ale ja w tym pośpiechu zapomniałem wziąć czapkę. Z początku myślałem, że idziemy do księgarni z podręcznikami, ale ona ciągnęła mnie dalej koło sklepu z mięsem, materiałami piśmiennymi, kapeluszami. Potem skręciliśmy w jakąś ciemną ulicę. Było ciemno, światło odbite od szyb przebijało krople deszczu i kłuło mnie w oczy. Często najpierw zaczynały mnie boleć oczy, a po jakimś czasie ból ogarniał całą głowę. Miałem wrażenie, że tak będzie i dzisiaj. Sześć minut przed szóstą wpadliśmy do sklepu „1001 drobiazgów". Dama, która cerowała skarpetkę za ladą, popatrzyła na czas ze wstrętem. Nie mogła oderwać wzroku przede wszystkim ode mnie. Pewnie znowu jakaś reklamacja!

– Zgłupiał – oznajmiła Zdena – nie mógł opanować materiału z piątej klasy.

Wstydziłem się, czułem się przed nimi, jakbym był małym chłopcem. Ale się popisują, dwie na jednego. Na szczęście wszedł nowy klient, mężczyzna z dziurawym parasolem.

Sprzedawczyni pochyliła się nade mną i wskazującym palcem strząsnęła mi z nosa kroplę deszczu. No, tego już za wiele! A ten facet z parasolem zaczął mi obmacywać czoło. Miał żółte palce, śmierdziały nikotyną.

– Jutro kończy nam się gwarancja, woleliśmy więc przyjść dzisiaj. Jest wyskalowany na szóstą klasę, a nie może opanować materiału z piątej.

Sprzedawczyni wsadziła mi na głowę czapeczkę z rebusem i puściła prąd.

– Wcale nie zgłupiał – stwierdziła po chwili autorytatywnie. – Czasami materiał z klasy niższej jest trudniej opanować niż z klasy wyższej.

– Przepraszam panią. Czy nie jest pani zadowolona z tej głowy? Czy chce ją pani zwrócić? – odezwał się gość z parasolem.

Zamrugała oczami. Od lady ciągnął chłód, nie było na niej obrusa.

– Widzisz – spojrzałem na Zdenę – że z głową wszystko jest w porządku.

– Ale jaki to ma sens i po co mi taka głowa – zaczęła narzekać Zdena. – Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Potem złapała mnie ze złością za włosy i wsadziła z powrotem do siatki. Na faceta w ogóle nie zwróciła uwagi.

Wygrałem. Niechętnie zmieniałem właściciela. Ze Zdeną można było zupełnie przyjemnie porozmawiać, chociaż te podróże w siatce niekiedy nieco mnie męczyły.

Przełożyła
Halina Janaszek-Ivaničková

Karl Michael Armer

PRZEZ WS GNAM, SZ

Jeden

Kiedy wtoczyłem się do sali narad, byłem nabuzowany jak rzadko kiedy. Miałem to gdzieś. Powietrze było przesycone narkotykami do tego stopnia, że i tak poczułbym się od razu jak naćpany.

Chłopcy siedzieli rozwaleni w fotelach, gadając coś bez ładu i składu, jeden przez drugiego. Rzecz jasna, same głupoty. Ale na pokładzie tego statku kosmicznego to nic nowego: chrzani się tak już od pięciuset lat. Można się do tego przyzwyczaić.

Opadłem na swój fotel, kładąc nogi na karcianym stoliku, i rozejrzałem się dokoła.

Admirał Jennings znowu udawał wilkołaka i wpatrywał się we mnie, szczerząc zęby. – Grrrr – odezwał się groźnie.

– Wzajemnie – odparłem uprzejmie.

– Dum bam bam, dum bam bam – wydzierał się admirał Carona, prztykając palcami tak gwałtownie, że czekałem tylko, kiedy z jego wypomadowanej czupryny zsuną mu się słuchawki.

Co za dureń z tego Chicano! Mógłby latami słuchać w kółko tej samej płyty. Ale kiedyś wreszcie cały ten bełkot – kiedy już przepełni mu uszy – wydostanie się z powrotem na zewnątrz, owinie mu się wokół szyi i udusi. Dum bam bam, dum duś duś, dław się, jęcz i krztuś. Finito, hihihi.

Spojrzałem na zawieszony nad nami ekran, ale gwiazdy były tak krzykliwie barwne, a cały wszechświat pulsował i tętnił życiem tak bujnym, że zebrało mi się na wymioty. Pośpiesznie odwróciłem się i wyrzygałem admirałowi Caronie na mundur. Nawet tego nie zauważył.

Bob Anderson, admirał admirałów, podniósł się z trudem i spojrzał na nas oczami nabiegłymi krwią.

– Chłopcy – powiedział – mamy do spełnienia doniosłą misję.

– Do ataku! – wrzasnął admirał O'Duffy. – Całą burtą! Bum, bum!

Anderson powiewał gniewnie kartką papieru. – To nie takie proste. Sęk w tym: wiemy, że mamy zaatakować gdzieś w pobliżu jakąś planetę. Nie wiemy jednak, którą. Ten świstek nic nam nie wyjaśnia.

– Nic dziwnego – zachichotał admirał Neumaier, główny radiooperator. – Meldunek ma już w końcu czterysta lat i trudno go odczytać.

– Możemy przecież wysłać do nich prośbę o wyjaśnienie – zaproponowałem.

Oczywiście uznali to za kawał miesiąca. Wybuchom śmiechu i gwizdom nie było końca. Admirał O'Duffy aż się pokładał i wreszcie spadł pod stół, a admirał Jennings swoim zwyczajem zawył jak wilk.

No tak, chłopcy byli dziś w dobrym nastroju. Zresztą trzeba przyznać, że rzeczywiście miałem kretyński pomysł: czekać potem kilkaset lat na odpowiedź z Ziemi!

– To jest właśnie odpowiednia postawa, ludzie – ucieszył się admirał admirałów. – Zawsze na luzie, nawet wtedy, gdy niebezpieczeństwo już bliskie i patrzymy wrogowi w oczy, ngg, ngg. – Przełknął dwie pastylki, a potem jeszcze czerwoną. – Ngg. Na czym to stanąłem? Ach tak, wróg. No więc, tu w pobliżu znajdują się trzy zamieszkałe planety. Zaatakujemy tę najbliższą, w systemie słonecznym USNSC 3318–59a. Nasz komputer jest pewien w 60 procentach, że właśnie o tę planetę chodzi. Sześćdziesiąt procent to niedużo, ale przecież którąś planetę musimy w końcu wybrać, prawda?



– Święte słowa! – wykrzyknął spod stołu admirał O'Duffy.

– Zwalimy im niebo na dach! – wrzeszczał admirał Carona. – Dum, bam, bam, dum, bam, bam!

Dwa

Chłopcy z pogotowia alarmowego nie podnieśli nawet wzroku, kiedy planeta eksplodowała na ekranie.

– Znowu o sześć miliardów tego paskudztwa mniej – skomentował kapitan Crocciante, rzucając na planszę kostki do gry.

Trzy

Nazwa statku: ZABÓJCA DOSKONAŁY
Port macierzysty: GUAM
Typ: Krążownik PGI (Krążownik zwiadowczy Planetarnej Grupy Inspekcyjnej)
Wymiary: długość 600 m, szerokość 70 m
Misja: Prewencyjna akcja obronna
Cel przeznaczenia: nieznany

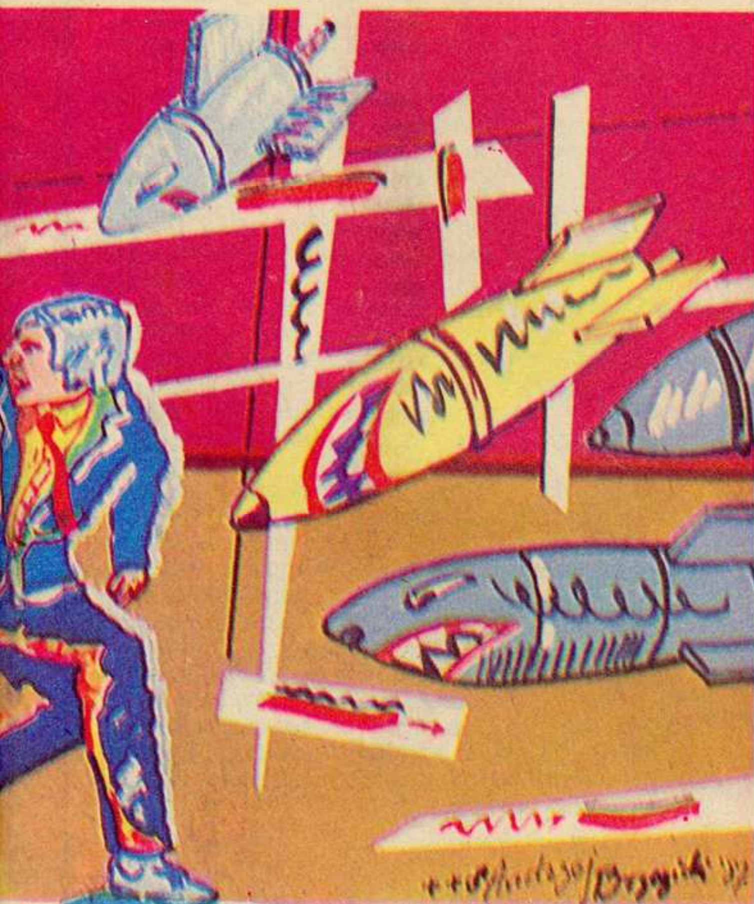
Cztery

Ludzie, nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo się nudzę. Znowu leżę sobie w 5 sektorze wypoczynkowym i nie ma dosłownie nic do roboty. Zdążyłem przeczytać już na tym statku wszystkie cholerne komiksy i obejrzeć wszystkie cholerne filmy, w ogóle zrobiłem już wszystko, co można na tym cholernym statku, ale teraz zabrakło mi już pomysłów, chłopcom też już nic nie

(Durch das Weltall, schubiduba)

ZECHŚWIAT UBIDUBA

Andrzej Brzezicki



Piękna Rita wystawiła głowę z centralki radiowej i zawołała: – Dwadzieścia osiem metrów! Nawet nieźle, panie admirale!

Z wewnątrz dobiegł nas okrzyk triumfu i Neumaier wybiegł na korytarz, aby przekonać się samemu, jaki był dobry.

– Super! – zawołał. – Cześć, doktorku!

Potrząsnąłem z dezaprobatą głową.

– Ładnie to, tak się obchodzić z meldunkami?

Wykonał pogardliwy gest. – Człowieku, od chwili naszego startu upłynęło na Ziemi pięćset pięćdziesiąt lat. Oni mówią już tam inaczej. I zdaje się, że myślą też inaczej. Dlatego wyrzucam wszystkie meldunki radiowe, przecież i tak nie rozumiem tego gówna.

– A rozkazy?! Skąd mamy wiedzieć, co robić?

Uśmiechnął się lekceważąco. – I tak tego nie wiemy. A może ty się orientujesz, co my tu właściwie robimy?

Sześć

Okay, to znowu my, moja nuda i ja sam. Nadal w 5 sektorze wypoczynkowym.

– Jaki to rok mamy teraz na Ziemi? – pytam swojego sąsiada.

Kapitan Crocciante wyłącza swój hologramowy peep-show i przez ciemne jak noc okulary słoneczne przesyła mi oleiste spojrzenie krwawego mafioso.

– 3600 – mówi. – Albo 2600. Zresztą co za różnica. To przecież tylko cyfry.

Wódz M'Boto (kapitan Ross) ożywia się. – Mam dla was coś nowego, chłopcy – oznajmia i rozbawiony potrząsa swoją afro-grzywą.

– No, to opowiadaj, czarnuchu! Czyżby Jennings i kapitan Speckschwarte znowu się pobili?

– Coś o wiele lepszego! Admirał O'Duffy opuścił nas. Śmieje się, patrząc na nasze miny: – Spotykam go przy śluzie powietrznej. Widzę, że nie ma na sobie skafandra, pytam go więc: Co tu robisz? – Przecież widzisz, odpowiada, idę do ubikacji. To powiedziawszy, zamyka za sobą drzwi śluzy i katapultuluje się w kosmos. Niezłe odejście, co?

– Hej, ale numer!

– Niech żyje O'Duffy!

I tak to wygląda. Każdy z nas to pomyleniec. Nie jesteśmy na statku kosmicznym prowadzonym zgodnie z dyscypliną wojskową, lecz stanowimy zgraję wariatów, którzy uzyskali stopnie wojskowe, i to naturalnie najwyższe. Podstawą do awansów jest czas ziemski, po dwóch latach spędzonych na pokładzie mieliśmy już więc za sobą tyle lat ziemskiej służby, że byliśmy wszyscy w randze admirała. Przynajmniej oficerowie. Reszta otrzymała awans na kapitanów.

Oczywiście ucierpiał na tym autorytet. Nie było już przecież przełożonych. Tylko 300 admirałów i 700 kapitanów. No tak, a poza tym nie mieliśmy właściwie zielonego pojęcia, jakie jest nasze zadanie. I ten lot, ciągnacy się w nieskończoność. I ta cała masa pastylek na pokładzie. Tak oto dlaczego z upływem czasu wszystko się rozpadło.

Obecnie jesteśmy już tylko zgrają alkoholików z olbrzymim zapasem głowic bojowych do niszczenia planet i nie wiemy, o co tu właściwie chodzi.

Nieraz jest całkiem wesoło. Gdyby tylko nie ta cholerna nuda!

Chyba znowu muszę włączyć moje stare, dobre kino mózgowe. Sięgam do pojemniczka i wyciągam kilka błę-

przychodzi do głowy, leżymy więc i gramy sobie wzajemnie na nerwach.

Co za cholerna nuda, NUDA wypisana samymi wielkimi literami!

No cóż, cały ten projekt był już od samego początku jedną wielką bzdurą, niech to diabli! Wygraliśmy właśnie ważną wojnę północno-południową, co zrodziło sporą dawkę dumy narodowej i nadmierną chęć do wojaczki. I wtedy rząd pomyślał sobie: skoro podbiliśmy całą Ziemię, to teraz kolej na wszechświat.

I w ten oto sposób wyruszyliśmy w kosmos: ZABÓJCA DOKONAŁY i jego bliźniaczy statek TYRANNOSAURUS REX oraz kilka mniejszych niszczycieli klasy PIRANIA. Otrzymaliśmy zadanie: „rozszerzyć i zabezpieczyć strefę wpływów Ziemi", co w praktyce oznaczało po prostu: „przejąć wszystkie planety bogate w surowce i wysadzić w powietrze wszystko, co mogłoby stanowić dla nas zagrożenie!"

Brzmiało nieźle, ale realizacja polecenia okazała się totalną plajtą. Relatywne zwalnianie upływu czasu przy naszym locie z prędkością światła sprawiło, że rozdzieliliśmy się całkowicie. Ziemia i ZABÓJCA DOSKONAŁY. Jesteśmy od piętnastu lat w drodze, a na Ziemi upłynęło w tym czasie około sześciuset lat. Oczywiście trudno w takim przypadku mówić o wspólnej bazie. Całą łączność diabli wzięli. I to gruntownie.

Pięć

Papierowy gołąbek przeleciał tuż obok mojej głowy i wylądował z gracją trochę dalej, na korytarzu.

DARIUSZ CHOJNACKI



kitnych pastylek. Ngg ngg, ngg. Zobaczymy, jaką niespodziankę przygotują mi dziś moje drobne, szare komórki.

Siedem

– Baczność! – krzyknął sierżant Schultze, zgarniając swoje kubki na kostki. Spoglądając surowo spod stalowego hełmu, wyprężył się regulaminowo i wsunął kciuki za swój szeroki pas wojskowy.

– Dziękuję, proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział cicho hrabia von Adelstein. Utykając, wszedł do centralki. Jego buty były nieskazitelnie czyste, jak zwykle zresztą. Na dłoniach miał rękawiczki, a w prawej ręce trzymał szpicrutę, którą uderzał niedbale o banki danych.

– Dziękuję, Schultze.

– Tak jest!

Nagrodziliśmy ich brawami, gdyż dobrze odegrali swoje przedstawienie. A na pokładzie naszego statku każda odmiana dawała powód do radości.

Schultze to właściwie kapitan Masterson, a hrabia von Adelstein – admirał de Leary, nasz Pierwszy Oficer. Ostatnio takie maskarady zdarzały się u nas coraz częściej. Superman, Mściciel w Masce, Hegar Groźny, Luke Skywalker i, i, i. W końcu trzeba było się jakoś odróżniać na statku, którego załoga składała się tylko z admirałów i kapitanów.

– Dobrze, że pan przyszedł – powiedział do Adelsteina Humphrey Bogart.

Siedział przed monitorem dziobowym z podniesionym kołnierzem płaszcza i kapeluszem ściągniętym na czoło. W kąciku ust tkwił wygasły papieros.

– Z przodu widać jeszcze jedną pomarańczę, którą możemy obrać.

Adelstein obserwował na ekranie obcą planetę. Oko skryte pod monoklem wydawało się olbrzymie i straszliwie zniekształcone.

– Z pewnością nieprzyjaciel – skomentował zwięźle.

– Niewątpliwie.

– Nie wolno nam ryzykować.

– Jasne.

– Wyeliminujemy tych drani.

– Te szczury! – poprawił Schultze.

– Bogey, powiadomić strzelca.

Humphrey Bogart (admirał Kosinsky) wyciągnął z płaszcza swoje walkie – talkie i wymamrotał odpowiednie rozkazy.

Osiem

– Czy pamiętasz – zapytał Frisco Freak, pierwszy strzelec, Denisa, drugiego strzelca, głaszcząc przy tym delikatnie komputer celowniczy wyrzutni torpedowej – czy pamiętasz, jak dawniej astronomowie łamali sobie głowy nad sposobem powstawania Novej? Nie przypuszczali wtedy nawet, że wystarczy po prostu przycisnąć ten czerwony guziczek.

Dziewięć

Kiedy doktor Nightmare wrócił z laboratorium, był spryskany od stóp do głów zieloną krwią.

– Ciekawy gatunek – powiedział, oddychając z ulgą. – Wytrzymał dwanaście tysięcy wolt. Również przy wiwisekcji można było stwierdzić zadziwiającą tolerancję na ból.

Umył ręce i zapisał coś w małym notatniku. – Na Ziemi stanie się to bestsellerem – powiedział rozmarzony. – „Test na zniszczenie istot pozaziemskich. Studium porównawcze fizjologii mieszkańców kosmosu. Pierwsze wyniki badań nad egzobiologią niższych ras obcych – w opracowaniu doktora Franka X. Arnolda". No, jak to brzmi?

– Świetnie, świetnie – odparłem machinalnie, przyglądając się siostrze Mercy, zmysłowej pielęgniarce operacyjnej doktora Nightmare'a, która wkładała właśnie do pojemnika na śmieci plastikową, pomazaną krwią torebkę.

– Miałbym zapewnioną sławę naukową – doktor Nightmare wpatrywał się w dal, bujając znowu w obłokach. – A jeżeli chodzi o pieniądze: zapiski z moich... ee... eksperymentów mógłbym przecież sprzedać – kasety wideo, filmy, albumy, programy dla telewizji kablowej. „Istoty pozaziemskie na stole operacyjnym", odcinek 12. I to wszystko w programie Rexa White'a „Godzina gwałtu" na kanale 33. Jestem przekonany, że uzyskałbym rekordowy stopień oglądalności.

– Szczury! – wrzasnął przechodzący obok Schultze.

– Może chciałby pan obejrzeć najnowszą kasetę? – zapytał Nightmare. – Pan jako naukowiec...

– Nie, dziękuję, dopiero co jadłem. Mój żołądek...

– Słabe nerwy, co? No cóż, nie to nie. Nie wie pan przypadkiem, czy nie zamierzamy skierować się znowu na jakąś planetę i zabrać na pokład kilka osobników? Mój zapas osobników doświadczalnych zaczyna się kończyć.

– Nie, nie będziemy już zabierać na statek żadnych istot pozaziemskich.

Doktor Nightmare wykrzywił twarz w intelektualnym uśmiechu. – Trudno, w takim razie będę musiał zmontować sobie z tych części, jakie mam, kogoś nowego.

Dziesięć

Widoczna na ekranie istota pozaziemska skręcała się z bólu, wydając jakieś piskliwe, niezrozumiałe dźwięki.

– A więc tak wyglądają – zainteresował się Frisco Freak. – Ale dzikusy!

– Jeszcze trochę i sfajda się ze strachu – dodał Dennis.

Ekran wypełniły płomienie i kłęby dymu. Na drugim planie biegła jakaś płonąca postać. Głos obcego stał się jeszcze bardziej przeraźliwy, naglący, podniecony.

– Te obce rasy nie mają w ogóle żadnego stylu! – powiedział z odrazą w głosie hrabia von Adelstein. – Ofermy! FF, proszę z tym skończyć!

– Jasne! – odparł Frisco Freak. Spojrzał przyjaźnie na skomlącą istotę pozaziemską i oznajmił: – No cóż, chłopcze, na to nie ma rady. Jeszcze kwadrans i będziesz martwy. To właśnie jest wojna, dziecino.

Jedenaście

JA ZWARIOWAŁEM. TY ZWARIOWAŁEŚ. ON ZWARIOWAŁ. ONA ZWARIOWAŁA. ONO ZWARIOWAŁO. MY ZWARIOWALIŚMY. WY ZWARIOWALIŚCIE. ONI ZWARIOWALI.

NIEZNANY ŻOŁNIERZ

(Epigraf na grodzi wewnętrznej między pokładem C a centralą nawigacyjną).

Dwanaście

– Co to ma znaczyć? – grzmiał Bob Anderson, admirał admirałów. – Nie może pan zmienić kursu?!

– I to już od paru lat – odparł Bogey, trzymając niedbale papierosa w kąciku ust.

– Co takiego? Od paru lat? W takim razie, kto prowadzi ten statek?

– Pilot automatyczny.

– Pilot automatyczny?

– Tak, pilot automatyczny.

– A dokąd to prowadzi nas ten kochany pilot automatyczny?

– Nie wiem. Astronomowie śmieją się tylko, kiedy ich o to pytam.

– W takim razie, ngg, ngg, niech pan natychmiast wyłączy tego cholernego pilota automatycznego!

Karl Michael ARMER

Urodzony w roku 1950, pisze opowiadania SF od roku 1977. Ten młody autor znalazł swój własny głos i jest obok Czechów i kilku autorów polskich najlepszym dowodem żywotności fantastyki europejskiej, odmiennej w wyrazie zarówno od amerykańskiej, jak i od brytyjskiej. Opowiadanie „Przez wszechświat gnam, szubiduba" – utrzymane w tonacji histerycznej wesołości – nasuwa skojarzenia z brawurowym opowiadaniem Neffa o „Największym szajbusie w dziejach swangu".

W innym świetnym opowiadaniu tego autora „To nie trzęsienie ziemi..." („Fantastyka" 11/1986) na str. 12–14 nastąpiło przez niedopatrzenie redakcji technicznej i korekty przestawienie dwóch fragmentów tekstu za co Autora i Czytelników przepraszamy.

L.J.

– Nie mogę. Jest zabezpieczony przed wszelką manipulacją.

– Do diabła, nie potrafi pan się obchodzić z automatyką?

Bogey wyciągnął spod płaszcza niewielki pistolet i podsunął go Andersonowi pod nos. – Potrafię obchodzić się z automatem, i to jak! – oznajmił ze stoickim spokojem.

Admirał Anderson przełknął ślinę. – Tak – powiedział. – No tak. Cóż, to i tak nie ma większego znaczenia. Kiedyś wydostaniemy się z tego, przyjdzie taki dzień.

Trzynaście

– Pokój ci, bracie – powiedział Frisco Freak, rzucając się na fotel.

– Hej – odparł Dennis.

– Czy to ta planeta? – Frisco Freak zaczął przygotowywać wyrzutnię do odpalenia.

– Tak. Wielki obszar wody z ośmioma małymi kontynentami wyspiarskimi.

Frisco Freak spoglądał na monitor zamglonymi oczyma. Wyglądało tak, jakby się w coś wsłuchiwał. – Ta planeta ma ładne brzmienie – powiedział w końcu. – Hej, Dennis, co byś powiedział na niewielkie zawody strzeleckie? Ty weźmiesz wyspy na północy, ja – na południu.

– Bardzo chętnie. – Dennis był dziś w dobrym humorze. Wymachiwał nogami odzianymi w tenisówki i wystukiwał rytm starych przebojów, rozbrzmiewających właśnie z głośników pokładowych.

Frisco Freak ustawił optyczny wskaźnik współrzędnych celu i dwukrotnie uderzył pięścią w spust wyrzutnika bombowego.

Dennis uruchomił swój wyrzutnik, zadając cios kantem dłoni. – Hu – ah.

Kilka minut później widoczna w celowniku planeta rozbłysła potężnym słupem ognia.

– Jestem bogiem ogni piekielnych! – pisnął Frisco Freak.

Zapłonęła druga błyskawica.

– Ha, chybiłeś, Dennis!

– Bo za bardzo wsłuchiwałem się w muzykę, człowieku. Czy słyszysz ten bas? Człowieku, to klasa! Ale następnym razem trafię. Widzisz? Nie mówiłem? Wum!

– Masz złote ręce, Dennis!

– Taaak, to się nazywa moc, człowieku! Możesz sobie wyobrazić tę falę, która teraz zalewa wszystko w dole? Człowieku, mógłbyś opłynąć na niej całą planetę!

– Cicho! To „Doomsday Surfers"! Ze swoim najnowszym przebojem „Dzień gniewu", szubiduba!

– Ha, znowu poszło kilka milionów! Śmiało, dalej, dalej...

Czternaście

– I oto rozpoczynamy znowu nasz koncert życzeń „Muzyka w śluzie powietrznej" – seplenił kapitan Beefheart do mikrofonu. – Na początek piosenka z łezką dla admirała Andersona: „Przez wszechświat!"

Potknąłem się o stos śmieci i w ostatniej chwili podparłem o ścianę korytarza. Zakląłem siarczyście. Doszło już do tego, że rozrzucają śmieci gdzie popadnie! W niektórych miejscach brodziło się w nich po kolana. A część pokładów śmierdziała jak chlew.

Oświetlenie w tym segmencie korytarza nie działało. W półmroku odbijał od ściany napis wykonany czerwoną, fosforyzującą farbą:

Nadejdzie dzień, że ZJEM
ten statek kawałek po kawałku!
DOKTOR SZCZUR

– Ma rację! Już dawno nie było lepszego pomysłu!

– Ten statek to Latający Holender.

– Tak, ale niebezpieczny.

– I szalony. Hej, jak ci się to podoba: Szalony Holender?

To Statler i Waldorf, nasi dwaj astronomowie, którzy najczęściej przesiadują w swojej kopule obserwacyjnej i twierdzą, że właśnie oni są najnormalniejszymi ludźmi na pokładzie. Zanim jednak zdołałem kopnąć ich w tyłek, zniknęli za najbliższym załomem korytarza.

Zatrzymałem się przed drzwiami z napisem „Dr Dr Jan Jacoby, Psychochemik". Potrzebna mi była dłuższa chwila, zanim uświadomiłem sobie, że Dr Dr Jan Jocoby to właśnie ja. W tym napisie na drzwiach było coś transcendentalnego. Była to informacja z innego świata.

Otworzyłem drzwi i wkroczyłem do laboratorium. Hm, tu też było kiedyś o wiele czyściej. W każdym kącie brudy i KURZ NA MOICH PROBÓWKACH! Ten widok był dla mnie szokiem. Stałem się nagle zupełnie normalny. Pot wystąpił mi na czoło. A więc i mnie dopadł horror rzeczywistości! Niech to diabli, niech to diabli!

Ziemia rozstępowała się już pode mną, ale na szczęście zjawił się właśnie admirał Prokop, drugi oficer, a właściwie wparował na swoich niebieskich wrotkach.

– Doktorze, musi pan nam pomóc – dyszał, wachlując się reklamowym prospektem lotnictwa marynarki. – Kończą się nam już pastylki! Chłopcy stają się znowu normalni, nie wytrzymują tego! Niech pan przygotuje jak najszybciej kilka nowych, zielonych, żółtych, czarnych, wszystko jedno zresztą – jakich! Byle szybko! Inaczej nie wytrzymamy tego dłużej!

Nie musiał mi tego powtarzać po raz drugi.

Piętnaście

Moja nowa mieszanka okazała się wręcz rewelacyjna. Wszyscy byliśmy po niej jeszcze bardziej oszołomieni niż zwykle. Na statku zapanował całkowity rozgardiasz. Nic dziwnego, że raptem zgasło światło.

– Do diabła! A to CO ZNOWU?

– To światło...! No tak, nie zawsze działa.

(Ogólna wrzawa).

– Co ty mówisz?

– Powiedziałem, że mamy przed sobą jakąś zamieszkałą planetę. Widzę ją na detektorze!

– Jak wygląda?

– Skąd mogę wiedzieć? Ekran diabli wzięli. Mam tu tylko wskazania masy.

– No, to trudno. Załatw ją!

– Z przyjemnością. No, przesyłka odpalona! Z najlepszymi pozdrowieniami od „Zabójcy doskonałego".

– Wspaniale to zrobiłeś, kochany Dennis!

– BACZNOŚĆ!

– Stul gębę, Schultze!

– Czy to pan, admirale Jennings?

– Tak.

– To dla pana.

– Au, aa! Ty tchórzliwy bydlaku, tak po ciemku?! Czekaj no, zaraz cię wyślę do doktora Nightmare!

(Potworny zgiełk i okrzyki bólu).

– Dum bam bam, dum bam bam.

Ponownie zabłysło światło. Kapitan Speckschwarte trzymał admirała Jenningsa w żelaznym uścisku, teraz zaś zastygł w bezruchu, zupełnie jak na zdjęciu błyskowym. Jego uśmiech był równie szeroki, co fałszywy.

– Speckschwarte, ty sukinsynu... – dyszał Jennings.

– CZŁOWIEKU, TO ZIEMIA!

– Co takiego?

– Zaatakowaliśmy Ziemię! – wrzasnął Dennis.

– Niemożliwe! – mruknął admirał admirałów. – Ziemię? Jesteś tego pewien?

– Automatyczny pilot – wycedził Bogey. – Kurs: z powrotem na Ziemię.

Wzrok wszystkich skierował się na ekran, na błękitną planetę z białymi połaciami chmur.

A potem Ziemia przekształciła się w Słońce.

Ekran migał i błyszczał.

– No i proszę, oto ginie nasza matka Ziemia – odezwał się Frisco Freak. Odchylił głowę daleko w tył i roześmiał się na całe gardło.

Nie bardzo wiem, jak to się stało, ale nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Coś takiego, Ziemia! – rechotał Dennis. – Pyk! Wystarczyło, że dotknąłem palcem!

– Wniosek z tego taki, aby zabójcy nie dawać nigdy biletu powrotnego. – Nawet Bogey podzielał ogólną radość.

– Ludzie – zawołał admirał Anderson – od dzisiaj należy do nas cały wszechświat. Usunęliśmy już z naszej drogi wszystko, co mogłoby stanąć nam na zawadzie!

To oświadczenie uznaliśmy za niesłychanie dowcipne. Tak dowcipne, że pialiśmy z zachwytu, nie mogąc się uspokoić przez dłuższy czas.

Doprawdy, była to piekielna radość.

To tyle.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

– I Ziemia. – I oto tłum przeniesiony zostaje na „Eizdgin", gdzie ziemioryjcy połączywszy trzy pokłady stworzyli las niebosiężnych sosen i królewskich dębów pod lazurowym niebem.

– Niech się stanie materia i energia bez końca – rzekliśmy dnia trzeciego – mówisz i czujesz moc przepływającą przez twe ciało, gdy siadasz okrakiem na obniżonym trzonie pochodni, gdy sam stajesz się pochodnią, na której jedziesz. – I oto jest materia i energia wiecznotrwała.

A dnia czwartego udaliśmy się na odpoczynek – mówisz dryfując w próżni. – I na kontemplację tego, czegośmy sami nie stworzyli. Stwierdziliśmy, że jest to pozbawione życia oraz znaczenia i że jest beznadziejnie niedoskonałe.

– Dnia piątego zaś – rzecze D'mahl, a ty widzisz go stojącego w czerni, odzianego w strój z tysiąca świateł – porzucimy nasze dzieciństwo, bogi i demony, planety i słońca, winy i skruchy.

D'mahl stoi przed ogromnym drgającym ekranem, patrząc z góry na trawę i las pokładu rolnego.

– A dnia szóstego, czyż nie powiemy: Niech się stanie życie? I czyż nie stanie się życie?

Niedźwiedzie, krowy, jednorożce, konie, psy, lwy, żyrafy, czerwone aksamitne stworzenia o wyglądzie kangurów, hipopotamy, słonie, tygrysy, bawoły, myszy, kolibry, myszy, zające, gęsi, zebry, kozy, małpy, skrzydlate smoki, tapiry, orły – gnają na łeb na szyję, lądem i powietrzem, z drgającego ekranu, aby wypełnić swoją muzyką lasy i pastwiska.

Jesteś D'mahlem, czujesz, jak moc pochodni przenika twoje ciało, siejesz błyski z opuszków palców, stoisz w samym centrum Karawany, skąpany w świetle, życiu i ruchu. Mówisz:

– A dnia siódmego, czyż nie powiemy: Obyśmy byli płodni i rozmnażali się i zapełniali martwe, nieskończone obszary próżni statkami, życiem i znaczeniem?

I rozpościerasz ramiona, a wokół ciebie eksploduje rój statków–pochodni i Karawana rozkwita w olbrzymią mandalę, wypełniając sobą czerń otchłani, niezmierzoną, otwierającą się w nieskończoność, wieczną.

– I czyż nie będzie to dzień wieczny?

KONIEC

Norman Spinrad

Jeździec na pochodni

(Riding the Torch)

przełożyła Jolanta Kozak

Norman Spinrad należy do tego pokolenia pisarzy SF, którzy stojąc na barkach takich twórców gatunku jak Asimov czy Clarke posługiwali się konwencją fantastyczną dla realizacji swoich bardzo różnorodnych zamierzeń pisarskich (B.W. Aldiss, U. Le Guin, G. Wolfe). Tutaj Spinrad daje swoją, psychodeliczną wersję poszukiwania ostatecznej prawdy poprzez piętrzenie doznań estetycznych, osadzoną w ulubionej przez niego atmosferze schyłkowości. Mikropowieść „Jeździec na pochodni" została nagrodzona Jupiterem w roku 1975. Opowiadanie Spinrada „Anioły R" drukowaliśmy w „Fantastyce" nr 8/37.

L.J

Rozdział I

Siejąc tęczowe błyski z obcisłego lustrzanego kostiumu, spowity w obłok czarnej peleryny, Jofe 'mahl wtargnął poprzez dymnie połyskliwy ekran ściany-burty ogromnego salonu-okrętu, przy akom-aniamencie pierwszych taktów Piątej Symfonii Beethovena. Wraz z jego ciałem, migotliwą ścianę prze-iknęło widmo światła, obwieszczając naocznie obecność gospodarza rtęciowymi pulsującymi błyska-ni. Wszystkie głowy się odwróciły, wszystkie postacie zamarły i całe przyjęcie zastygło na dłuższy bit, w tórym Jofe D'mahl przywitał gości ironicznym półukłonem. Dopiero kiedy ruszył po mglistym parkie-ie w stronę unoszącej się w powietrzu tacy z olśniewaczami, bankiet odzyskał poprzedni rytm. Jofe 'mahl zrobił wejście.

Wybrał z tacy purpurową kulkę, wrzucił olśniewacz do ust i wgryzł się przez wyrafinowaną, orzeź-viającą gąbczastość w przejmujące jądro aksamitu, doznając smakowego orgazmu. Pierwsza klasa, utorstwa niejakiej Lindy Wolder – tak powiedziała Jiz i jak zwykle trafiła w dziesiątkę. D'mahl wczuł azwisko Lindy Wolder do swojego banku, włączając je w ścieżkę zmysłową z ostatnich dziesięciu ekund i uzupełniając nim bieżącą listę bankietową. W rzeczy samej, to wschodząca gwiazda, trzeba o iiej pamiętać.

Postukał w szybującą tacę, aby podążała za nim i ruszył poprzez wielobarwną, sięgającą kolan mgłę, ozdając ukłony i spojrzenia soczyście zielonych oczu, chłonąc klimat, który sam powołał do życia.

D'mahl skusił samego Hiro Korakina, aby zaprojektował mu grand-salon jako interpretację osobo-vości. Korakin wywiesił z kadłuba statku olbrzymią, półkolistą płytę usianego bąbelkami powietrza szmaragdu i nakrył ten wielki taras kloszem z przezroczystego plexi, oferując gościom D'mahla zapie-rający dech w piersiach, bezpardonowy obraz wszechświata. „Excelsior" mieścił się właściwie w cen-rum Wielkiego Szlaku, zaś linię horyzontu salonu wyznaczała liczna flota statków – dumne, drogocen-ne miasto migotliwych świateł. Dziesięć kilometrów przed dziobem „Excelsiora", błona wodorowa o wyglądzie zorzy polarnej oddzielała ich od niezmierzonej nagości przestrzeni międzygwiezdnej.

Wyjrzeć poza krawędź tarasu, w wypolerowaną i rozjarzoną światłami czeluść cylindrycznego ka-dłuba „Excelsiora", znaczyło stanąć oko w oko z widokiem, który wsysał się w głąb duszy, aż po samo dno – bezdenny międzygwiezdny jar, bezgraniczna czarna studnia, a w niej miriady gwiazd jak połys-kliwe drobinki nieznaczącego pyłu – nicość rozciągnięta po wieczność w czasie i przestrzeni. Gdzieś w tej czerni, w nieokreślonym punkcie, niewidoczny pióropusz pochodni „Excelsiora" łączył się z dwoma tysiącami trzydziestoma dziewięcioma podobnych sobie pióropuszy pochodni innych statków, w ete-ryczny ogon komety z ledwie widzialnego płomienia o barwie fioletu, który blakł stopniowo w cienką smużkę, ciągnącą się po wieczność w głąb czeluści. Był to ślad przejścia Karawany, który jak nitka z kłębka rozwijał się wstecz w przestrzeni i czasie, na odległość setek lat świetlnych i blisko dziesięciu stuleci, ślad dostrzegalny, który można by, zdawało się, prześledzić wzrokiem poprzez wieki aż po sam ogród utracony – Ziemię.

Jofe D'mahl wiedział doskonale, że dla wielu z jego gości owo dosłowne, realistyczne zobrazowanie kondycji ludzkiej jest czymś niepokojącym, przerażającym, może nawet w złym guście. Ale to było ich zmartwienie: dla D'mahla był to widok oszałamiający, co, naturalnie, słusznie podnosiło jego i tak już wysoką opinię o własnej osobie. Nie bez kozery Krakin cieszył się sławą najlepszego psychitekta w Karawanie.

Wnętrze grand-salonu D'mahl urządził jednak osobiście, przy nieocenionej współpracy Jiz Rumoku. Na przezroczystej szmaragdowej posadzce zasadził migotliwy las rubinowych, szafirowych, diamento-wych i ametystowych drzew, zwodniczo wiernie naśladujących żywe formy z odległej przeszłości, które przy każdym najlżejszym drgnieniu powietrza trzepotały połyskliwymi liśćmi z kryształu. Efekt dopeł-niała wonna mgła, w której mieszały się błękitne, czerwone i liliowe odcienie wiecznie opalizujących drzew i która poza klimatem baśni utrzymywała stałą grawitację 8 gs na synck. Dla złagodzenia ostrości kryształowych krawędzi, Jiz wystarała mu się o zestaw czterdziestu pufo-kul, puchowych balonów w stonowanych odcieniach zieleni, brązu, ochry i szarości, które szybowały gdzie popadło tuż nad pozio-mem posadzki, dopóki ktoś w nich nie usiadł. Korakin uchwycił rdzenną dla D'mahla przenikliwość widzenia, a sam Jofe dołączył do tego neobarokowy styl swoich ostatnich sensosów. Wynikłe z tego

– Chciałbyś wiedzieć, co wiedzą próżniojady, chciałbyś, nędzny śmiertelniku? – odzywa się głos z kolumny nuklearnego ognia. – Chciałbyś znać prawdę, od której dusza twoja sczeźnie w grudkę pro-chu?

I grzyb chmury przemienia się w starca w zszarganej szacie, o długich siwych włosach i brodzie, o wzroście mierzonym na parseki, starca, który palcami stóp zmiata gwiazdy, a którego dłonie tworzą mgławice. W oczach starca jarzą się nove, z opuszków palców strzelają komety, a na obliczu maluje się gniew, doszczętny i wieczny.

– Popatrz no na swój wszechświat, dwunożna małpo, na to, co daję ci teraz, pomiocie Adama, i po wsze czasy!

Stoisz na czarnym skalistym urwisku, pod okrutnym, najeżonym promieniami słońcem, krztusząc się próżnią. Stąpasz po wodzie oleistego, żółtego morza, które wypiera twoje ciało, a sine błyskawice rozdzierają seledynowe niebo. Wokół ciebie wiruje zielono-niebieski śnieg, a ty czołgasz się przez bez-kresną równinę spękanych lodów pod nikłym czerwonym słońcem. Twoje kości trzeszczą pod ciśnie-niem 4g, kiedy próbujesz unieść się pod kruszejącym nawiasem, a odległe niebo o obrzydliwie szarej barwie znaczą paskudne, brunatno-purpurowe smugi.

– Spójrz na swoją ostatnią płonną nadzieję, przeklęte stworzenie! – ryczy głos. – Spójrz na swój Eden, 997-Beta-II!

I stoisz na spękanym szelfie jadowicie zielonej skały, patrząc z góry na chemicznie niebieskie morze. Purpurowe niebo upstrzone jest niebieskimi i zielonkawymi obłokami, a powietrze rozdyma ci płuca, kolana uginają się pod tobą, świadomość zaczyna się oddalać.

Raz jeszcze pływasz w próżni, otoczony galaktycznym grzybem chmury, który przeistacza się w przerażający obraz starca wysokiego na całe lata świetlne. Doszczętna pustka czeluści międzygwiezdnej płonie ogniem promieni X, dobywającym się z czarnych dziur jego oczu, włosy i broda są rozdymają-cymi firmament grzywami gorejącego do białości płomienia, szpony palców zgniatają kolonie gwiazd, usta przecinają galaktykę blizną śmierci, a gniew jego jest absolutny.

– Proch, śmierdzący mikrobie! – wyje głosem, od którego dziesięć tysięcy planet wyskakuje z orbit.

– Wszystko to proch marny! To właśnie wiedzą próżniojady. Biada ci, stworzyłem dla ciebie wszech-świat, który nie ma końca, czas i przestrzeń bez końca. A w całym tym dziele jeden ogród obfitujący w życie, jedną Ziemię, jeden Eden, który własnymi rękami na zawsze zniszczyłeś. Wszystko inne to proch – pusta próżnia, trujący gaz, martwa materia, światy bez końca, czas bez litości! Patrzcie na dzieła moje, o śmiertelni, patrzcie na swoje więzienie, i bądźcie pogrążeni w rozpaczy!

Od jego śmiechu drży galaktyka, a oczy jego są jak otchłanie piekielne.

Potrząsasz głową i uśmiechasz się. Palcem wskazującym prawej ręki mierzysz w piekłącego się kolo-sa.

– O jednym zapomnisz, kuternogo –mówisz. – To ja stworzyłem tę rzeczywistość. Ty nie jesteś rze-czywisty. Ulotnij się, bzduro chorej wyobraźni!

I monstrualny starzec poczyna się rozpływać w ogromną sinawą mgłę.

– Może i nie jestem rzeczywisty – mówi – ale na pewno rzeczywista jest sytuacja, w której się znalaz-łeś. Z niej się wymigaj, pyskaczu! – Znika, dłubiąc kciukiem w nosie.

A ty widzisz Jofe D'mahla, małą figurkę w lśniącym lustrzanym kostiumie, stojącą samotnie w wie-czystej czeluści. Odwraca się do ciebie, rośnie, mówi:

Czyśmy wbrew Fatum nie konspirowali,
A, ujarzmiwszy podły kształt wszechrzeczy,
W kształt marzeń czyśmy go nie przemieniali?

Lustrzany strój D'mahla sieje błyski w nieskończoność, poprzez barwy widma światła. Z opuszków jego palców strzelają błyskawice, a zorze otaczają pierścieniami jego ciało jak fale błon wodorowych.

– Niech się stanie światłość – powiedzieliśmy dnia pierwszego – i oto jest światłość.

Jesteś D'mahlem, wokół ciebie wyrasta nagle drogocenny przepych dwóch tysięcy czterdziestu stat-ków-pochodni.

– Niech się stanie niebo – rzekliśmy dnia drugiego – mówisz, i stoisz oto na pastwisku pełnym łago-dnych, purpurowych pagórków, pod tęczowym niebem, w roztańczonym tłumie obywateli Karawany.

zyb chmury ognia nuklearnego, wysoki na wiele lat świetlnych, skłębiony, nieogarniony – statyczny, ieczny.

– Gdyż teraz stałem się Panem Nieprzyjaciół, Niszczycielem Światów! Przypatrzcie się memu dziełu, śmiertelni, i pogrążcie się w rozpaczy!

I widzisz, jak Jofe D'mahl przelatuje z szalupy kosmicznej na podest u wejścia „Beli-37". Widzisz, jak yłania się z tuby windy na mostek pokładu statku. Ty sam jesteś Jofe D'mahlem, patrzącym za siebie rzez plexi w stronę Karawany – kręgu diamentowej światłości za tęczową gazą błony wodorowej. Na oich oczach krąg kurczy się powoli w świetlny punkcik, w jeszcze jedną abstrakcyjną gwiazdę zagu- oną w czarnych bezmiarach próżni bez granic.

– Obezwładniające, co? – mówi Haris Bandoora, wstępując częściowo w twoje pole widzenia. – Sto ilionów gwiazd, planet zapewne tyle samo, i ta jedna jedyna galaktyka – okruch materii pływający w eskończonej nicości. Niegdyś byliśmy drobinami nic nie znaczącej anomalii zwanej życiem, zanie- yszczającej pyłek kurzu okrążający drobinkę materii zagubioną w wiecznej próżni. Teraz nawet tym ż nie jesteśmy.

– Jesteśmy liczącym się elementem – mówisz ty.

– Gdybyś wiedział...

– Wiedział – co?

– Usłyszałem wezwanie, Haris – Raj Doru, z ogniem w przenikliwych piwnych oczach, wyłonił się na ostek i stanął u boku Bandoory.

Stoisz w pęcherzu próżniowym na podeście u wejścia „Beli-37", z Harisem Bandoorą i Rajem Doru. voje pole widzenia obejmuje tylko maleńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, dwóch mężczyzn i nieskoń- one nic. Na widok przeraźliwej czeluści odczuwasz zawrót głowy i mdłości.

Doru rozpościera ramiona, włącza polaryzator grawitacji i wyskakuje w czerń próżni.

– Co on robi? – krzyczysz.

– Syci się próżnią – mówi Bandoora. – Odpowiada na wezwanie. Oddali się tak, żeby stracić statek z zu i pozostanie tam przez jeden standardowy dzień.

– Co on tam będzie robił? – pytasz cicho, patrząc jak Doru niknie w wiecznej nocy.

– Cokolwiek zdarza się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

– Dlaczego wy to robicie?

– Każdy ma własny powód, D'mahl. Wezwanie ma wiele głosów. Wkrótce sam je usłyszysz, we włas- m języku.

Stoisz na mostku statku zwiadowczego, patrząc jak Haris Bandoora znika w straszliwych oceanicz- ch bezmiarach.

– Czy słyszysz wezwanie, Jofe D'mahl? – pyta cichy głos Areth Lorenzi, nestorki próżniojadów, stoją- j teraz obok ciebie na podobieństwo ucieleśnionej zjawy.

– Nie jestem pewien, co słyszę – mówisz. – Może to tylko moje własne ego. Muszę zarejestrować na śmie próżniossanie, inaczej cały czas tu spędzony pójdzie na marne.

– To jest wezwanie – mówi ona. – Do każdego przychodzi po linii jego własnego wektora.

– Jest coś, o czym mi nie mówicie.

– Jest, ale żeby to poznać, musisz zasmakować próżni.

Stoisz w swoim pęcherzu próżniowym na podejściu u wejścia „Beli – 37", kolana uginają się pod tobą, trzysz w bezdenną czeluść, w którą masz zaraz skoczyć, miliony gwiezdnych szpileczek kłują siat- wki twoich oczu, w twoich uszach wyją czarne cisze. Bierzesz wdech i nurkujesz w nieznane.

I oto unosisz się w czystej czarnej nicości, gdzie gwiazdy są okruchami świetlistej materii, oddalonymi całe nieskończoności, o pustą nieskazitelność czeluści. Nic się nie rusza. Nic się nie zmienia. Nic nie tępuje. Cisza jest wieczna. Czas nie istnieje.

– Co takiego wiedzą próżniojady? – pytasz w końcu, choćby po to, żeby usłyszeć własny głos. – Co oni kiego słyszą tutaj, w tym nieskończonym nigdzie?

Kosmicznym tworzywem wstrząsa nieokiełznany, potworny śmiech, firmament rwie się na dwie ęści od olbrzymiej chmury w kształcie grzyba, wysokiej na lata świetlne, która kłębi się i kotłuje, a dnak pozostaje niezmienna, poza czasem.

połączenia dzieło sztuki tchnęło paradoksem, jakim była sama Karawana. Dla gości paradoksem owy był Jofe D'mahl. W zgodzie z własnym ego, D'mahl nie czynił w tej kwestii żadnych rozróżnień.

Lista gości była również dziełem sztuki w nowym, neobarokowym stylu D'mahla – zgromadził kon stelację ludzi stworzonych do tego, aby to łasić się przymilnie, to znów zgrzytać jak potłuczone szkło, tu ówdzie popierać płodozmiany, ale cały czas trzymać na ogniu staroświecki imbryk karmy. Jans Ry brylowała jak zwykle przed mieszaną kompanią, w której znajdował się między innymi główny straż nik pochodni „Excelsiora", dwaj ziemiorycy z Kantucka, oraz Tanya Davis, żmija w atłasowej skórze. Znaczny tłumek asystował też zagorzałej dyskusji między Daltą Reed a Trombleau, astrofizykiem Polany. Mniej znaczni goście kręcili się to tu, to bam, pełniąc mniej znaczne role. Aby przyjęcie mogł błysnąć pełnym blaskiem pochodni, potrzebny był katalizator.

I dokładnie o 24.00 katalizator taki miał się wstrzelić w ich niewinne czujniki – miało to być premi rowe wyczucie nowego senso Jofe D'mahla pt. „Wędrujący Holendrzy". D'mahl wyrzeźbił z próżni rz czywistą prymę – i był tego świadom.

... dzięki sięgnięciu poza granice pierwotnego promieniowania a następnie śledzeniu nitki aż do kłęb ka...

... jak tysiąc słońc, powiedzieliby na Alamagordo, Jans, a to zaledwie o jedną zaporę i jedno pol przepływu stąd...

– ...pan się musi czuć jak Prometeusz...

– Jofe! Ten tutaj nova przechwala się, że uzyskał wzór spektralny dla życia organicznego – krzyknęł Dalta, wciągając D'mahla na moment w swoją orbitę.

– Na taśmie gwiazdoskopowej? – zapytał z powątpiewaniem D'mahl.

– W teorii – przyznał Trombleau.

– Skąd my to znamy? – skwitował D'mahl, racząc się kolejnym olśniewaczem panny Wolder. Ke przecisnął się między zębami, po czym eksplodował gorzką słodyczą, która niemal natychmiast przero dziła się w długotrwały, dymny posmak. Niezłe, pomyślał D'mahl, oddalając się tanecznym krokiem o rozwartych ust Trombleau, zanim został wessany w dyskurs.

D'mahl brodził w oparach mgieł; zaszedł znienacka Arniego Simkova, klepnął po tyłku Dariusa Wa nera i stanął przy grupce gości otaczających Johna Benine, który był w senso punktem widzenia. Pró bowali wyciągnąć z niego coś na temat senso, ale John dobrze widział, że jeśli puściłby parę przed pre mierą, jego szanse na ponowną współpracę z Jofe D'mahlem osiągną równo jeden bzdet.

– Nie bądź taki, Jofe, powiedz nam coś niecoś o tych Wędrujących Holendrach – nalegała kobiet odziana w obłok jaskrawożółtej mgły. D'mahl nie przypominał jej sobie cieleśnie, ale nie zadał sobi trudu wczucia się po informacje. Wgryzł się natomiast w sześcienny olśniewacz, który zatomizował si pod dotknięciem zębów, na jeden szalony mikropuls wybielając każdą z osobna synapsę ust. Fuj.

– Zdradzę wam dwie rzeczy – powiedział. – Jednym z dwóch głównych punktów widzenia był Joh Benina, całość zaś jest mitmaszem.

Rozległ się chóralny jęk, pod osłoną którego D'mahl odbił rykoszetem w stronę Jiz Rumoku, stojącej w oparach zielonej mgły z kimś, kogo nie potrafił zidentyfikować.

Jiz Rumoku była jedyną osobą obdarzoną przywilejem zapraszania na bankiety D'mahla własnych gości, a także jedyną chyba osobą, która nie mając nic wspólnego z powstaniem „Wędrujących Holend rów" miała o dziele jakiekolwiek pojęcie. Gdyby podejrzewać Jofe D'mahla o posiadanie duszmana (c jest założeniem mocno wątpliwym), duszmanką jego byłaby Jiz.

Ubrana była, jak zwykle, w ostatni krzyk jutrzejszej mody: kombinezon ze świetlistej, wyglądającej n sztywną, zielono-purpurowej tkaniny z mozaiką figur geometrycznych, dopasowany do linii ciała jak średniowieczna zbroja. Poszczególne płaszczyzny uwidaczniały się subtelnie z każdym ruchem, dają wspaniały owadzi efekt, ukoronowany wysokim, pierzastym grzebieniem, w którym wymodelowane były elektrostatycznie jej długie, czarne włosy.

Uwagę D'mahla jednak przyciągnął jej towarzysz, gdyż był to bez wątpienia próżniojad. Poza niebie skimi ślipami i sandałami nie miał na sobie nic; na całym ciele ani włoska, a łysa czaszka pomalowana była na kolor srebrny. Pomijając kreację, natychmiast zdradzały go oczy: błękitne okna plexi wpatrzone

w nieskończony wszechświat absolutnej czerni uwięzionej dzięki jakiejś topologicznej sztuczce we wnętrzu jego połyskliwej czaszki.

D'mahl wczuł ten obraz do banku czuciowego.

– Imię, nazwisko – wydał wewnętrzne polecenie. W jego umyśle pojawiło się nazwisko „Haris Bandoora". – Dane, w skrócie – zażądał.

– Haris Bandoora, lat standardowych pięćdziesiąt, aktualnie dowódca statku zwiadowczego „Bela-37", powrócił do Karawany w ubiegły wtorek, 4.987. Raport w bieżącym czasie realnym niedostępny.

A więc tym razem Jiz postarała się o rzeczywiście łakomy kąsek – próżniojada tak świeżo przybyłego z dalekiego niebytu, że Rada Pilotów nie zdążyła jeszcze opublikować jego raportu.

– Miło powitać pana z powrotem w cywilizacji, panie dowódco. Jaka ona jest, taka jest – ale zawsze.

Bandoora zwrócił na niego próżnię swoich oczu.

– Jaka ona jest, taka jest – powtórzył zimnym, dźwięcznym głosem, który podsumowywał, oceniał i dyskontował historię ludzkości w kilku martwych sylabach.

D'mahl odwrócił wzrok od czarnych przepaści, spojrzał w migdałowe oczy Jiz i na moment oboje przeczuli się wzajemnie w intymnym powitaniu. Jofe ujrzał własne ciało w lustrzanym odbiciu, poczuł ciepło, jakie budziło ono w Jiz. Ucałował własne usta jej ustami, smakując elektryczną dymność spożytych niedawno olśniewaczy. Usta ich rozłączyły się, od-czuli się równocześnie.

– Co pan tam pisze w tym raporcie, którego Piloci nie przekazali jeszcze do banków? – zapytał D'mahl z konwersacyjnym zainteresowaniem. (Jak tu gawędzić niezobowiązująco z próżniojadem?)

Wąskie usta Bandoory rozchyliły się w czymś, co mogło być uśmiechem, ale równie dobrze i skrzywieniem bólu. D'mahl wyczuł, że parametry emocjonalne tego człowieka są prawdziwie obce jego doświadczeniom, czy to prymarnym, czy symulom. Nigdy dotąd nie poświęcał większej uwagi próżniojadom i teraz sam się dziwił, dlaczego. Należało koniecznie sporządzić poza-senso na ten temat.

– Znaleźli planetę – oświadczyła Jiz. – O 23.80 wydany będzie biuletyn ogólny.

– Bomba – orzekł D'mahl, nadając temu słowu niuanse wszystkich doznań, jakie poruszało. Próżniojady zawsze wracały z raportami o nowych, jeszcze ciepłych, systemach słonecznych, elektryzując Karawanę na parę miesięcy, podczas których gorączkowo szykowali się do bezpośredniego sondażu badawczego, po czym, skoro tylko okazało się, że cudowna planeta to jeszcze raz tylko bzdet z głazów i przyprawiającego o mdłości gazu, kierowali egzaltację obywateli Karawany na kolejną Ultima Thule. Już blisko tysiąc lat wiedli tak Karawanę zrywami po zygzakowatym szlaku wśród próżni od jednej płonnej nadziei do drugiej – dlatego też w opinii D'mahla ten ostatni bzdet nie był nawet godzien miana kosmicznej bujdy. Ale i tak stanie się objawieniem co najmniej trzech najbliższych miesięcy, czyli podłapanie biuletynu przed oficjalną jego publikacją to tak czy owak numer pierwsza klasa, prawdziwy zastrzyk dla niego. Bomba.

– W tym przypadku szanse wyglądają nieźle – powiedział Bandoora.

– Jak zawsze, nieprawdaż? – zauważył jadowicie D'mahl. – I zawsze wychodzi na to samo. Jeżeli w strefie potencjalnego zasiedlenia występuje skała, jej grawitacja urywa głowy, albo też atmosfera stanowi smakowity koktajl wodoru, cyjanku i fluorku. Czy nie wydaje się panu czasami, Bandoora, że jakaś kosmiczna osobistość próbuje zakomunikować panu coś, czego pan nie chce słuchać?

Wewnętrzny wyraz emocji Bandoory wykrzywił się jakby pod beznamiętną powłoką ciała. Jego dolna warga zadrgała w tiku. Co ja takiego powiedziałem?, zdumiał się D'mahl. Te próżniojady naprawdę daleko zabrnęły po wektorach zdziwaczenia.

Jiz zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Pochodnią, na której jeździ Jofe, jest czyste ego – powiedziała. – Jofe ma kwaśną minę, bo biuletyn upuści nieco H z jego premiery. Nie mam racji, Jofe, ty ego-potworze?

– Nie tykaj ego – odparł Jofe D'mahl. – Jedynie ono stoi między nami a okulałym wszechświatem, na który mamy nieprzyjemność być skazani. Ponieważ moja opinia o sobie jest jedyną znaną mi rzeczą w zaściankowej kosmicznej hierarchii przewyższającą wspaniałość mojej osoby, stwierdzam, że jedynie moje ego godne jest uwielbienia. A to dowodzi, że jestem...

– Nieznośny? – podpowiedziała Jiz.

Stoisz na gnijącym pokładzie rolnym, wdychając kwaśne powietrze. Sosny skarlały, trawy więdną, a oczy kłaniających się oplecionemu winoroślą krzyżowi ziemioryjców błyszczą od gorączki.

– Na łokciach i kolanach czołgają się tam, skąd przyszli – rzecze starzec. – Stara śpiewka o poczuciu winy, za każdym razem ich bierze. – Znów strzela palcami i opadasz tunelem windy poprzez kolejne pokłady zadbanego statku. Powietrze jest słodkie, światła czyste i jaskrawe, lśnią wypolerowane powierzchnie z metalu i drogich kamieni, ale papuzi tłum wydaje się być zarażony lękiem, płoszy się z byle powodu, boi się cieni.

– A jeśli nie sięgnie ich prawica, to sięgnie lewica – mówi starzec. – Każdy człowiek jest wyspą, każdy jest sam. Co im ze zdobycia wszechświata, póki ja mam w zastaw ich dusze?

– A co im z tego, że wyrzekną się twojej marnej karczmy w zamian za zdobycie własnych dusz? – odpowiada Szatan, wydmuchując w każdy mijany pokład łańcuch z dymnych kółek. Pierścienie lawendowego dymu osiadają na skroniach ludzi i przemieniają się w srebrne opaski – pierwsze pełne przekaźniki sensoryczne, pierwowzory czujnika. – Strzeż się czujnika! – rzecze Szatan, gdy pierścienie przekaźników wtapiają się w czaszki swoich właścicieli, stając się chirurgicznie wszczepionymi czujnikami. – Oto Deklaracja Niepodległości twojemu scenariuszowi, O Producencie Biblijnych Eposów! Most, który łączy wyspy! Wrota do rzeczywistości, w które ty wniknąć nie możesz! Korona stworzenia!

Szatan zwraca się do ciebie, gdy razem wysiadacie z tuby windy na spokojnym pokładzie mieszkalnym – chodniki ze złotych brykietów, wijące się między piernikowymi domkami z ametystu, kwarcu, topazu. Wydmuchuje ku tobie dymne kółko, które osiada na twej głowie, a następnie wnika w twoją czaszkę.

– I co ty na to, człowieku? – pyta cię, ruchem głowy wskazując starca. – Czy ten tu Merlin Wspaniały jest rzeczywiście Bytem Wszechrzeczy i Końcem Wszechrzeczy, czy też zwyczajnym kuglarzem?

Szatan wybucha szaleńczym śmiechem, a wtedy ty strzelasz z własnego ogona, zaśmiewając się szatańsko i wydmuchując starcowi prosto w nos kłęby sinawego dymu, a starzec wybałusza na ciebie rozwścieczonego oczka.

– Gdzie on jest? – pyta starzec.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – mówisz.

– Nie będziesz mi tu drwił z Boga! – krzyczy starzec.

– Strzeż się pana przestrzeni nad przestrzeniami i czasów nad czasami – mówisz, kurząc czubek ogona.

Kozłujesz o ziemię fioletową futrzaną kulkę pod ogromnymi fosforycznymi drzewami. Stoisz na Champs Elysées, w pięknym Paryżu, na Ziemi utraconej. Tańczysz w grand-salonie Jofe D'mahla i częstujesz się olśniewaczem, który w twoich ustach eksploduje w różowo-aksamitne olśnienie, przemieniając cię zarazem w kobietę kochającą się ze złocistym chłopcem na czarnym piasku plaży, nad srebrnym jeziorem, pod księżycami barwy błękitu i pomarańczy. Deską surfingową ze szmaragdowego światła suniesz po wewnętrznej krzywiźnie wysokiej na milę fali, która przewala się przez bezbrzeżne turkusowe morze. Wzbijasz się w samo serce błękitno-białego słońca, płoniesz – lecz się nie spalasz.

Jesteś punktem widzenia obok Szatana i starca, którzy unoszą się w tubie windy poprzez pokłady przemienionego statku. Pozbawione wdzięku spodenki ziemioryjców ustępują miejsca wielobarwnym strojom. Z metalowych pokładów wyrastają drzewa, bluszcz i kwiaty. Ślady korozji znikają z luków pokładów rolnych, krzyże barwy winorośli rozpływają się w powietrzu, a kwaśno cuchnące bagna zmieniają się w wonne ogrody rozkoszy.

Starzec kipi gniewem. Jego czerwona twarz purpurowieje, staje się czarno-ultrafioletowa, zgrzytające zęby sypią skry, a z opuszek palców strzelają mini-błyskawice.

– oni... oni... oni... – duka zaślepiony gniewem, wzrokiem siejąc gromy.

– Tym razem zjedli owoc z Drzewa Stworzenia – szczerzy się w uśmiechu Szatan. – Jak ci się podobają te jabłuszka?

– Za zjedzenie owocu z drzewa Wiadomości Dobrego i Złego wygnałem tę hołotę z Raju, ogniem i mieczem – ryczy starzec głosem tysiąca nowych. – Za to zemszczę się na nich tak, że tamta kara wyda im się spacerkiem po raju!

Po czym eksploduje w oślepiający błysk, a ty widzisz już tylko gwiaździsty firmament i olbrzymi

– Węgiel dla ciała – parodiuje skrzekliwy głos starca. – Wapń dla kości. Fosfor dla soków żywotnych. Żelazo dla krwi. A wszystko to z samego medium międzygwiezdnego, którego się nie pozbędziesz bez zamknięcia całego kramu, Panie Krzaku Gorejący! Oni nie obracają się w proch – oni proch obracają w siebie!

Zanosi się dzikim śmiechem, znów strzela z ogona i stajecie we trzech w sosnowym lasku na pokładzie rolnym, pod hologramem błękitnego nieba, wdychając wonie rosnącej wegetacji.

– Popatrz, popatrz: oni zasadzili ogród na twoim ugorze! – naigrywa się Szatan, skręcając się w pół ze śmiechu na widok purpurowej od gniewu twarzy starca. Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona – i płyniecie oto nad ogromną promenadą wyjątkowo rozjarzonego światłami pokładu rozrywki: restauracje w złocie, szafirach i srebrze, diamentowe stoliki dryfujące na zero-grawitacyjnych płytach, cygańskie tancerki wirujące nieważko w powietrzu, różane fontanny, olśniewająca muzyka, zapach fiesty.

– Popatrz, popatrz! I miasto świateł w twojej wiecznej ciemności!

Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona: szybujecie nad centrum Karawany, otoczonym rojem rozjarzonych statków, pod jutrznią błony wodorowej. Szatan wyciąga dłoń do starca.

– Czy to ci wygląda na przygotowania do kapitulacji, Panie Nie Będziesz Miał Innych Przede Mną? Mają wszystko, czego im trzeba – i to wyłącznie z prochu! Mogą tak ciągnąć po wsze czasy. Pobłogosław dłoń moją srebrem, Panie Stworzycielu Wszystkich Rzeczy Widzialnych i Niewidzialnych. Twoi synowi i córki wyrwali się spod twojej komendy!

Twarz starca z purpurowej staje się czarna. Z jego nozdrzy bucha ogień. Mierzwa brody skręca się i rozkręca z wściekłym elektrycznym trzaskiem.

– Gdyż jam jest bogiem pomsty i gniewu! – ryczy. – I będę siekł ich i chłostał!

– Nie wysilaj się dla mnie ze swoimi błazeństwami, kabotynie, strata czasu! – szydzi Szatan, wydmuchując kółka lawendowego dymu. – Przyparli cię do muru.

– Tak uważasz, synu? Poczekaj, aż dotrą do kolejnej Ultima Thule! – starzec strzela palcami; łomot burzy – i stajecie we trzech w niebotycznym grubopiennym lesie, gdzie kora drzew fosforyzuje światłem, a liście, wielkie jak żagle, falują i klaszczą na wietrze. Chłodną ziemię pokrywa gruby kobierzec brązowej, podobnej do mchu, trawy, pocętkowany czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i fioletowymi wachlarzami kwitnących grzybów. Pierzaste żółte i pomarańczowe dwunogi wielkości małp, skaczą górą z liścia na liść, a dołem, w brązowawej trawie, tarzają się małe, tłuste, fioletowe kulki futra, podskubując grzyby. Powietrze pachnie cynamonem i jabłkami, a nieznaczne nadbogactwo tlenu sprawia, że głowę masz przyjemnie lekką.

– Niech sam zgadnę... – wzdycha Szatan, cmokając w zamyśleniu czubek ogona.

– Obróć się w gnój! – ryczy starzec, a głos jego jest burzą, która rozdziera niebo. Puszcza krystalizuje się i rozpada w pył, brązowawa trawa twardnieje w skałę, zaś pierzaste dwunogi i fioletowe kulki futra ulegają dekompresji i eksplodują. Stoisz na równinie brązowej skały, poznaczonej zielonkawymi pasmami, pod niebiesko-czarnym niebem, zanieczyszczonym zielonymi chmurami, a powietrze cuchnie chlorem.

– Robisz w piętkę, Panie Tyś Był – mówi Szatan. – Twoje ogrody nie są im już potrzebne, gdyż ich jest moc i chwała po wsze czasy, amen.

– Czyżby? – wyszczerza się starzec. – Już im niepotrzebny stary Pan Wszechświata? Czyżby? Za długo byłeś Księciem Łgarzy, synu. Nie rozumiesz, jak ci durnie są zaprogramowani. Gdyż jam ich postawił jednego wbrew drugiemu, a każdego wbrew sobie samemu. To najstarsza sztuczka w całej księdze. Strzela palcami i we trzech stoicie przyparci od zewnątrz do luku pokładu rozrywki, przez który z dzikim wrzaskiem wali tłum ziemioryjców, roztrzaskując kryształowe stoły, przewracając rzeźby z ognia i potrząsając przy tym buńczucznie krzyżami oplecionymi symul-winoroślą, czemu towarzyszy skandowanie:

– Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć!

– Niepotrzebne im moje ogrody, co? – zachłystuje się starzec. – Wygrywam na ich umysłach jak na harfie, bo to ja stworzyłem ich wszechświat, zewnętrzny i wewnętrzny. – Strzela palcami. – Teraz patrz na swoich władców energii i materii!

– Że jestem po prostu człowiekiem – sprostował D'mahl. – Ponieważ i tak jestem na to skazany, niech mi chociaż będzie przyjemnie.

– Biuletyn Rady Pilotów. – Słowa te wtargnęły do umysłu D'mahla z odpowiednią dozą taktu, co było dowodem poprawy manier od czasów, kiedy Pilotom zdawało się, że mają prawo wstrzelić się człowiekowi w fugę zmysłową, ilekroć przyjdzie im na to ochota. – Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... – D'mahl przyciągnął do siebie zieloną pufu-kulę i zakotwiczył szybującą chmarę cząsteczek poprzez umieszczenie w niej swojej czcigodnej sempiterny. Jiz i Bandoora zajęli miejsca po jego bokach. – Sześć... pięć... cztery...

Ci goście, którzy jeszcze stali, pozajmowali miejsca: nigdy nie było wiadomo, jak długo potrwa przekazywanie biuletynu. Piloci cierpią na groteskowy przerost poczucia własnej wartości, pomyślał D'mahl. A to dowodzi, że są...

– ...trzy ...dwa ...jeden...

Po prostu ludźmi.

D'mahl siedział na ławie w samym centrum niedużego amfiteatru. Wokół niego zasiadało piętrowo dwa tysiące czterdziestu ludzi ubranych w archaiczne niebieskie kurtki wojskowe, pamiętające czasy, kiedy tytuł Pilota Statku oznaczał funkcję paramilitarną, a nie obieralny urząd. D'mahl uznał jednorodność strojów za groteskowo komiczną, a krąg dziennego nieba nad ziemiopodobną planetą za banalny i uwłaczający dobremu smakowi – mimo to jednak musiał przyznać, że większość Pilotów, z ich naiwnym wyobrażeniem o pozycji egzystencjalnej Karawany, ujmowała go i rozczulała swoją prostodusznością.

Ryn Nakamura, siwowłosy starzec od lat, których już nikomu nie chciało się liczyć, piastujący stanowisko Przewodniczącego Rady Pilotów podszedł do niego majestatycznym krokiem, obiema dłońmi klepnął go po ramionach i zasiadł obok. Pachniał natrętną perfumą, skomponowaną jako symula woni mądrości, spleśniałych pergaminów i gnijącej słodyczy. Jako artysta, D'mahl uznał kompozycję za udaną, jakkolwiek nieprzyjemnie jednoznaczną; jako obywatel odebrał ją jako wyraz pogardy i wrogości.

Nakamura pochylił się ku niemu i w tym samym momencie amfiteatr znikł, a oni siedzieli w zacisznej samotności abstrakcyjnej przestrzeni szczelnie otoczonej firmamentem gęsto skupionych gwiazd.

– Słuchaj, Jofe, statek zwiadowczy „Bela-37" powrócił do Karawany z raportem o systemie słonecznym, w którym istnieje potencjalnie zamieszkiwalna planeta. System zlokalizowany jest w obrębie półtora roku świetlnego od naszej aktualnej pozycji – obwieścił z namaszczeniem Nakamura.

D'mahl miał ochotę ziewnąć staremu nudziarzowi prosto w nos, lecz naturalnie dawca punktu widzenia skrzętnie nagiął jego plecy w stronę Nakamury, zaś Przewodniczący kontynuował wypowiedź kozim głosem:

– Rada stosunkiem głosów 1839 do 201 postanowiła zmienić wektor Karawany w kierunku tego systemu, oznaczonego jako 997-Beta, jeszcze przed ujawnieniem raportu.

D'mahl siedział w połowie wysokości amfiteatru, a Nakamura ciągnął formalne przemówienie z trybuny na dole.

– Żywimy szczerą nadzieję, że nasza długa przerwa zbliża się wreszcie do szczęśliwego końca, że jeszcze za naszego życia człowiek ponownie stanie na żyznych wzgórzach żywej planety, z niebem nad głową i wonią życia w nozdrzach. Na zakończenie biuletynu zacytujemy kilka wyjątków z raportu Harisa Bandoory, dowódcy statku „Bela-37".

Nie schodząc z mównicy, Nakamura przeistoczył się w Harisa Bandoorę.

– „Bela-37" podróżowała pod kątem trzydziestu stopni od głównego wektora Karawany – oznajmił beznamiętnym tonem Bandoora. – Prędkość w skali pochodni 0.9...

D'mahl stał teraz na mostku kapitańskim „Beli-37", będącym małym okrągłym pomieszczeniem, obrzeżonym imponującą aparaturą i zamkniętym kopułą z niebieskawego plexi dla zniwelowania efektu Dopplera, lecz wizualnie otwartym na przejmującą grozą wspaniałość przepastnej próżni. Okazało się, że jednym z czterech próżniojadów na pokładzie jest kobieta, która dla D'mahla stanowiła silną konkurencję wobec gwiezdnego spektaklu. Miała na sobie szorty i klapki, czaszkę zaś miała, jak cała reszta, łysą i posrebrzoną, ale jej nadnaturalnie stożkowate piersi i lśniące, silnie umięśnione ciało,

prawiły, że to, co powinno było budzić obrzydzenie, stało się abstrakcyjnym paradygmatem kobiecej rody. Czy ciepło, które poczuł, było jego własnym ciepłem, czy też pochodziło od dawcy punktu widzeia – a więc samego Bandoory – nie było teraz istotne.

– Gotowość do badania radarowego i rejestracji systemu 997-Beta – odezwała się oszałamiająca istota. 'mahl zbliżył się do niej, z zamiarem znurkowania w bezdenne oczy kobiety-próżniojada. Zamiast to siągnąć, stwierdził, że usta jego przemawiają głosem Bandoory:

– Światło, Sidi.

Sidi wykonała jakiś zabieg na konsolecie (co za archaiczne urządzenie!) i w centrum geometrycznym ostka kapitańskiego rozbłysła aureola żółtej gwiazdy o średnicy mniej więcej ludzkiej głowy. D'mahl ymienił z załogą pełne napięcia spojrzenia, czując somatycznie, jak jego oczekiwania rosną.

– Planety... – powiedział.

Pojawiło się pięć małych okrągłych cząstek, wirujących w sprężonym czasie wokół żółtego słońca.

– Potencjalna strefa zasiedlenia...

Hologram 997-Bety otoczył przezroczysty zielony torus. Druga planeta mieściła się w jego granich.

Rozległo się głośne westchnienie, a D'mahl poczuł, że drży na całym ciele.

– Druga planeta – zarządził głos Bandoory. – Na max.

Hologram gwiazdy zniknął, a na jego miejscu pojawiła się blada, strzępiasta aureola drugiej planety, o ednicy czterokrotnie przerastającej średnicę samej planety. Planeta zdawała się być upstrzona polami ązu, zieleni, błękitu, żółci i fioletu, hologram był jednak blady i rozedrgany, jakby oglądany przez rącą mgławicę grubości wielu mil.

Neutralny głos recytował odczyty instrumentów.

– Domniemana grawitacja – 1.2 gs, plus-minus dziesięć procent... domniemana średnia temperatura rzydzieści trzy stopnie Celsjusza, plus-minus sześć stopni... domniemany skład atmosfery: hel, azot, n, jako składniki podstawowe... skład procentowy w świetle obecnych danych nie do ustalenia... ślawe ilości dwutlenku węgla, argonu, amoniaku, pary wodnej... domniemane proporcje wody i lądu: 40... skład chemiczny wód oceanów w świetle obecnych danych nie do ustalenia...

D'mahl poczuł, jak napięcie całego ciała kanalizuje się poprzez struny głosowe w nieartykułowany zyk, który zlał się z okrzykami jego towarzyszy. Usłyszał, jak jego usta głosem Bandoory mówią:

– To najlepszy opis, z jakim za mojego życia powrócił statek zwiadowczy.

D'mahl siedział w amfiteatrze, a Bandoora przemawiał do Rady.

Na 997-Betę-II bezzwłocznie wysłano sondę. Za dwadzieścia dni „Beta-37" wyruszy, aby monitować ne sondy z czoła fali. Zakładamy, że ostateczne dane będziemy w stanie dostarczyć w ciągu pół roku ndardowego.

D'mahl był abstrakcyjnym punktem widzenia w czarnej przestrzeni. Ogromny mglisty hologram 997y-II unosił się przed nim jak widziadło zakazanego owocu, a jednocześnie w jego umyśle zabrzmiały wa:

Na tym kończymy biuletyn Rady Pilotów.

★

Wszyscy goście w grand-salonie Jofe D'mahla poczęli natychmiast gadać, gestykulować, kręcić się w nieceniu. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę D'mahla, Jiz i Bandoory, D'mahl, wiedząc, do kogo esowane są pełne zachwytu spojrzenia, poczuł palącą zazdrość.

No i co ty na to, Jofe? – odezwała się Jiz, a w jej tonie błysnęło przewrotne ostrze złośliwości.

Niezła robota – odparł lodowatym tonem D'mahl. – Do sztuki jej daleko, ale przyznam, że to efekto kawał propagandy.

andoora ponownie wydał mu się silnie urażony, jak gdyby słowa D'mahla sięgnęły jakiejś głęboko tej rany.

Ale ta planeta, Jofe! Ta planeta!

alcząc z wzbierającą falą rozdrażnienia, D'mahl zdobył się na pobłażliwie dobrotliwy uśmiech.

Szczerze mówiąc, baczniej przyglądałem się Sidi – powiedział. – Próżniojady odkrywają planety, których zmierzają te małpy, i nie chwaląc się, muszę powiedzieć, że nie gorszy od tego, co zrobiłem na Ziemi.

– Może nawet lepszy – przyznaje Szatan.

– Tak sądzisz? – ryczy starzec głosem gromu. Przewraca oczami i ciska w powietrze garść błyskawic, wrzeszcząc z purpurową od gniewu twarzą:

– Obróć się w gówno!

W tej samej chwili niebo przybiera barwę niezdrowego chemicznego fioletu, poznaczonego żyłami paskudnych szarych chmur. Zielono-żółta trawa, złociste sosny i barwne kwiaty zmieniają się w śluzowatą brunatną breję, ptaki zaś i czerwone aksamitne kangury ulatniają się w postaci cuchnących purpurowych oparów. Brunatna breja i purpurowe opary mieszają się, zestalają...

A ty, ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na bezkresnej równinie purpurowo-czarnej skały, pod okrutnym martwym niebem; jesteś jednym z kilkunastu mężczyzn w kombinezonach, pełzających po trupie planety jak mrówki po wyschłym gnacie.

Patrzysz, jak Szatan i starzec zawisają na chwilę ponad zmodyfikowanymi frachtowcami asteroidalnymi Karawany, a następnie oddalają się od Tau Ceti V w noc galaktyczną. Ze statków zdaje się unosić szary opar, jakby plexi ich wejść i luków zapaćkały wydzieliny milionów lat rozpaczy.

– Popatrz na nich teraz! – pieje triumfalnie starzec. Strzela palcami i we trzech patrzycie oto z rampy na prymitywny pokład rolny. Zielone porosty na syntetycznej glebie przypominają jakiś niewydarzony grzyb, w powietrzu pachnie ozonem, a widoczni w dole ziemioryjcy są garbatymi karłami, poruszającymi się niemrawo, jak pod ciśnieniem 4 gs.

– To już nie potrwa długo – mówi starzec. – Do najbliższego świata jaki zmontowałem, jest stąd odległość stulecia. Nikt z nich nie doczeka chwili ujrzenia go, i oni to dobrze wiedzą, oj wiedzą!

Znów strzela palcami i we trzech stoicie przy trzonie pochodni na pokładzie mieszkalnym pierwszej generacji: ponure niebieskie korytarze, ołowiane stropy, paskudne stalowe wykładziny, rzędy identycznych szarych drzwi. Ludzie snujący się bez celu tu i tam są równie wyprani z koloru i życia, jak ich otoczenie.

– A zanim zdołają tam dotrzeć ich dzieci, zacznie im wszystkiego brakować – mówi starzec. – Węgla dla ciała. Wapnia dla kości. Fosforu dla soków żywotnych, żelaza dla krwi.

Światło przygasa, ściany pokrywają się mgiełką. Ludzie zaczynają wiotczeć i roztapiać się, a ty czujesz, jak miękną twoje własne kości, jak krew twoja rzednie w wodę; całe twoje ciało jest jak rozłażący się budyń.

– Sami pomału zamienią się w gnój – chichocze zjadliwie starzec.

Raz jeszcze strzela palcami – i oto jesteś abstrakcyjnym punktem widzenia u boku starca i Szatana, którzy trwają w zawieszeniu nad dogasającymi światłami Karawany.

– No co, Żmiju, będziesz płacił? – i starzec z pewną miną wyciąga rękę.

– Jeszcze się nie poddali – odpowiada Szatan, ćmiąc czubek ogona.

– Uparty dureń! – rzuca z irytacją starzec.

Szatan wydmuchuje pióropusz lawendowego dymu, któremu nie ma końca. Obłok dymu pęcznieje, narasta i rozwija się w wielką chmurę pary wodnej, która szczelnie otula flotyllę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych.

– Z nich też uparte durnie! – mówi Szatan.

A gdy sinawa chmura rozwiewa się, Karawana jest odmieniona. W miejsce dziesiątków zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, sunących poprzez kosmos w smudze rozpaczy, pojawiają się setki nowych, zrodzonych w Karawanie, statków-pochodni, skrzących się na tle czarnego aksamitu nocy jak otwarty piracki kufer z drogocennym łupem, odbywających dumną promenadę poprzez czeluść pod osłoną własnej triumfalnej tęczowej tęczy – błony wodorowej.

Szatan zaśmiewa się, strzela z długiego, krętego ogona jak z bicza i we trzech stajecie przy olbrzymiej, oplatającej trzon pochodni, spirali pokładu filtracyjnego, pośród zbiorników odzysku materiałów, konsolet kontrolnych i meduzowatej głowy zwojów przekaźnikowych. Czujesz w kościach niebywałą moc pochodni, która wnika w ciebie poprzez podeszwy stóp. Szatan władczym gestem ogona wskazuje kolejne zbiorniki·

– Proszę uprzejmie, ty Żmiju, w każdej chwili.

– Dobra, Panie Jamjest, spuściłeś na Hioba całe szambo, jakim dysponowałeś, a on dalej czołgał się na łokciach i kolanach, żeby polizać twoje stopy. Jak jesteś taki chojrak, to pokaż, że umiesz ich złamać. Wszystkich. Pokaż mi, jak cała rasa ludzka przybiera pozycję embrionalną, wkłada palce do ust i poddaje się. Taki zakład, Panie Napoczątku. Ja ich wyprowadzę przeciwko tobie.

– Ty się chyba zgrywasz! Przecież to mój program! To ja jestem wszechwiedzący, wszechmocny, to mnie wolno rozdawać znaczone karty spod talii.

– Nawet jak przegrasz, podzielę się z tobą pół na pół.

Starzec wybucha opętańczym śmiechem. Szatan podnosi głowę, patrzy ci prosto w oczy, wzrusza ramionami i robi palcem kółko na prawej skroni.

– Dobra, synu, zakład! – mówi starzec. – A na początek – to!

I wściekłym zamachem ciska błyskawice ze swojej chmury na widoczny w dole świat.

Stoisz na zatłoczonej paryskiej ulicy, niebo eksploduje, budynki topią się i spływają chodnikami. Wieża Eiffla kruszeje i pada, a twoje ciało zaczyna się oddzielać od kości. Jesteś olbrzymim ptakiem, pióra twoje płoną w gorejącym niebie, opadasz na ugór zamiatanego wiatrem pyłu i dogorywających budowli. Jesteś delfinem, wyskakujesz z duszącego gorzkiego morza w powietrze o konsystencji papieru ściernego. Stoisz na skraju swojego pomarańczowego sadu, patrzysz jak drzewa zmieniają się w pochodnie pod wypełniającą niebo kulą ognistą, nagle włosy twoje buchają płomieniem. Leżysz bez tchu na bezkresnej równinie gruzów i szarego pyłu, niebo jest smugą rakowatych purpur i brązów.

Patrzysz, jak Szatan i starzec o dzikich oczach dryfują na swoich puchowych obłokach ponad zdewastowaną kulą Ziemi. Szatan wydaje się nieco bardziej zielony niż przedtem i ssie nerwowo sam koniec ogona. Starzec, wyszczerzony w uśmiechu, ciska od czasu do czasu ogniste gromy na małe wyspeki zieleni, zmieniając je w szary pył i purpurowo-brunatny ugór.

– Ciach! – chichocze, ciskając grom. – Jak ci się podoba, Żmiju? Mówiłem ci, że jestem wszechmocny. Ani przez chwilę nie mieli szans. Dawaj widły, Karolku! – wyciąga otwartą dłoń lewej ręki.

– Muszę przyznać, że to lepsze niż numer z Ziemią Egipską – mówi Szatan. – Ale... – Wyciąga koniec ogona z ust i wydmuchuje spiczastą strzałę lawendowego dymu, do góry, tuż przed twoim nosem.

Śledząc lot dymnej strzały, dostrzegasz dziesiątki srebrzystych cylindrów, oddalających się w gwiezdną czerń nocy galaktycznej.

– Aaa, to? – mówi starzec, mierząc błyskawicą w flotyllę przerobionych frachtowców asteroidalnych.

– Zaraz się tym zajmiemy!

– Momencik, dziadku! – szydzi Szatan. – Tym sposobem nie wolno ci wygrać zakładu! Kiedy już nie będzie komu się poddawać, wtedy ja wygram, a ty przegrasz.

Trzęsąc się z gniewu, starzec opuszcza gromowładne ramię. Oczy mu latają jak zbiegłe galaktyki, zęby zaciskają się zgrzytliwie, z uszu dobywa się czarny dym.

– Tobie się zdaje, że jesteś okropnie cwany, co? Wydaje ci się, że potrafisz wykrzesać Głos z Trąby Powietrznej, co? Wydaje ci się, że te golone małpy mają szansę dotrzeć do następnej zielonej wyspy w swoich blaszanych, sznurkiem powiązanych krypach?

– Jest taki jeden wyjątkowo ładny światek, krąży wokół Tau Ceti; wystarczy im sprzętu, żeby tam dotrzeć – rzecze Szatan, puszczając do ciebie na boku perskie oko.

– Tylko mi nie mów o Tau Ceti! – pieklił się starzec. – Jestem wszechmocny, jestem wszechwiedzący, żaden klient tej knajpy nie ma do mnie startu!

Strzela palcami i w jednej chwili ty, on i Szatan znajdujecie się na falującej łące zielono-żółtej trawy, pod niebem barwy błękitu usianym ulotnymi szlaczkami białych obłoków. Ogromne pozłacane drzewa o wyglądzie sosen chwieją się leniwie w delikatnych podmuchach wiatru, a pomiędzy rabatami wielkich pomarańczowych, szmaragdowych, rubinowych i szafirowych kwiatów bujają roje maleńkich tęczowych ptaszków, wypełniających powietrze niesamowitą muzyką. Czerwone, aksamitne, kangurowate stworzenia o natchnionych liliowych oczach, pasą się w najlepsze, skaczą dookoła i trącają się czule długimi ryjkami.

– Oto twój wyjątkowo ładny światek, który krąży wokół Tau Ceti – sarka starzec. – Oto nowy Eden, do

które świetnie wyglądają z daleka, i to o wiele częściej niż się widuje ciała tak świetnie wyglądające z bliska.

– Więc pana zdaniem przyszłość rasy ludzkiej to temat do żartów? – odezwał się głośno Bandoora, po raz pierwszy okazując irytację.

D'mahl wyczuł czas: była 23.981. Za chwilę mieli się rozpocząć „Wędrujący Holendrzy", a goście w kółko pletli tylko o szansach znalezienia choćby jednej nadającej się do życia grudki błota! D'mahl skoczył na równe nogi i wrzasnął:

– Pan za długo siedział w Wielkim Niemanic, panie Bandoora! – Samą donośnością głosu natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich gości. – Gdyby to mnie skazano na statek zwiadowczy w towarzystwie Sidi, miałbym w głowie coś lepszego niż gówniane planety!

– Pan jest degeneratem i egomaniakiem, panie D'mahl – zabeczał nabożnie Bandoora, wywołując – zgodnie z nadzieją D'mahla – kaskadę śmiechu.

– Przyznaję się do obu zarzutów – rzekł D'mahl. – Naturalnie, że jestem egomaniakiem – jak każdy, uważam się za jedynego istniejącego Boga. Naturalnie, że jestem degeneratem – wszyscy jesteśmy degeneratami: miękkimi protoplazmatycznymi maszynkami, których degeneracja rozpoczyna się w momencie powstania!

W mgnieniu oka D'mahl rozproszył solenny nastrój, jaki zapadł na jego bankiecie po ogłoszeniu biuletynu, a metodą ośmieszania i lekkiego przeginania pały, odzyskał prymat uwagi.

– Jesteśmy skazani na bycie tym, czym jesteśmy, tu, gdzie jesteśmy. Holendrzy na bezgranicznym oceanie przestrzeni – to my.

Po salonie poniósł się zbiorowy jęk, podszyty śmieszkiem z tak obcesowego przejścia do bliskiej premiery, zwieńczony zaś powagą na myśl o tym, kim wszyscy są i gdzie ich miejsce. D'mahl dał plamę – a przynajmniej nie całkiem jeszcze doszedł do siebie – i był tego świadom, a świadomość ta rozbłysła pod jego czaszką jak czerwona nova. W tym właśnie momencie złej karmy, godzina 24.00 weszła w czas realny i na częstotliwość czuciowej E-6...

Stoisz u stóp łagodnego zielonego wzgórza, na którego porośniętym drzewami szczycie przybijają do krzyża mężczyznę w przepasce na biodrach. Za każdym uderzeniem młota czujesz przeszywający ból w nadgarstkach. Stoisz w szerokiej alei starożytnej Jerozolimy, przyciskasz do piersi dzban z wodą – i widzisz Jezusa wleczonego na zagładę, a krtań twoją pali jego straszliwe, beznadziejne pragnienie. Znów jesteś w Kalwarii, słyszysz stuk młota, czujesz w nadgarstkach błyskawice bólu, a w ustach smak rozżarzonych piasków.

Jesteś w nadbudówce starego drewnianego żaglowca, smakujesz słony wiatr morskiej burzy. Niebo kotłuje się i wyje pod złowróżbnym zielonym księżycem. Twoja załoga miota się po pokładzie wśród przekleństw, krzyków i piskliwych jęków istot o widmowo przezroczystych ciałach, odzianych w postrzępione łachmany. Piana zalewa ci twarz, a ty ścierasz ją wierzchem dłoni, widząc poprzez własne ciało, jak spływa ci przed oczami. W głębi krtani wzbiera ci śmiech, który w końcu kipi na zewnątrz – nazbyt głośny, nazbyt przejmujący, istne wycie szaleńca. Wznosisz do góry pięść jak z mlecznej mgły i wygrażasz niebiosom. Pękają pociski błyskawic. Jeszcze gwałtowniej potrząsasz pięścią i wdychasz sztormowy wiatr jak oddech kochanki.

Z ostatnim uderzeniem młota patrzysz ku szczytowi Kalwarii i czujesz we własnej dłoni żelazny bolec, a pod własnym ramieniem drewniane ramię krzyża. Stawiają krzyż, a wisisz na nim ty; niebo rozpływa się w ogłuszającej eksplozji światła jaśniejszego niż tysiąc słońc. I wleczesz się mozolnie przez bezkresną równinę szarego lotnego pyłu, pod niebem barwy rdzewiejącej stali. Spośród wirującego pyłu wyrastają zębate ruiny zdruzgotanych budowli, a cały świat, od horyzontu po horyzont, wypełniają otępiałe szkieletowate postacie, maszerujące nie wiedzieć dokąd bez śladu nadziei. Lecz ciało twoje ma uporczywą, ołowianą siłę czegoś, co wie, że nie może umrzeć. Ból w nadgarstkach, w ustach pył. Ludzie dookoła ciebie gniją w marszu, topią się jak zegary Daliego, aż wreszcie zostajesz sam – ty, strażnik trupa planety. Zbliża się do ciebie żaglowiec-widmo, wznosząc się i opadając poprzez chłostany burzą pył.

Nadbudówka zapada się pod tobą, niebiosa wyją. Nagle otaczające księżyc chmury rozwiewają się, ukazując zimną, bezwzględną czerń usianą miriadami twardych punkcików światła, a nadbudówka

zmienia się w stalowy mostek pokładowy. Stoisz w luku prymitywnego statku-pochodni pierwszej generacji. Na twoim gwiaździstym horyzoncie widać dziesiątki innych przerobionych frachtowców asteroidalnych, ledwie kikutów pochodni z byle jak skleconymi kopułami, lukami i toroidalnymi pokładami – to dalecy solarni przodkowie Karawany.

Obracasz się i tuż przy sobie widzisz wiekowego potwora: starego, bardzo starego człowieka z twarzą porytą bliznami popromiennymi, z duszą porytą bliznami nieukojonego poczucia winy, z wiecznym odem żarzącym się w lodowato czarnych oczach.

Stoisz w wypukłym luku statku-pochodni pierwszej generacji. Pod tobą jest Ziemia: brunatna, okopcona, zrakowaciała kula, wciąż jeszcze dysząca promieniowaniem Wojny Na Zwolnionych Obrotach. Gdzieś tam biją dzwony, a ty czujesz w dłoniach szarpanie liny dzwonu. Odwracasz głowę i widzisz chudego, diabolicznego mężczyznę o twarzy całkiem płaskiej i oczach jak błękitne węgle. Jego twarz na chwilę rozwiewa się w mgłę i tylko szalone oczy pozostają twarde i realne.

– Witaj, Holendrze – mówisz.

– Witaj, Zbiegu.

– Nazywają mnie Tułaczem.

– To już teraz nic nie znaczy – mówi Holender. – Teraz już wszyscy ludzie są tułaczami.

– Wszyscy też jesteśmy zbiegami. Zabiliśmy żywy świat, który nas zrodził. Nawet ty i ja możemy nie doczekać ponownego spotkania. – W nadgarstkach czujesz kąsanie ćwieków, w dłoni ciężar młota. Pragnienie. Odległe bicie dzwonu.

Jesteś Holendrem patrzącym w noc wszechświata, o generację od najbliższej gwiazdy, o stulecie od najbliższej nadziei żywego świata, o wieczność do przejścia na drugą stronę. W twojej głowie huczą grzmoty, z twoich oczu sypią się błyskawice. Mówisz:

– Pod stopy mamy jeno te pokłady, drogą naszą jest wiatr międzygwiezdny, a siłą napędową – pochodnie jądrowe. Nie waż się skamleć przede mną, sam nigdy więcej nie miałem. – Zanosisz się dzikim, skowyczącym śmiechem szaleńca. – A teraz mam liczne towarzystwo.

Jesteś Tułaczem, patrzysz z góry na zaszlachtowaną Ziemię, słuchasz bicia dzwonu, czujesz w ręku śmiertelny ciężar młota.

– Ja także, Holendrze, ja także.

Glob ziemi przeistacza się w inny świat: brązowo-purpurowy kontynent planety pożyłkowany jak marmur smugami jezior i niebieskich wód. Ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na powierzchni planety, na nagiej skale, nad brzegiem czysto-błękitnego jeziora, pod fioletowym niebem obrzeżonym koronką rzadkich, szarych chmur, jak obłok spalin za odrzutowcem. Dwunastu innych ludzi w kombinezonach pełza po spękanej powierzchni skały, jak mrówki po gnacie.

– Trup – mówisz. – Ten świat to trup.

Obok ciebie – opętańczy śmiech.

– Po co ten grobowy ton, Tułaczu? Co nigdy nie żyło, nie może być trupem.

Klęczysz na spłachetku zaoranej ziemi, tuląc w zagłębieniu dłoni zwiędłe ziarenko sosny. Niebo nad obą jest stalową płytą nabitą ćwiekami reflektorów, a masywne cylindryczne cielsko tuby pochodni kanalizuje wszechświat w zbiornik wodny pokładu rolnego. Scenografia jest prymitywna: klasyczna Karawana pierwszej generacji. Młoda dziewczyna w zielonych szortach i koszuli ziemioryjców, siedzi obok ciebie, naburmuszona, na syntetycznym klepisku, gapiąc się w wypukły luk pokładu rolnego.

– Tak będę żyć, i umrę, nie zobaczywszy nigdy nieba, nigdy nie przespaceruję się po lesie – mówi dziewczyna. – Co ja tu robię? Po co to wszystko?

– Podsycasz żar ostatnich węgielków Ziemi – wypowiadasz te słowa głosem starca. – Strzeżesz ostatnich ocalałych form życia organicznego. Pewnego dnia twoje dzieci, a może dzieci twoich dzieci, zasieją e ziarna w żywej glebie nowej Ziemi.

– Wierzysz w to, naprawdę? – pyta żarliwie, zwracając ku tobie jak słońce siłę swojej młodości. – Że znajdziemy kiedyś żywą planetę?

– Trzeba wierzyć. Jeżeli stracisz wiarę, zostaniesz jedną z nas, w piekle, któreśmy sami stworzyli. My, zrodzeni na Ziemi, jesteśmy katami życia. Nasze dzieci muszą być strażnikami życia.

jego umyśle zaś, wizja ta rozwijała się dalej w nieskończony mikrofilm na ruchomym krążku produktora, w jego własnym domu, na „Excelsiorze", nie opodal centrum Karawany.

Wszystko to robisz sobie sam, ty kretynie! To ty panujesz nad tą rzeczywistością, tylko zapomniałeś, że nad nią panujesz. Nie ma problemu. Nigdy nie było problemu. Jedynym problemem jest to, żeśmy tego wcześniej nie chcieli dostrzec.

– Stop – polecił D'mahl. Siedział w kokonie fotela, skąpany we własnym pocie, gapiąc się w konsoletę produktora, rycząc ze śmiechu, czując, jak, poczynając od czubków palców przeszywa go siła własnej pochodni, ożywiając wyczerpane ciało.

Śmiejąc się, posuwał blokady z banków efektów. Na co komu planety? Na co komu życie poza tym zarazkiem, który sami niesiemy? Na co komu w ogóle prymarna rzeczywistość?

– Réalité, c'est moi – wyszeptał D'mahl. Mówił to już kiedyś, ale nie znał jeszcze wtedy pełnej wagi własnych słów. Bowiem na swoich skroniach dźwigał nie koronę cierniową, lecz koronę stwórcy.

Cofnął taśmę o parę stóp i raz jeszcze zanurzył się w pustej, usianej gwiazdami czerni. Roześmiał się.

– Niech się stanie światło – polecił. I oto firmament zadrżał i stało się światło.

– Stop – polecił. I pochylił się nad produktorem. Począł rzeźbić z próżni kolejny fragment własnego znaczenia.

★

Twoje pole widzenia wypełnia jaskrawe, złote światło, a ciało twoje przenika rozkoszna ciepła poświata. Światło cofa się od ciebie, aż nareszcie staje się czymś, czego oko ludzkie znieść nie potrafi: plazmatycznym sercem pochodni, które zdaje się bić i pulsować jak żywe ciało. I oto siedzisz okrakiem na tym feniksowatym płomieniu, płomień rozrasta się między twoimi nogami, a jednak to ty go ujeżdżasz, poprzez galaktykę nienaturalnie wypełnioną gwiazdami, poprzez płonący firmament chwały. W miarę jak lecisz coraz szybciej, w miarę jak ciepła poświata w twoim ciele przybiera na sile z każdym uderzeniem pulsu pochodni, w poprzek gwiezdnego pola zapalają się ogniste litery, wysokie na kilka lat świetlnych:

JEŹDZIEC NA POCHODNI

Autor: Jofe D'mahl

Kroczysz w ekstazie, a wszechświat eksploduje w kryształowe pasma światła.

Starzec o długich siwych włosach, ze zmierzwioną siwą brodą, strojny w starodawną wyświechtaną szatę, siedzi na puszystej białej chmurze, dłubiąc w czerwonym krogulczym nosie. Spod krzaczastych białych brwi spoglądają dziko wściekłe oczy, w prawej dłoni połyskuje wiązka błyskawic. Na sąsiedniej chmurze siedzi Szatan w schludnym czerwonym fraczku, czarnej pelerynie, z fularem pod spiczastą vandyckowską bródką. Jego skóra ma barwę zielonego jabłuszka. Szatan ćmi koniec swego długiego, krętego ogona, co jakiś czas wydmuchując kłęby lawendowego dymu o zapachu siarki. Obserwujesz tę scenę nieco z góry, wdychając zabłąkane opary Szatana. Dają one umiarkowanie euforyczny efekt.

– Hiob, Hiob – mówi Szatan. – Czy nigdy się nie zmęczysz ględzeniem o tym capie? I czego on właściwie dowodzi?

– Że moje stworzenia kochają mnie bez względu na to, jak obficie zarzucę je gównem – odpowiada starzec. – Jakoś nie widzę, żeby na twoją cześć wznosili kaplice sykstyńskie, Żmiju.

– Z ciebie to niezły kawał sadysty, stary satyrze. Powinieneś grać po mojej stronie.

– Uważasz, że bym nie umiał? Za takiego się masz super-złego? – Starzec wstaje, rycząc gromami, potrząsając snopem błyskawic. – Zanim skończę z tymi baranami, będą skamleć o łaskę do ciebie. Tak czy owak, ja jestem największy. Pamiętasz jak załatwiłem Egipcjan?

Szatan dmucha w niego lawendowym dymem.

– Dziesięć gównianych plag i scenka z topielcami! Amatorszczyzna i tyle.

– Tak? Tak? – piekli się starzec, ciskając gromy jak popadło; oczy latają mu jak oszalałe wrzeciona. – Ja ci pokażę, kto tu jest głównym pochodniowym! Ja ci pokażę kto to jest Pan Bóg Allah Jehowa, Król Wszechświata!

– Doprawdy? – szydzi Szatan. – Coś ci powiem: chcesz przerobić zakład o Hioba na podwójną stawkę do zera?

dogoniła chłodną jasność umysłu, do osiągnięcia której potrzebował w czasie realnym nieokreślonego okresu dezorientacji i lęku.

Był. Był w próżni. Poruszał się, a wszystko inne trwało w bezruchu. Kształt własnego ciała postrzegał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na zewnątrz, wszystko inne zaś pozbawione było granic i błon, po wieczną przestrzeń i czas. Poza realiami jego własnego umysłu była próżnia bez formy i końca, szczątkowo zanieczyszczona drobinami materii; człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha dowolnych i mieszczących się poza prawdopodobieństwem zderzeń owych nie znaczących zanieczyszczeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje. D'mahl doświadczył siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w nicości – jako trickowej anomalii c z e g o ś , nieodwołalnie zagubionej w bezczasowym i bezforemnym zawsze. Nic nie miało znaczenia, nawet samo znaczenie. Cudem było nie to, że życie powstało zaledwie raz jeden w tej bezgranicznej matrycy niebytu, lecz że w ogóle powstało.

Czarna próżnia, bezsensownie upstrzona niedosiężnymi gwiazdami, wewnętrzne lękliwe skurcze jego własnego ciała, dogłębna świadomość otaczającej go totalnej pustki, trwanie bez czasu. Gdy się tu raz dotarło – pomyślał D'mahl – to co dalej? Pytanie tak zadane stało się śmieszne, gdyż tutaj w próżni nie było do czego adresować pytań – jedynie do siebie. Nie było co postrzegać, jedynie nieobecność postrzegania. Nie było co postrzegać. Nie było nic. Nie było.

D'mahl unosił się w fizycznej nicości i próżni umysłu, oczekując na upragnione objawienie transcendentalne. Oczekując na objawienie. Oczekując. Oczekując. Po jego umyśle ścigały się gry, kiedy tak czekał w nieobecności zdarzeń, w nieobecności znaczącej percepcji, w nieobecności wymiernego czasu, w nieobecności doskonałej. Spróbował na nowo ustalić rachubę czasu, licząc uderzenia własnego pulsu, ale szybko stracił rachubę i w ogóle zapomniał, co robił. Spróbował wyobrazić sobie naturę tego, czego szuka, lecz myśl natychmiast zaplątała się w tautologiczne pętle sprzężenia zwrotnego: gdyby wiedział, czego szuka, nie musiałby szukać. Spróbował pospekulować na temat tego, co leży poza nieskończoną nicością, która go otaczała, ażeby ustalić jakieś ramy metafizycznego odniesienia, lecz każda koncepcja zawisała na zawsze w niedosiężnych obszarach matematycznego bełkotu. Spróbował zanurzyć się do cna w samą nicość – i stwierdził, że już tam jest.

★

Gry wyparowały z jego świadomości, a za nimi sama możliwość gry, i stał się jedynie punktem widzenia uwięzionym w próżni nie-danych. Czerń przestrzeni nie mogła już być postrzegana jako kolor, gwiazdy zaś stały się odblaskami statyki siatkówkowej. Wzrok i słuch były w tej absolutnej rzeczywistości zapomnianymi pojęciami, skoro jedyne dane zmysłowe stanowiły szumy w samych systemach zmysłowych.

Myśl też zaczęła oddalać się w zapomnienie, w ślad za zmysłami, aż wreszcie nie zostało nic prócz ośrodka bólu w przepastnej i nieskończonej nicości, głucha mantra nudy tak totalnej, tak absolutnej, tak pozbawionej kontrastu, że tworzyła świat kosmicznego bólu.

Nie, nawet nie bólu, gdyż ból byłby tutaj radośnie witaną ulgą.

Coś gdzieś pojękiwało. Coś nigdzie pojękiwało. Nic nigdzie pojękiwało. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? – skarżyło się. Dlaczego nic mi się nie dzieje? Dlaczego nic się nie dzieje? Dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje...

Próżnię rozdarł krzyk umysłu.

– Po co ja to sobie zadaję?

Był umysł, który chłostał sam siebie. Był umysł, który chłostał sam siebie za własną głupotę. Było zderzenie mentalne, była treść, była forma.

Był umysł Jofe D'mahla, unoszący się po wieczność w nieskończonej nudzie. Umysł, który szydził sam z siebie.

Ty sam to sobie zadajesz, głupku! – uświadomił sobie D'mahl. A wraz z tą świadomością, bezsensowne wzorki na siatkówkach jego oczu rozwinęły się w obraz galaktycznej czeluści, usiany gwiazdami. W

Dziewczyna patrzy na ciebie zimnymi, bezdennymi oczami. Tułacza, a twarz jej więdnie w pergamin starczej rozpaczy.

– Dla dobra naszych krwią splamionych dusz? – pyta, po czym na nowo staje się młodą dziewczyną.

– Dla własnego dobra, dziewczyno, dla własnego dobra.

W stanie nieważkości unosisz się nad kręgiem Karawany. Statki ustawione w szyku kolistym stanowią lagunę światła w bezkresnym morzu czarnej nicości. Bliżej czoła Karawany, czeluść międzygwiezdna kryje się za zasłoną muślinowej świetlistości: to błona wodorowa, w której połączone wachlarze pochodni statków Karawany tworzą stałą zaporę przeciwko rozrzedzonej atmosferze międzygwiezdnej. Statki Karawany są już co prawda unowocześnione i przystosowane to tworzenia błony wodorowej, ale są to nadal poprzerabiane frachtowce asteroidalne – a więc najwyżej Karawana Roku 150.

Lecz wewnątrz wieńca statków przyszłość szykuje się już do odpalenia. „Latający Holender", pierwszy statek-pochodnia wybudowany w całości w Karawanie z materiałów uzyskanych i przetworzonych z materii międzygwiezdnej, dryfuje przed tobą w przestrzeni, otoczony owadzim rojem szalup oraz tłumem mężczyzn i kobiet w kombinezonach próżniowych. Czysty, gładki cylinder, poznaczony pierścieniami okien pokładów, wygląda wręcz niestosownie pośród rupieciarni statków-pochodni pierwszej generacji – jak intruz z przyszłości.

Wtem z rury wydechowej „Holendra" dobywa się eteryczny purpurowy ogień i pierwszy statek zrodzony w Karawanie budzi się do życia.

Obok „Latającego Holendra" pojawia się drugi statek-pochodnia, po nim trzeci, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż w końcu liczba nowych statków, powstałych w Karawanie, przekracza liczbę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, a średnica błony wodorowej zwiększa się niemal dwukrotnie. Powierzchnia wewnętrzna Karawany jest teraz przestronnym dziedzińcem dla statków-pochodni, szalup, ludzi w kombinezonach i roztańczonych świateł cywilizacji.

Stoisz na rampie lustrując z góry pokład rolny: rzadki lasek małych sosenek i dębów, łachy zielonej trawy, kilka grządek kwiatów. Nad tobą widnieje aureola błękitnego ziemskiego nieba z barankami białych obłoków. Ziemioryjcy w tradycyjnych zielonych strojach krążą z namaszczeniem po całym pokładzie, pielęgnując delikatne formy życia, mierząc ich wzrost. Twoje nozdrza przepełnia kadzidlana woń świętości.

Siedzisz przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni w połowie wysokości kopuły zewnętrznej, na pokładzie rozrywki, popijając ze szklanki symul-burgunda. Posadzkę w dole otacza pierścień sklepów i restauracji, promieniście połączonych pasażami w wewnętrzny pierścień sklepów okalających centralny trzon pochodni. Każdy powstały w rezultacie tego podziału wycinek pokładu ma inny kolor i każdy wabi inną formą rozrywki: basen, muszla koncertowa, parkiet zero-grawitacyjnej dyskoteki, wesołe miasteczko, mglisty labirynt. Gwar narasta. Gra muzyka.

Naprzeciwko ciebie siedzi Tułacz w zielonym stroju ziemioryjcy i z gorzko pogardliwą miną.

– Patrz na nich – mówi. – Zbliżamy się do nowej planety, a oni nawet nie pamiętają, gdzie są.

– A gdzie są, Zbiegu?

– Któż miałby to wiedzieć lepiej niż ty, Holendrze? – odpowiada on, a ludzie w dole stają się przezroczyści, kopuły znikają, ty zaś patrzysz na dziwotwory tańczące po zawieszonej w czeluści międzygwiezdnej platformie. W całym tym bezmiarze nie ma już nie żywego, nic więcej się nie porusza.

W gardle łaskocze cię szaleńczy śmiech.

Pojawia się jakaś planeta, z początku nie większa od czubka szpilki, stopniowo rosnąca w łaciatą zielono-brązową kulę z barankami białych obłoków, aż wreszcie stajesz na jej powierzchni w grupie odzianych w kombinezony mężczyzn, z trudem wlokących się z powrotem do macierzystej szalupy. Twarda, brunatna skała, pożyłkowana pasmami zielonkawych minerałów, pod granatowo-czarnym niebem upstrzonym pastelowymi chmurami. Jesteś z powrotem na tarasie, patrzysz na widma tańczące w bezkresnej galaktycznej nocy.

– Co powiesz, wielki admirale, kiedy pierzchnie wszelka nadzieja? – pyta Tułacz.

Jesteś na dole, wśród widm, wyrośnięty na dziesięć stóp; jesteś olbrzymem, który wygraża pięścią czerni i martwej planecie, który wyciem rzuca wyzwanie wiecznej nocy.

– Żeglować dalej! Żeglować dalej! Coraz dalej!

– Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć! – Maszerujesz na czele niewielkiej armii mężczyzn i kobiet w zielonych strojach ziemioryjców, która z dolnego pokładu wdziera się na pokład rozrywki, dzierżąc krzyże owinięte symul-liśćmi winnej latorośli. Każdy okrzyk wbija ci gwoździe w nadgarstki.

Prowadzisz karnawałowy pochód widm w szalony taniec, poprzez pokład rolny, tratując kruche zalążki życia, siejąc złote i srebrne confetti, olśniewacze, garście klejnotów – łup z podróży pochodni przez plankton międzygwiezdny.

Windą zjeżdżasz w dół przez kolejne pokłady statku. Pokłady rozrywki, pokłady mieszkalne, pokłady produkcyjne, pokłady filtracyjne – wszystkie z wyjątkiem sterowniczego i wartowniczego – pokryte są ordynarnym syntetycznym klepiskiem i przekształcone w tereny symul-rolne. Plony są rachityczne, w powietrzu unosi się chemiczny fetor, powierzchnie metalowe zaczynają rdzewieć, a ludzie w zieleni mają przygarbione plecy i zapadnięte oczy doszczętnie opętanych. Wszędzie widać oplecione winoroślą krzyże.

Winda innego statku unosi cię do góry. Tutaj aparatura jest w dobrym stanie, powietrze czyste, kopuły lśniące, a pokłady skąpane w świetle, gwarze i przepychu symul-rubinu, -szmaragdu, -szafiru i -diamentu. Ludzie to rajskie ptaki w lustrzanych strojach, symul-aksamitach i jedwabiach o luksusowych odcieniach i wzorach, strojni w pióra, skóry, złoto, srebro i mosiądz. Zdają się jednak poruszać w jakimś nienaturalnym rytmie, jakby tańczyli szalonego jiga pod melodię widmowego grajka, a ciała ich mają przezroczystość niespolaryzowanego plexi.

Unosisz się nad samym centrum Karawany: za tobą statki zrodzone w Karawanie tworzą półkolisty diadem o świetlistości klejnotu. Przed tobą dryfuje „Tułacz", a za nim procesja starych zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, rozklekotanych do cna, przez których luki prześwieca blada zieloność.

– Twoje ogrody umierają, Tułaczu.

– Twoje nigdy nie znały życia, Holendrze – odpowiada on, a ty poprzez własne szkliste ciało, poprzez statki-widma za plecami, widzisz gwiazdy i próżnię.

W przestrzeni między wami pojawiają się dwie srebrzyste opaski na głowę, czemu towarzyszą fanfary i złoa aureola światła. Duże, toporne, nie nadające się do noszenia stale – są to pierwsze transceptory, prototypy chirurgicznie wszczepianego czujnika. Jarzą się i pulsują jak żywe stworzenia, jak dary nie istniejących bóstw.

Ujmujesz jedną opaskę, śmiejesz się, wkładasz ją na głowę Tułacza:

– Przyjmij tę obręcz na dowód mojej miłości.

Bez wahania Tułacz umieszcza drugą obręcz na twojej głowie.

– Oto moja korona cierniowa, noś ją – mówi.

Stoisz na mostku statku-pochodni, obok ciebie widmowy Holender. Przez plexi gwiazdy wyglądają jak milionowy rój ożywionych klejnotów, których wspaniałość odbija się w światłach Karawany.

Klęczysz pośród maleńkich sosenek na pokładzie rolnym, obok Tułacza, a sosenki wyrastają w las sięgający aż po błękit niebios Ziemi utraconej, ty zaś czujesz w nadgarstkach ból po ćwiekach, słyszysz bicie odległego dzwonu, czujesz smutek ciała i kadzidlaną woń niepowetowanej straty.

Unosisz się windą do góry, trzymasz za rękę Holendra, a mijając jeden po drugim skrzące się klejnotami, rozjarzone pokłady, słyszysz pomruk silników i odgłosy ludzkiego rozbawienia, widzisz kryształowe drzewa wyrastające wysoko z metalowych gleb pokładów. Ciała widmowych postaci zestalają się, dłoń Holendra staje się różowa i namacalna. Kiedy zaglądasz mu w oczy, patrzą na ciebie twoje własne oczy tułacza, w których ból miesza się z dziką radością.

Płyniesz w powietrzu nad samym centrum Karawany, przy tobie Tułacz; otaczające was statki zmieniają konfiguracje w wyrafinowanym balecie – statki zrodzone w Karawanie i przeróbki frachtowców asteroidalnych reintegrują Karawanę w setkach rytualnych pas de deux.

Tunelem zjeżdżasz w dół poprzez pokłady statku ziemioryjców, widzisz, jak ich zielone mundurki przeistaczają się w rajskie pióra noszone dotąd na statkach powstałych w Karawanie, widzisz jak z

dziurę przyprószoną nic nie znaczącymi gwiazdami. Sprawił, że gwiazdy przeistoczyły się w byle jak poznaczone kropki na czarnym papierze i z wnętrza tego continuum papierowej torby przebił się na zewnątrz – w czeluść.

Sięgnął po taśmę wiadomości dnia z roku 708, roku w którym 557-Gamma-IV okazała się fałszywym światełkiem: patrzył jak obywatele Karawany, w stylizowanych na biblijne szatach, snują się po pokładzie rolnym gęsto porosłym przekwitłymi kwiatami i cuchnącym od gnijącej roślinności. Wystylizował ich kwaśne miny w żałosne błazeńskie karykatury obliczy, które z wolna przemieniały się w dynie; Big Ben wybijał północ. Stał, gotów do skoku, na podeście u wejścia na „Belę-37", spięty i drżący, obezwładniony czarnym ogromem, w którym niebezpiecznie zawisł statek.

Fuknął z irytacją, zdjął z głowy pierścień efektów jak koronę po abdykacji i zasiadł w kokonie fotela, z niezadowoleniem patrząc na krążek mikrotaśmy obracający się jałowo na sztyfcie produktora. Wcisnął niebieski guzik i skasował krążek. Gówno, które tu montuję od trzech dni, nie zasługuje nawet na przechowanie – pomyślał. Manipuluję bankami i pierścieniem efektów – w nic się to nie sumuje.

A czasu było coraz mniej. Wszyscy wiedzieli, że „Bela-37" powróciła, wszyscy wiedzieli też, że biuletynu nie ma wyłącznie dlatego, że Jofe D'mahl ma przekazać informacje w formie senso. Jiz w swojej niewinności i Bandoora w swej tchórzliwej chytrości, dobrze o to zadbali. Im dłużej trwało przygotowywanie senso, tym większego nabierało ono znaczenia w kategoriach kosmicznych, i tym silniej rosła wiara ludzi w to, że jedyną przyczyną ogłoszenia raportu statku zwiadowczego w tak niecodzienny sposób jest oddanie karmicznej sprawiedliwości najdonioślejszemu i najradośniejszemu wydarzeniu w dziejach Karawany – dopisanie triumfalnego epilogu do długiej ludzkiej podróży na pochodni.

Im dłużej zatem siedział martwo w przestrzeni, jak statek z wygaszoną pochodnią, tym dalej brnęli ludzie po fałszywym wektorze nadziei; tym straszniejszy będzie krach, kiedy nadejdzie, tym trudniej skonstruować senso, które przezwyciężyłoby tę dynamiczną inercję i poprowadziło ludzi w kolejny obrót straszliwej spirali. Teraz D'mahl rozumiał już, dlaczego kasta próżniojadów przez pół tysiąclecia wybierała kłamstwo. A im dłużej kłamstwo trwało, tym mniej możliwe stawało się obwieszczenie prawdy.

Jakie wyjście wybrała kasta próżniojadów? Zignorowali asymptomatyczną naturę stworzonego przez siebie potwora Frankensteina i oddali się próżni! Dla nich rzeczywistość ostateczna była super-iluzją eskapistyczną!

D'mahl z wściekłością walnął oburącz w krawędź konsolety produktora. Niech będzie co ma być, jeżeli wszystkie wektory prowadzą do próżni – próżnia musi być rdzeniem! I tak nie mam lepszego materiału. Pójdę do centrum i nie wyjdę stamtąd póki nie poczuję w garści bicia serca tego senso.

Umieścił krążek próżniossania w playbacku pomocniczego produktora i zaprogramował aparat na replay ciągły. Z początku ustalił długość programu na limit dwudziestu czterech godzin standardowych, ale zmienił zdanie. Nie, pomyślał, muszę mieć pełną władzę nad tym materiałem, żadnych ograniczeń. Do pierścienia efektów wprowadził polecenie „stop", na wszystkie inne programowanie efektów nałożył blokady, i dopiero wtedy umieścił pierścień na głowie.

Teraz będzie mógł obejrzeć swój materiał z próżni jak oryginalną, nagą rzeczywistość, mając jedynie możliwość zastopowania ciągłości przekazu, lecz bez przynależnej senso-producentowi władzy zmieniania rzeczywistości. I nie użyję stopu, póki nie będę mógł wrócić z tym, co mi potrzebne – obiecał sobie, uruchamiając czucie na krążek próżniossania. Wrócę tylko pod warunkiem, że będzie to znów powrót na mojej własnej pochodni.

Był nieśmiertelnym embrionem dryfującym swobodnie w wiecznym łonie uniwersalnej czeluści, a miliony gwiazd były drobinkami emanującej światłem materii, oddalonymi odeń o wieczność przez przepastne jary absolutnej nicości. Wszechobecna czerń była totalną nieobecnością wszystkiego – światła, ciepła, dźwięku, barwy, życia – rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie. To była próżnia, a on był w niej.

Ku swemu zdumieniu, D'mahl stwierdził jednak,że umysł jego tym razem natychmiast ogarnia bezlitośnie prawdziwą koncepcję rzeczywistości, bez pomocy iluzji, jedynie przy udziale wrzeciona somatycznego i lęku zarejestrowanego na taśmie sensorycznej. A nawet i one rozwiały się, gdy pamięć taśmy


NIE PRÓBUJ MNIE OSZUKAĆ WIEDŹMO
POTRZEBUJĘ ZIÓŁ, KTÓRE ROSNĄ NA UROCZYSKU. GDY JE SPALĘ I POWIEM ZAKLĘCIE CZAR PRYŚNIE




OOOAA....
HADAR WOLK!




PRECZ WILKU DO PUSZCZY!


DAŻGRAD POSZEDŁ PO POMOC, OJCZE. JUŻ DWA DNI MIJAJĄ.
DAŻGRADZIE...


PANIE, JAKAŚ KOBIETA... MÓWI ŻE ULECZY WASZEGO OJCA.


NAZYWAJĄ MNIE STUCHĄ...


CHODŹ, JARDO. JA TEŻ WYJDĘ.
POZNAJESZ TĘ BROŃ? TWÓJ BRAT NIE DAŁBY MI JEJ, GDYBY MI NIE UFAŁ. A TERAZ ZOSTAWCIE MNIE SAMĄ Z WŁODARZEM


?
O TYM NIE BYŁO MOWY...


ODSTĄP TERAZ, MOROWY DEMONIE...
6

ODPĘDZĘ DEMONA, KTÓRY CIĘ DRĘCZY. SAM GO NA SIEBIE ŚCIĄGNĄŁEŚ, PAMIĘTASZ? TEN AMULET, KTÓRY ZŁUPIŁEŚ KIEDYŚ W ORWAŃSKIEJ ŚWIĄTYNI... DAJ MI GO, A ULECZĘ CIĘ.

KIM JESTEŚ?

NIE! DOSTANIE GO DAŻGRAD NIKT INNY.

„TYMCZASEM”...

SZORD I WIELU INNYCH NIE POSŁUCHAJĄ WAS, PANIE. MÓWIĄ, ŻE WINNI SĄ WIERNOŚĆ DAŻGRADOWI JAKO PIERWORODNEMU.

OTO TWOJE SREBRO. WEZWIJ ICH DO MNIE.

CZY CHCESZ MI COŚ RZEC, WŁÓCZNIO? GDYBYM MOGŁA CIĘ ZROZUMIEĆ...

NIE MA STRAŻNIKÓW? NA SWARGA COŚ ZŁEGO SIĘ TU DZIEJE.

MUSZĘ ZNALEŹĆ DAŻGRADA

„PROWADŹ MNIE, WŁÓCZNIO....”

Wilcza Klątwa













D'mahl spojrzał na nią, na nagie piersi uniesione strzeliście ponad biało-czerwoną tkaniną, dumnie anujące nad syntetycznym prymitywizmem, który sama stworzyła, nad próżnym, żałosnym marzeiem, które nigdy się nie spełni – i przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że Jiz zrobiona jest z cienkiego zkła, które rozsypie się w okruchy na sam dźwięk jego głosu. Cała galeria, cały pokład dwunasty, cały Brigadoon", cała Karawana, wydały mu się dymnymi obłokami, które można rozwiązać jednym nonzalanckim machnięciem ręki. Poza nim i w nim, próżnia natrząsała się z żałosnych zjaw, które tak ardzo starały się istnieć naprawdę. „Jak mam jej powiedzieć?" – pomyślał D'mahl. „I po co? Po diała?"

– Nic takiego – bąknął niezdarnie. – Nie zachwyciła mnie chyba myśl o dorastaniu. Za dużo we mnie ana, za mało Piotrusia.

Jiz roześmiała się, wyjaśniwszy za pomocą kontaktu do banku potrójny żart D'mahla, i niebezpieczny noment jakoś przeszedł. D'mahl czuł jednak dystans, jaki się rozwarł pomiędzy nim a Jiz, pomiędzy im a Karawaną, pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Czy to właśnie znaczy być próżniojadem? – zastaowił się. Jeżeli tak, to lepiej się przeprogramować na lewą stronę!

– Ale ty tam przecież byłeś, Jofe – powiedziała Jiz, wracając do niego z drugiego końca galerii. – Odczytywałeś falę czołową sondy, zajrzałeś przez bramy Edenu! – jej oczy skrzyły się, ale D'mahl za ukrem ich blasku widział jedynie próżnię. – Czy są tam morza pełne ryb i niebiosa pełne ptaków? Zielona trawa? Kwitnące rośliny?

– Dżentelmen nie zdradza sekretów – zrobił unik D'mahl. Co ja jej powiem – że zielona trawa to sole niedziowe, że morza są niebieskie od cyjanku, a niebo pełne trucizny? Poczuł większą niż dotąd sympatię dla próżniojadów. Jak można żyć, mając ludziom do powiedzenia tylko takie prawdy? Jak można hcieć być aniołem śmierci?

– Jofe!

– Nic nie mogę powiedzieć, Jiz, dałem słowo.

– Nie wygłupiaj się, w jaki sposób próżniojady, czy Rada Pilotów, zdołałaby wydusić z ciebie taką bietnicę?

Z niebywałym wysiłkiem D'mahl wymalował sobie na twarzy łagodny uśmiech; głębokie zmarszki miechowe wyglądały jak pęknięcia na szklanej masce.

– To jest właśnie ten kwik, który płacę za ich pro quo, mój prosiaczku – odparł.

– Nie powiesz mi chyba...

– A właśnie, że powiem. Myślisz, że siedziałbym tam inaczej tak długo, a potem pozwolił, żeby jakiś am oschły jak Luna biuletyn pozbawił mnie głównej roli? Żadnych biuletynów – 997-Beta-II-Eden – to noje nowe senso.

Jiz podskoczyła i pocałowała go w usta.

– Spodziewam się, że najlepsze!

D'mahl przytulił ją przelotnie i poprzez burzę jej włosów spojrzał na kolekcję prostych glinianych naczyń na orzechowym kredensie przy ceglanym kominku. Zadrżał, gdyż poczuł próżnię w każdym atomie, w każdej cząsteczce materii tworzącej te symul-projekcje umarłej na wieki przeszłości w przyszłość, która nigdy nie nastąpi. Był teraz skazany na zrobienie tego, jedynym wyjściem było przez to przebrnąć, a przecież wziął na siebie obowiązek znalezienia takiego wyjścia.

– Mam nadzieję, że najlepsze – odparł. – Mam nadzieję.

D'mahl był w ciele Arica Moreau pośród tłumu śmiertelnie poważnych ludzi w obrzydliwych samodziałach, wałęsającego się nieprzytomnie po gęstych szpalerach sosnowych młodniaków na pokładzie rolnym „Polany". Tutaj nie silono się na żadne symule: ziemioryjcy zapamiętale hodowali las z myślą o przetransplantowaniu go na nie istniejące żyzne gleby Edenu. Podobnie jak na innych pokładach rolnych, które wyczuwał, tu także funkcjonalność brała górę nad estetyką. Wściekły, puścił z góry deszcz ekskrementów, zmienił modny neo-samodziałowy strój na obmierzłe drelichowe szmaty, a na dobitkę dorzucił jeszcze kilka gniewnych piorunów z błyskawicami.

Przeczuł ten fragment sprawozdania „Beli-37", w którym hologram 997-Bety-II wisiał jak przejrzały owoc w samym centrum mostka kapitańskiego statku, a na linii równego podziału umieścił jęzor i usta, otrzymując efekt wielkiej, soczystej maliny. Płynął w próżni, opadając bez końca w bezdenną czarną

metalu znika rdza, widzisz kryształowe altanki, migotliwe labirynty i bulgocące potoki, dzięki k nagrobki smutku przemieniają się w ogrody radości.

I siedzisz naprzeciwko Holendra przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawia połowie wysokości kopuły pokładu rozrywki. Centralny trzon pochodni jest gęsto obrośnięty win Basen, muszla koncertowa, migotliwe labirynty, parkiety do tańca i karuzela, rozproszone są te zielonej bujnej łące, w cieniu sosen i dębów. Kopuły i górne pokłady rozwiewają się, a ogrodow pozostaje wszystkim, co jest, sam, obnażony, jako maleńki krążek życia zagubiony w bezkresie w próżni.

– Tułamy się po mrokach duszy – rzecze Holender. – Może stoimy na straży jedynego życia, j ogóle istniało i istnieje.

– Latający Holendrzy, tułacze bez ziemi; Czyż nie ma innych bogów poza nimi?

A teraz jesteś odległym punktem widzenia na krążek życia, który dryfuje w bezmiarze przes widzisz, jak Karawana oddala się, aż w końcu pozostaje z niej jedynie jeszcze jeden abstrakcyjny świetlny na tle galaktycznych ciemności. Na bezkresnym gwiaździstym polu bladym ogniem ma napis:

WĘDRUJĄCY HOLENDRZY

Autor: Jofe D'mahl

W gwarze, który się poniósł po grand-salonie Jofe D'mahl pobrzmiewała wyraźna nutka grzec Aplauz utrzymywał się stosownie długo (lecz nie dłużej), po czym wszyscy na stojąco, wrócili do rozmów, jak stado wielobarwnych ptaków ćwierkających po lesie z drogich kamieni.

– Wyraźnie widać było zarysy kontynentów, a te zielone płaszczyzny – to może być roślinno

– Hel, no tak, ale czy zdołamy oddychać przy tej ilości helu?

Stojąc pomiędzy Jiz Rumoku a Bandoorą, Jofe D'mahl znalazł się w irytującej roli punktu po trum uwagi. Oczy gości co chwila popatrywały chyłkiem w ich stronę, szukając Bandoory, lecz nie ośmieliły się zatrzymać na dłużej, gdyż obok próżniojada stał Jofe D'mahl, bliski wybuchu, w którego płonął żar zdolny stopić plexi.

Sam Bandoora za to patrzył prosto na niego i D'mahl poczuł nieznany sobie ośrodek obcego pulsujący ku niemu z głębi nieprzeniknionych oczu tamtego.

– Przykro mi, że Biuletyn Pilotów osłabił sukces pańskiej premiery – powiedział Bandoora.

– Doprawdy? – syknął D'mahl – A co każe panu sądzić, że pański drogocenny bełkot jest aż ta ny? – dorzucił, już głośniej. Teraz już goście nie mieli powodu do odwracania wzroku: D'ma dopraszał się uwagi. – Wy, łachmyty, oczekujecie od nas zachowań godnych psów Pawłowa, wyskoczycie z nowym gównem, które wygląda na możliwe do zasiedlenia. Wszystko dobrze, dop zbliżycie się na taką odległość do swojego odkrycia, żeby na całego poczuć trupi fetor gazów i skały. Twój bełkot, Bandoora, jest jak nova, która żyje pół roku. Sztuka jest wieczna.

– Wieczność może trwać dłużej niż się panu wydaje, D'mahl – odparł spokojnie Bandoora. – Po w zupełności się z panem zgadzam. Bardzo się wzruszyłem oglądając „Wędrujących Holendr Czyżby to łzy zamgliły jego wzrok? – Być może bardziej, niż jest pan to sobie w stanie wyobraz

Panowała absolutna cisza, cała uwaga gości skupiła się na niewielkiej psychodramie. Co zaczęli przysuwać się bliżej. D'mahl stwierdził, że nie potrafi określić wektora Bandoory: w tyc zawodach jego nie było, zdaje się, żadnych wspólnych reguł.

– Chciałbym przeprosić za zakłócenie premierowego wyczucia wybitnego dzieła sztuki – rze doora. – Dam panu szansę zrobienia największego senso w pańskiej karierze, D'mahl. – Na je wypełzł nikły uśmieszek, oczy były jednak tak poważne, że niemal komiczne.

– Co każe panu mniemać, że pan właśnie może mnie czegoś nauczyć na temat sensosów? – ironicznie D'mahl. – Może za chwilę poprosi mnie pan o wygłoszenie wykładu z próżniossani grand-salonie przeleciał zbiorowy chichot.

– A może już go pan wygłosił, panie D'mahl – rzekł Bandoora. Odwrócił się i ruszył przez ko mgły, wśród kryształowych drzew, w stronę przezroczystej kopuły z plexi osłaniającej wielk Obejrzał się przez ramię i poprzez tłum przeszył D'mahla wzrokiem. – Nie znam się na sensos

mogę pokazać panu rzeczywistość, wobec której wszystko, czego pan w życiu doświadczył, zblednie do zera. Tę rzeczywistość proszę zarejestrować na taśmie, jeśli się pan ośmieli.

Wszyscy wstrzymali oddech.

– Ja – ośmieli! – eksplodował D'mahl. – Kogo ty chcesz nastraszyć swoim tanim spektaklem, Bandoora? Jestem Jofe D'mahl, jestem największym artystą swoich czasów, jeźdźcem na pochodni własnego ego. Ośmieli! A ty myślisz, że co ja mam innego do roboty, jak się ośmielać, ty nędzny robaku? Czy nie dotarło do ciebie nic z tego, czego przed chwilą doświadczyłeś?

Bandoora dobrnął do ściany kopuły i odwrócił się; jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle gwiaździstej czerni, z rozjarzonym wieńcem statków w dalekim tle. Jego oczy zdawały się czerpać z owej czerni butną energię.

– To nie teatr, D'mahl – powiedział. – Żadnych komputerowych czujników, żadnych sensosów, żadnych iluzji. Nic z tych rzeczy, którymi wy tutaj żyjecie. Rzeczywistość, D'mahl, Prawda. Tam. Naga próżnia.

Obrócił się profilem i wyciągnął prawe ramię, jakby chciał nim objąć ciemności.

– Leć z nami „Belą-37", D'mahl. Leć z obnażonym umysłem i niczym więcej, tam, gdzie nie ma nic tylko ty sam i wieczna próżnia. „Wędrujący Holendrzy" celnie ją ukazują – jak na senso człowieka, który tworzy symule. A co zrobiłbyś z własnej taśmy sensorycznej próżni – gdybyś odważył się ją zarejestrować przez własne, żywe ciało? Czy ośmielisz się, D'mahl, czy się ośmielisz stanąć własną nagą duszą wobec prawdy próżni?

– Jofe...

D'mahl zniecierpliwionym gestem odsunął Jiz.

– Tworzy symule! – ryknął kipiąc z wściekłości. – Czy się ośmielę! – Rzeczywistość grand-salonu, nawet policzek wymierzony mu na oczach gości, szczezły w białym ogniu wyzwania, wobec rękawicy, którą Bandoora cisnął pod stopy jego duszy. „Ja mogę się z tym zmierzyć, a ty? Czy naprawdę zdołasz wyciosać żywą sztukę z martwej próżni, nie z metafory nicości, lecz z samej nicości, w materii, w czasie realnym? A może ty symulujesz? Może jesteś hochsztaplerem?"

– Mówiłem ci już, Bandoora – syknął przez kłęby wściekłości – że jedyne, co mam do roboty, to śmielać się.

Goście wydali głośne oooch!, Jiz pokręciła głową, Bandoora skłonił się lekko i uśmiechnął. Jofe D'mahl poczuł jak przez grand-salon i przez niego samego przelatują fale przemiany, lecz ich charakter i wektor wykraczały poza zdolność pojmowania jego umysłu.

Rozdział II

Przeskakując z „Excelsiora" na „Brigadoon" przez zatłoczony sektor centralny karawany, Jofe D'mahl doznał wrażenia, że balon emocji, w którym poruszał się od bankietu z okazji premiery, był bardziej namacalny niż przezroczyste, migotliwe ściany pęcherza próżniowego, w którym obecnie się znajdował. Drganie powłoki ścian widoczne było tylko jako nikły parawan pomiędzy twardą próżnią kosmosu a kulą powietrza zawartego wewnątrz pęcherza, za to odbiór jego osoby widać było na wszystkich twarzach, które mijał. Tak często wyczuwali go ludzie, których nie znał ani przez senso, ani cieleśnie, że zmuszony był w końcu postąpić o 180° wobec własnego wektora: wczuć w swoje banki program osłaniający, który odrzucał sygnały wszystkich osób spoza możliwej do ogarnięcia listy akceptowanych. D'mahl był bez wątpienia bieżącą nową Karawany.

Nawet tutaj, pośród wydętych pęcherzy pływających od statku do statku, czy też po prostu wałęsających się po przestrzeni, D'mahl czuł, że błyszczy jaśniej niż cały wieniec statków-pochodni, jaśniej nawet niż sama błona wodorowa, gdyż większość ludzi, których trajektorie biegły w zasięgu jego wzroku, witała go ukłonami lub pełnymi szacunku spojrzeniami.

To niemal w pełni wynagrodziło mu zawód, płynący stąd, że przyczyną rozbłyśnięcia jego novej nie byli „Wędrujący Holendrzy", ale publicznie ogłoszona decyzja o śmiałym zamiarze spędzenia sześciu standardowych miesięcy z próżniojadami, z dala od Karawany, z dala od kontaktów czuciowych z bankiem, w samotni własnego umysłu i ciała, jak prymitywny człowiek przedczujnikowy. Podobny efekt osiągnął swego czasu Walker Nan Pei, ogłaszając z miesięcznym wyprzedzeniem, że publicznie popełni

jącej gleby; słychać było nieustannie ptasie nawoływania i nieokreślone szelesty przemykających się zwierząt.

Galerię Jiz Rumoku stanowiła teraz pojedyncza obszerna komnata z wydrążonego symul-pnia drzewa, które mogłoby uchodzić za niebywałych rozmiarów sekwoję, nad galerią zaś mieścił się zgrzebny stryszek – obecne mieszkanie Jiz, o ścianach i podłodze z kłód symul-sekwoi. Przez sufit biegły ciężkie drewniane krokwie, a na kominku z czerwonej cegły migotał i huczał pomarańczowy ogień. Eleganckie symul-orzechowe stoły i kredensy w czystym, estetycznym stylu Shakera, służyły do ekspozycji reprezentatywnych rzeźb w drewnie, glinianych naczyń, biało-niebieskiej ceramiki, niewymyślnej biżuterii ze złota i srebra, wiklinowych koszyków i zwierzątek, neo-ręcznie tkanych materiałów. Po całej galerii rozstawione były żeliwne piecyki, koksowniki, narzędzia rzemieślnicze i pługi.

Jiz stała za niskim stolikiem ubrana w obcisłą, przylegającą do ciała sukienkę z surowej bawełny, w biało-czerwoną szachownicę, skrojoną w stylu minoańskim, tak, że odsłaniała piersi. Piła coś z glinianego kubka.

– Jofe! – krzyknęła i przeczuli się nawzajem. D'mahl poczuł na jej skórze szorstkość sukienki, gdy ciało jego całowało jej usta, a jego ramiona przytulały go do niej z całej siły. Smakował resztki płynu w jej ustach – coś słodkiego, kwaskowatego, z lekką domieszką alkoholu. Przez kontrast, jego własne usta wydawały się twarde i naelektryzowane.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała, kiedy zerwali kontakt. – Pozwól mi wyczuć ścieżkę sensoryczną twojej wycieczki!

– Jeszcze jej nie ma w bankach – odparł D'mahl. – Pamiętaj, że byłem odcięty.

– Racja! To niesamowite! Naprawdę będziesz mi o tym mówił, słowami?

– Wkrótce wczuję nagrania do banków – bąknął D'mahl, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie. – A mówiąc o niesamowitościach co to wszystko ma znaczyć?

– Racja – zmitygowała się Jiz. – Ty przecież rzeczywiście nie miałeś kontaktu. Jakie to dziwne! Moda transmutacyjna trwała krócej niż się spodziewałam, głównie dlatego, że zaczęła się wszystkim wydawać zbyt sztuczna, bez synchu z naszym przyszłym wektorem.

– Przyszłym wektorem? to znaczy?

– Eden.

– Eden?

– Nasz coraz bliższy nowy dom, Jofe. Nie możemy go ciągle nazwać 997-Beta-II, prawda? Odbyło się referendum i wygrał „Eden", chociaż ja osobiście byłam za „Olimpią". Mity greckie zawsze były mi jakoś milsze.

Fale mdłości przetoczyły się przez całą istotę D'mahla, biorąc swój początek z centrum nicości za mostkiem.

– Nie sądzisz, że to zbyt przedwczesne, Jiz? – zapytał.

– Na tym polega moja gra, Jofe, przecież wiesz – odparła Jiz, żartobliwie dotykając palcem koniuszka jego nosa. – Tym razem jednak kreuję coś więcej niż nową modę. Pomagam w przygotowaniu nas do transformacji.

– Transformacji?

Jiz tańczyła po galerii, dotykając drewna, gliny, wikliny, żelaza.

– Och, Jofe, sam to przecież powiedziałeś w „Wędrujących Holendrach"! Za długo już jesteśmy Latającymi Holendrami na bezbrzeżnym morzu. Trwamy w wiecznym okresie dojrzewania, na zwolnionych obrotach przemierzamy noc w swoich baśniowych statkach. Więc teraz, skoro mamy okazję wreszcie dojrzeć, zapuścić nowe korzenie w nową glebę, musimy doprowadzić swoje umysły do synchu z nadchodzącą rzeczywistością, musimy zejść z pochodni, na której jedziemy, bliżej ziemi. Drewno, cegła, żelazo, glina, roślinność! Przedmioty planetarne! Przygotowujemy się do roli pionierów, którzy wkroczą w dziewiczy świat.

– Gówno – mruknął przerażony D'mahl. – Ziemioryjskie brednie – dodał głośno. Irytacja zaczęła w nim kipieć, przybierając blask nowej.

Jiz stanęła, jak motyl zastygły w połowie tańca.

– Co ty powiedziałeś?

kimś, kto może w tym momencie wczuć się do banku cytatów. I na pewno to zrobi. – Za rok w Jerozolimie – dodał jej ustami. Tymi samymi ustami ucałował jej dłoń i przerwał kontakt.

Po czym wczuł się kolejno we wszystkie zmiany, według chaotycznego programu wynajdowania nowych zjawisk.

Był Parą Bunningiem, skaczącym do góry w obniżonej grawitacji do basenu wonnej różanej wody podgrzanej do temperatury ciała. Na ścieżce sensorycznej pilota szalupy zobaczył, jak „Bela-37" przebija błonę wodorową, z nim samym na pokładzie, a następnie jak pojawia się z powrotem w Karawanie, na częstotliwości dziennika wieczornego. Stał we własnym grand-salonie, z wściekłością patrząc poprzez mgły bankietu na Harisa Bandoore, następnie wyczuł salon w czasie realnym – naga szmaragdowa posadzka, przyćmione kryształowe drzewa, a poza ekranem plexi – olbrzymi wieniec statków świecący w galaktycznej nocy.

Był w ciele Johna Beniny, patrzył w dół na Pasaż Słonecznego Tańca. Winorośle rozpełzały się w górę i w dół po jednorodnie szklanych fasadach domów, a pośrodku placu sosny okalały wielkopłytowe lustro, tłumiąc jego blask. Wyczuł fragment „Niech zakwitnie tysiąc kwiatów", senso autorstwa Irana Capabuli, którego premiera odbyła się pod jego nieobecność: zgięty w pół pod żółtym słońcem w czystobłękitnym niebie pełł nieskończone pola bajecznie kolorowych kwiatów, zatopiony w ich kadzidlanej woni. Jako pierwszy tancerz Baletu Odległego Spojrzenia, odtańczył parę taktów „Eksplozji Gwiezdnej". Pierwszy raz kochał się na niebieskim futrzanym wzgórzu na „Samarkandzie", ostatni raz u Jiz, a między pierwszym i ostatnim jeszcze ze dwanaście razy. Ukończył swoje pierwsze senso, „Zaciemnienie", i ostatnie – „Wędrujących Holendrów". Jadł obiad pośród kolorowych chmur na „Arielu", drugi nad Krwawym Jeziorem na „Lothorienie", a w trakcie jeszcze dwanaście razy w różnych innych miejscach. Na przypadkowych częstotliwościach sięgnął do wszystkich sensosów, jakie w życiu robił.

A kiedy miał już to wszystko za sobą, zjednoczył się z dawnym D'mahlem, był znów we wszechświecie nieskończonej liczby rzeczywistości, który na jakiś czas opuścił; był całością; był w domu.

★

„Brigadoon", zgodnie z oczekiwaniem D'mahla, był całkiem odmieniony. Nowa moda była jednak jak najdalsza od tego, czego się spodziewał i coś w niej zmroziło go do żywego.

Pokład drugi stanowił symulę starożytnej ziemskiej wioski alpejskiej: symul-drewniane domy, trawa porastająca syntetyczną glebę, sosny; nawet kopuły wizjerów zasłonięte były 360-stopniowymi hologramami gór w czapach śniegu pod błękitnym niebem.

Wachlarz rozrywek na pokładzie szóstym znacznie uszczuplono i uproszczono żałośnie na wzór małomiasteczkowych amerykańskich lunaparków: diabelski młyn, karuzela, gra w rzutki i baloniki, romboidalne boisko baseballowe, nawet mechaniczne symule medalowego bydła, owiec, psów i świń. Ten pokład również osłaniał 360-stopniowy hologram, tym razem hologram zboża falującego na wietrze. Pokład ósmy, mieszkalny, był symulą wioski afrykańskiej – koliście ustawione chaty kryte trawą, zagroda z mechanicznym bydłem i antylopy, lwy, oraz hieny, hasające po osłaniającym całość hologramie stepu. Pokład dziesiąty przerobiono właściwie w całości na funkcjonalny pokład rolny: rzędy za rzędami sadzonek sosen, gęsto zasadzone winnice, grządki kwiatów, i uwijający się wszędzie ludzie w zieleni ziemioryjców.

D'mahla zaszokował nie tyle motyw przewodni nowej mody – „Brigadoon" lansował już wcześniej mody „naturalne" – co monomania wykonania, bez poczucia humoru, bez brio. Ta ostatnia metamorfoza „Brigadoona" wydawała się tak śmiertelnie poważna, jakby stanowiła próbę stworzenia rzeczywiście wiernej symuli dawnych środowisk ziemskich, a nie użycia ich jako pretekstu do artystycznych przetworzeń.

Pokład dwunasty, pokład Jiz, epicentrum wszystkich fal transformacji „Brigadoona", zaskoczył go najbardziej. Wyłącznie drewno i drzewa. Sklepy i restauracje pobudowano z symul-kłód pokrytych chropawą korą; kwadratowe szybki z plexi w małych okienkach osadzone były w drewnianych, żłobionych okiennicach. We wnętrzach stały symul-drewniane, grubo ciosane meble. Ścieżki wyłożono kamiennymi płytami. Wokół rosły ogromne symul-drzewa, kasztanowce i eukaliptusy, wynoszące się aż pod strop pokładu, gdzie tworzyły niemal lity leśny baldachim, pomniejszając i wręcz spychając z powierzchni skromne, neoprymitywne chaty. W powietrzu unosiła się gęsta woń palonych liści i butwie-

samobójstwo, z tym że Walker Nan Pei na zawsze zdmuchnął swoją pochodnię wycofując się z obietr
cy. D'mahl wiedział, że teraz już nie wolno mu się wycofać.

Minął „Paradisio", przyjął gesty powitania od pasażerów mijającej go szalupy międzystatkowej, okr
żył „Ginzę", zdusił polaryzator–g i lekko, na czubkach palców, wylądował na podeście głównego wejśc
na „Brigadoon". Szybko przekroczył rubinowy pomost, przeszedł przez zasłonę rozrzedzonego powi
trza, spuścił powietrze ze swojego pęcherza próżniowego i najbliższym tunelem w dół spuścił się
galerii Jiz Rumoku na pokładzie dwunastym, ciekawco tam ujrzy tym razem.

Dzięki aurze Jiz „Brigadoon" był w Karawanie statkiem-kameleonem; całe pokłady przerabiano tu
A do Z równie często jak przeciętny obywatel Karawany przemeblowywał własne mieszkanie. „Brig
doon" był dla reszty Karawany źródłem modnych strojów i olśniewaczy, tak jak dla poszczególny
pokładów statku Jiz takim źródłem była jej galeria. Ostatnio zabrakło raptem pięćdziesięciu głosów, a
przeszedł postulat zmiany nazwy statku na „Żywe Srebro".

Mijając po drodze w dół wszystkie pokłady, D'mahl dostrzegł więcej zmian niż potrafił zidentyfikow
bez wczucia się do banku po obrazy minionych wersji – a od jego ostatniej wizyty na „Brigadooni
minął najwyżej standardowy miesiąc. Pokład trzeci był niegdyś dzielnicą mieszkalną wznoszącą s
tarasowo wokół rygorystycznie utrzymanego alpinarium – teraz była to laguna, po której pływały dom
łodzie. Pokład szósty, dawniej symula starożytnego Tivoli, przeistoczył się w tereny rozrywkowe us
tuowane na zawieszonych na różnych poziomach płytach grawitacyjnych, ponad ogromnym, wiruj
cym w zwolnionym tempie, lejem syropowatej, tęczowo zabarwionej cieczy. Pokład dziesiąty, dawni
babiloński labirynt domów mieszkalnych porośnięty girlandą winorośli, stał się miniaturową pustyn
uformowanych statycznie złotych i srebrnych drobnopylistych diun, wplecionych jak koronki międ
baśniowy filigran domów-pieczar. Najwyraźniej tematem miesiąca było przenikanie.

Pokład dwunasty stanowił konfekcję wielobarwnych energii. Ścianami sklepów i restauracji by
dymne rozedrgane ekrany w dziesiątkach subtelnych odcieni, a plac centralny wokół trzonu pochod
był pulsującą zmianami łąką wędrujących leniwie miniaturowych pufo-kulek w kolorach błękitu, zi
leni, purpury, żółci i karmazynu. Sam trzon pochodni miał postać cylindrycznego lustra, a większo
ludzi nosiła lustrzane stroje, peleryny z mgły, lub świetlne opończe. Człowiek czuł się jak w środku tęc
i D'mahl, w swoich stosunkowo tradycyjnych niebieskich spodniach, z nagim torsem i plecami okryty
peleryną ze złotogłowiu, doznał nagłego poczucia desynchronizacji.

Galeria Jiz Rumoku mieściła się za szafirowo-błękitnym wodospadem, opadającym kaskadą z połow
wysokości kopuły do basenu mgieł, skąd rozlewał się po całej powierzchni pokładu. D'mahl ruszył
bród, prawie pewien, że się zamoczy. Na szczęście okazało się, że wodospad jest hologramem – ale z J
wszystko było możliwe.

– Powitajcie nas, wy, którzy idziecie na śmierć – powiedziała Jiz. Leżała w błękitno-różowej pufo-ku
naga, z wyjątkiem olśniewających zórz szerokiego widma światła, które skromnie przesłaniały jej pier
i biodra. Mniej więcej pośrodku galerii, będącej teraz kolistą areną otoczoną drżącym ekranem zages
czonego powietrza, stale rozsiewającym zmiany spektralne, szybowała leniwie po torze elipsy różow
pufo-kula. Za strop służył hologram kłębów pomarańczowego ognia, za podłogę zaś lustro jakiejś mię
kiej substancji.

– Lepiej po ogniu niż po lodzie – rzekł D'mahl. – To moje motto.

Przeczuli się wzajemnie: D'mahl, leżąc w pufo-kuli doznał elektryzującej jasności, kiedy ciało je
przemierzyło galerię i ucałowało usta Jiz.

– Próżniossanie niezupełnie odpowiada mojemu pojęciu ognia, Jofe – odezwała się Jiz, kiedy równ
cześnie wyłączyli kontakt.

– A to tutaj, odpowiada? – zakreślił łuk ręką.

Po pozornie przypadkowych trajektoriach, na terenie całej galerii, dryfowały dziesiątki tafli o rozmi
rach od kilku centymetrów do dobrych trzech metrów kwadratowych. Były tam rozmaite obiekty
efekty energetyczne: od modelowanej statycznie biżuterii z pyłu drogich kamieni, po pudła olśniewacz
peleryny z mgły, przyssawki, holo-szyby, przeważnie abstrakcyjne, oraz kilka ogromnych i zaskakuj
cych rzeźb w płomieniu. Gabloty wykonane były z przezroczystego plexi, a tylko nieliczne z pomies
czonych w nich „obiektów" stworzono z czystej materii.

– Mam czucie, że materia przejadła się ludziom na jakiś czas – oświadczyła Jiz wstając z pufo-kuli. – w końcu zastygła energia, nic więcej. Nadchodząca nova to flux – surowiec ekranowy z energo-aterii. Oddaje ducha pochodni, nie sądzisz? Energia, protony, elektrony, neutrony i pył pierwiastków ężkich z medium międzygwiezdnego, przekształcony w co nam się żywnie spodoba. Tematem tej spozycji jest stan transmutacji.

– Ja tam lubię mieć w pobliżu przynajmniej parę rzeczy o twardej powierzchni – odparł z niejakim wątpiewaniem D'mahl.

– Zobaczysz, nie minie standardowy miesiąc, a i w twoim mieszkaniu zapanuje flux. Zsynchronizu-z się.

– Jeszcze czego, ty specjalistko od jutrzejszych przebojów – żachnął się przekornie D'mahl, całując ją same usta. – Wszyscy polecą na transmutację, a ja polecę w zimną, twardą próżnię, gdzie energia i ateria dobrze znają swoje miejsca i bezwzględnie się ich trzymają.

iz nachmurzyła się, dotknęła jego policzka.

– Naprawdę to zrobisz, tak? – zapytała. – Miesiące zamknięcia na jakimś paskudnym statku zwiadow-ym, bez kontaktów, bez kochania, bez najmniejszej zmiany...

– Może przynajmniej nie bez kochania – wtrącił beztrosko D'mahl, myśląc o Sidi. Widział jednak, że naprawdę się przejmuje. – O co chodzi, Jiz?

– Co ty tak naprawdę wiesz o próżniojadach?

– A co tu wiedzieć? Obsługują statki zwiadowcze. Poszukują planet nadających się do zasiedlenia. owadzą wyjątkowo nieciekawy tryb życia.

– Kontaktowałeś na ich temat?

– Nie. Zbieram, oczywiście, senso-zapis, ale, ponieważ za główny punkt widzenia będę miał same-siebie, nie chcę mieć żadnych sensorycznych uprzedzeń.

– Bo ja skontaktowałem podstawowe dane o sensohistorii próżniojadów, Jofe. W bankach nic poza nie ma. Nie daje ci to do myślenia?

– A powinno?

– Skontaktuj, Jofe.

– Mówiłem ci przecież...

– Wiem, wiem, żadnych uprzedzeń sensorycznych. Niemniej proszę cię, skontaktuj. Sama to zrobi- i uważam, że ty też powinieneś.

ej oczy były bezwzględne, nieruchome, a usta stwardniały w ideogram determinacji. Kiedy Jiz przy-rała ten wyraz twarzy, D'mahl uznawał na ogół za roztropne podążyć za jej wektorem, choćby tylko względu na oszczędność energii.

– Zgoda – powiedział. – Dla ciebie zbrukam swą dziewiczą świadomość obmierzłymi faktami. Próż-ady, historia ogólna – zadysponował.

nalazł się pod kopułą obserwacyjną, patrząc jak statek zwiadowczy zmierza ku błonie wodorowej. adowca był, z grubsza rzecz ujmując, cylindrem o rozmiarach statku-pochodni z jednym niedużym adem toroidalnym pośrodku konstrukcji i kopułą mostka w okolicy miejsca poboru energii.

– Rok Karawany 301 – obwieścił beznamiętny głos. – Karawana wystrzeliwuje pierwszy statek zwia-czy. Obsadzony załogą pięciu ochotników, statek napędzany jest pełnowymiarową pochodnią jąd-ą, jakkolwiek masa jego stanowi zaledwie jedną dziesiątą masy konwencjonalnego statku-pochodni. ki wykorzystaniu siły bezwładności Karawany, osiągać może prędkość końcową w okolicach 0,87 atła.

mahl jako zewnętrzny obserwator z odległej przestrzeni patrzył jak gnany pochodnią statek zwia-czy prześciga Karawanę. Za nim drugi statek, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, wreszcie tak wiele, że nal przestał nadążać z liczeniem. Przebiły się pochodniami przez błonę wodorową z dala od czoła wany, obierając kursy pod różnymi kątami, od dziesięciu do trzydziestu stopni, w formacji stożka. inek przestrzeni zamknięty wewnątrz stożka rozjarzył się zielenią, a głos powiedział:

W roku 402 liczba statków wynosiła czterdzieści siedem, uregulowano też statycznie ciągły system ukiwań. Pracując w zasięgu pełnego roku świetlnego od Karawany i prowadząc dalekosiężne obse-cje systemów słonecznych z rozbudowanego stożka pola widzenia, system statków zwiadowczych

– Więc zrobisz to, D'mahl? – spytał cicho Bandoora.

– Co takiego?

– Powiesz im po swojemu – rzekła Areth. – Zdejmiesz z nas brzemię prawdy.

– Co?

– Wyczuwając „Wędrujących Holendrów" zrozumiałem, że ty się nadajesz – powiedział Bandoora Przeczułeś granice prawdy. Wydawało się, że patrzysz na próżnię, a widzisz poza nią. Ty, D'mahl, zna swoich ludzi – my ich nie znamy. Sam to przed chwilą stwierdziłeś. Powiedz mi. Zrób senso, które powie.

– Ta.... ta cała wycieczka... to był wybieg, żeby mnie tu ściągnąć... żebyście mogli na mnie zrzucić sw bagaż gówna!

– Obiecałem ci okazję do zrobienia największego senso w twojej karierze – powiedział Bandoora Czujesz się oszukany?

D'mahl opadł na fotel.

– Ale nie powiedziałeś, że będę zmuszony odnieść sukces.

★

Statek schodził ogonem na długi, płytki łuk nad błoną wodorową, ciągle tracąc szybkość. Przeszedłsz na częstotliwość wizyjną „Beli-37", Jofe D'mahl ujrzał jak w momencie przechodzenia statku prze jutrzniową falę, statki Karawany pojawiły się nagle w całej swej okazałości, jak gdyby błona wodorow była tęczową kurtyną, która unosząc się odsłoniła wielki balet ruchu i świateł.

W czerni wisiały tysiące lśniących cylindrów o powierzchniach kunsztownie przystrojonych wiel barwnymi światłami. Przestrzeń pomiędzy nimi skrzyła się od wydzielin szalup statek-statek i mgieł subtelnych refleksów, rozsiewanych przez tysiące ruchomych pęcherzy próżniowych. Wąski purpur wy ślad przejścia Karawany przecinał wiecznie nieruchomą nicość eteryczną bruzdą dowodu na to, ż ruch istnieje.

Karawana wydawała się jeszcze większa i piękniejsza niż ją uczyniła pamięć D'mahla podczas dł giej, ponurej podróży powrotnej. Jej światła zwalczały wieczną ciemność, jej złożoność podważała nie skończoną jednorodność próżni; tańczyła w kręgu światła własnej glorii. Była żywa. Była piękna. By domem.

Bandoora dobrze wyliczył: z chwilą gdy „Bela-37" przeszła na wysokość zaplecza Karawany, jej pręd kość względna spadła do zera i statek zawisł w przestrzeni o jakieś dwadzieścia kilometrów poza wier cem statków Karawany. Bandoora wykonał manewr obrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął obniża statek ku Karawanie, na miejsce parkowania tuż za błoną wodorową. D'mahl wyłączył się z częstotli wości wizyjnej statku zwiadowczego i spoczął na grawipłycie w swojej kabinie, po raz ostatni dług wpatrując się w gwiezdne pole hologramu na ścianie.

Potem, jak kochanek sięgający po hołubione w pamięci ciało po długiej rozłące, jak człowiek wstając z długiej śpiączki w światło dnia, skontaktował Jiz Rumoku.

Siedział przy nieskazitelnym szklanym stoliku, sącząc z czajniczka lodowaty niebieski napój, którym popijał gąbczasty lawendowy olśniewacz. Po przeciwnej stronie stolika, Varn Kamenev nalewał sobie dzbana kolejną porcję napoju: dzbanek należał do tego samego serwisu. Stolik stał na kręgu przezro czystego plexi, który jak dziesiątki podobnych kręgów dryfował w otoczeniu, które przypominał dżungle winorośli, bez stropu i bez dna. D'mahl nie rozpoznał restauracji, ale nie zadał sobie trud sięgnięcia po informacje do banku.

– Bohater wraca do domu – rzekł krtanią i ustami Jiz, czując jak jej ciało rozgrzewa się od jego obec ności.

– Jofe, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Wyczuję cię...

– Poczekaj na ciało, Jiz – powiedział. – Będę u ciebie w galerii najdalej za dwie godziny. Chciałem żebyś się pierwsza dowiedziała, a teraz muszę się w przyspieszonym tempie wczuć w realia, bo skonam z pragnienia.

– Ale jak było...

– Daleko, daleko, daleko, daleko – odpowiedział, czując nagły przepływ radości na myśl, że jest z

– Potwierdzają – co? – zapytał D'mahl, niby od niechcenia, ale drżenie głosu nie pozwoliło mu ukryć paskudnego posmaku, który wzbierał w świadomości od próżni wewnętrznej.

– Mamy aparaturę o wiele doskonalszą niż się do tego przed wami przyznajemy – powiedział Bandoora. – I mamy ją od dłuższego czasu. Zgrawisondowaliśmy dziesiątki tysięcy, a nie tysiące, gwiazd. Znaleźliśmy nie setki, lecz tysiące planet. I nie parędziesiąt, ale pareset planet o parametrach Ziemi, orbitujących w strefach potencjalnie mieszkalnych. My was okłamujemy, D'mahl. Okłamujemy was od wieków.

– Dlaczego? – szepnął D'mahl, chociaż znał odpowiedź, czuł, jak krzyczy do niego z hologramu za głową Bandoory, z mglistych oczu próżniojada, z próżni otaczającej statek.

– Wiesz dlaczego – odparł szorstko Doru. – Dlatego że poza martwą skałą i gazem nie ma nic. Ponad siedemset, D'mahl.

– Według wszelkich parametrów znanych naszym naukowcom, te siedemset planet powinno kipieć życiem – odezwała się Areth Lorenzi. – Przez stulecia mieliśmy nadzieję, że następna, albo ta po niej, zaprzeczy jedynemu narzucającemu się wnioskowi. Lecz na żadnej nie znaleźliśmy nawet mikroba. Nie mamy już nadziei.

– Miejscami trafiają się nawet cząsteczki białkowe – bąknął Nyborg. – Mniej więcej na co osiemdziesiątej.

– Ale przecież za pomocą sondy nie sposób...

– Sondy! – fuknął pogardliwie Doru. – Sondy to jeszcze jedna iluzja dla waszej, ludzi, ochrony! Dysponujemy mikrospektrografami, zdolnymi stwierdzić obecność cząstki DNA na odległość dziesięciu lat świetlnych, i to dysponujemy nimi od paru dobrych stuleci.

– Już w tej chwili wiemy, że 997-Beata-II jest martwa – włączyła się Sidi. – Wiedzieliśmy to jeszcze przed złożeniem sprawozdania Radzie Pilotów. Ta cała misja, jak i setki poprzednich, to czczy gest.

– Ale dlaczego nas w ten sposób okłamujecie? – wrzasnął D'mahl. – Jakim prawem? Jak...

– A co mieliśmy wam mówić? – odpowiedział wrzaskiem Bandoora. – Że wszystko jest martwe? – Że życie na Ziemi było unikalnym przypadkiem? Że nie istnieje nic poza pustką, materią nieożywioną i mordercami jedynego życia, jakie kiedykolwiek powstało? Co mamy wam mówić, D'mahl? Co mamy robić?

– Od przeszło dwóch stuleci żyjemy w przykonaniu, że nasze misje są beznadziejne – powiedziała cicho Areth. – Od przeszło dwóch stuleci prowadzimy Karawanę od jednej złudnej nadziei do drugiej, wiedząc, że każda będzie złudną. Nie osądzaj nas zbyt surowo. Cóż innego mogliśmy robić?

– Mogliście nam powiedzieć – wymamrotał D'mahl. – Powiedzieć prawdę.

– Mogliśmy? – powtórzyła Areth. – Czy mogliśmy powiedzieć ją tobie, zanim sam zmierzyłeś się z próżnią?

Wściekłość i rozpacz wiodły obłędny pościg w mandali in-jang u samego rdzenia Jofe D'mahla. Wściekłość na bezczelność tych ogranicznych podludzi, którzy ośmielali się traktować całą cywilizowaną ludzkość jak opóźnione w rozwoju dzieci, którym nie wolno mówić prawdy. Rozpacz wobec przerażającej wymowy owej prawdy. Wściekłość na myśl, że może próżniojady ukrywają rzeczywisty powód swojego milczenia, że utrzymują Karawanę w niewiedzy jedynie po to, by nie ryzykować przerwania programu zwiadowczego, a wraz z nimi i okazji do jedynego przeżycia nadającego znaczenie ich kalekiemu życiu. Rozpacz na zdradziecką myśl, że być może próżniojady mają rację, że Karawana runęłaby od prawdy jak przeżarte promieniowaniem plexi. Wściekłość na siebie, że w ogóle przyszło mu do głowy solidaryzować się z próżniojadami, że zasiadł w tym oburzającym konsylium.

– Wy otumanione bzdety, wy kaleki! – wyrzucił z siebie nareszcie. – Jak śmiecie tak nas osądzać? Za kogo wy się macie – za bogów Olimpu? Pozamykaliście swoje życie w ciasne kanały, podcinaliście się od światów wewnętrznych – a teraz ośmielacie się decydować o tym, co my możemy znieść, a co nie?

Drżał na całym ciele, naprężone jak stal mięśnie bliskie były zakleszczenia, a w arteriach kotłował się ogień adrenalinowy. D'mahl z całej siły wciskał dłonie w krawędź stołu.

Grupa próżniojadów siedziała spokojnie, patrząc na niego w milczeniu, a tym, co dostrzegł w ich oczach, była ulga, nie zaś gniew, czy reakcja na jego gniew.

zmaksymalizował liczbę obserwacji planet potencjalnie nadających się do zasiedlania na określoną j nostkę czasu.

Teraz D'mahl siedział na mostku statku zwiadowczego, wyglądając w przestrzeń przez ekran pl Obok niego przy konsoletach z aparaturą krzątali się dwaj mężczyźni i kobieta, w niebieskich stroja próżniojadów.

– W roku 508 wprowadzono kolejną innowację. – Przed statek zwiadowczy lekko wyskoczył trzm lowaty pocisk, sam statek zaś począł zawracać z kursu. – Statki zwiadowcze wysyłają sondy na plan potencjalnie nadające się do zasiedlenia, same zaś powracają do Karawany.

D'mahl, jako punkt widzenia w przestrzeni, oglądał stylizowaną dioramę Karawany, statku zwiado czego, sondy i systemu słonecznego. Statek zwiadowczy pruł pochodnią w stronę Karawany, sonda z orbitowała wokół planety, wysyłając ku Karawanie czerwoną falę czołową informacji. Statek zwiado czy dotarł do Karawany, która następnie zmieniła swój wektor w kierunku systemu słonecznego son Następnie zwiadowca znów opuścił Karawanę, aby monitować nadawaną z sondy falę informacyjn

– Dzięki odwracaniu kursu Karawany na obserwowany system, a następnie powrotowi do moni wania fali nadchodzącej z sondy, nasz w pełni zewoluowany system zwiadu planetarnego maksyma zuje obecnie liczbę systemów słonecznych badanych w określonej jednostce czasu, minimalizując zar zem czas zdawania raportu z każdego badanego systemu słonecznego o wysokich parametrach pra dopodobieństwa.

Na pokładzie statku zwiadowczego D'mahl grał w zero-grawitacyjnego tenisa z pociągającą kobiet próżniojadem. Był prostym kwatermistrzem, dziurkującym zamówienia na posiłki. Leżał na grawip cie nastawionej na około 25 g w małej, jednoosobowej kajucie sypialnej. Jako kobieta-próżniojad koch się w stanie zero-grawitacji z wysokim, silnym mężczyzną.

– Pomieszczenia dla załogi, jakkolwiek wygodne i zapewniające odpowiednie warunki dla utrzym nia zdrowia fizycznego i psychicznego, stanowią dla członków załogi pewną niedogodność z uwagi ograniczenie przestrzeni – ciągnął beznamiętny głos.– Banki czucia są znacznie ograniczone, a dostęp centralnych banków Karawany – niemożliwy. Załogi zwiadowcze muszą się zadowolić prostymi ciele nymi rozrywkami. Wszyscy obywatele Karawany mają dług wdzięczności wobec tych ofiarnych och ników.

Jofe D'mahl spojrzał w oczy Jiz Rumoku. Wzruszył ramionami.

– No i? – zapytał. – Wszystko to już wiedziałem.

– Właśnie nic, Jofe, kompletnie nic! Próżniojady przebywają tam cieleśnie od ponad połowy tysiącl cia, prawie całe życie spędzają w odłączeniu czuciowym od Karawany, od wszystkiego, co sprawia, jedyna żyjąca cywilizacja ludzka jest tym, czym jest. Jaki jest ich wektor karmiczny? Co mają pod cz szką? Dlaczego, przede wszystkim, nazywa się ich próżniojadami? Dlaczego w bankach nie ma nic po tą ogólną taśmą historyczną?

– Najprawdopodobniej dlatego, że nikt się tam z nimi nigdy nie wybrał, żeby zrobić prawdziwe sens – odparł D'mahl. – A z pewnością nie są to osobniki zdolne do samodzielnego wyprodukowania takieg senso. Dlatego właśnie ja się tam wybieram, Jiz. Uważam, że Bandoora miał rację: należy stworzyć poz senso próżniojadów, i kto wie, czy to nie jest jedyny dziewiczy temat, jaki nam pozostał.

Napięcie znikło częściowo z twarzy Jiz.

– Ego, naturalnie, nie ma tu nic do rzeczy – odezwała się.

– Ego, naturalnie, ma tu wszystko do rzeczy – skorygował D'mahl.

Przyłożyła rękę do jego policzka.

– Bądź ostrożny, Jofe – powiedziała cicho.

Wzruszony D'mahl nakrył jej dłoń swoją dłonią i pocałował ją delikatnie w usta, czując się ni stąd, zowąd jak jakiś przykuty do Ziemi prymityw.

– A czego tu się bać? – odpowiedział z równą czułością.

– Nie wiem, Jofe. I nie wiem, jak się tego dowiedzieć. To mnie właśnie przeraża.

★

Unoszony przez szalupę na „Belę-37", Jofe D'mahl doświadczał narastającego bezwektorowego ocze kiwania. Srebrzysty cylinder „Beli-37" połyskiwał na jutrzniowym tle błony wodorowej, wisząc na

Jofem jak miecz Damoklesa. Pod nim, statki Karawany oddalały się, tworząc najpierw wypełniający horyzont pejzaż świateł i błysków, następnie zaś dysk ludzkiego ciepła odcinający się ostrym konturem od zimnej czerni nocy. Pomyślał, że obywatele Karawany rzadko zapuszczają się aż tak wysoko, na parking statków zwiadowczych, w pobliże błony oddzielającej Karawanę od próżni prawdziwej. Nietrudno było odgadnąć powód.

– Kawał drogi, co? – mruknął pod nosem.

Pilot szalupy kiwnął głową.

– Mało kto bywa tu na górze – powiedział. – Przeważnie tylko próżniojady i załogi remontowe. Ja od czasu do czasu wybieram się tutaj sam, żeby poczuć ciśnienie próżni spoza błony i spojrzeć w dół na to wszystko jak bóg z Olimpu – zaśmiał się oschle. – Może przewiozłem o jednego próżniojada za dużo...

D'mahl wzdrygnął się nie wiedzieć czemu i poczuł dziką tęsknotę za komunią kontaktów czuciowych, za oszałamiającym bogactwem czasu, przestrzeni, ciał i realiów, od których miał się lada chwila odizolować po raz pierwszy w życiu. Czucie to nasze życiodajne źródło, pomyślał. Któż to wie lepiej ode mnie?

– Jiz Rumoku – zadysponował, i znalazł się w jej ciele, stojącym w galerii obok rzeźby w płomieniu w towarzystwie zwalistego czarnego mężczyzny w surowym w swej prostocie garniturze z zielonego welwetu.

– Cześć, Jiz – powiedział jej strunami głosowymi. – Cześć i do widzenia.

Wycofał swoje czucie z jej ciała, a ona podążyła w niego, wysoko ponad Karawanę.

– Cześć, Jofe. To naprawdę strasznie wysoko. – Ucałowała jego rękę jego ustami. – Uważaj na siebie – odezwał się jego głos. Potem Jiz przerwała kontakt i D'mahl został sam we własnym ciele. Szalupa zaczęła wytracać prędkość i zahamowała przy głównym pokładzie toroidalnym „Beli-37".

– Jesteśmy – oznajmił pilot szalupy. – Niech pan wchodzi przez główną zasłonę drgań.

D'mahl zasalutował mu ironicznie, napompował pęcherz próżniowy, złapał bagaż i senso-rejestrator, a następnie przeskoczył kilka metrów przestrzeni na główny podest wejściowy „Beli-37".

Przeszedłszy przez zasłonę drgań, znalazł się ku swemu zdumieniu w ciasnym, komórkowatym pomieszczeniu, w którym nie było widać tunelu spustowego. Okrągłe drzwi w przeciwległej ściance działowej rozwarły się nagle i do pomieszczenia wszedł wysoki, blady próżniojad.

– Nazywam się Ban Nyborg, panie D'mahl – oświadczył. Zaśmiał się, raczej niewesoło. – To jest śluza powietrzna – wyjaśnił. – Urządzenie zabezpieczające.

D'mahl automatycznie wyczuł definicję nowego określenia: dwudrzwiowa komora umożliwiająca wyjście i wejście na statek, osłonięta błoną drgań.

– Zabawne – orzekł, przechodząc za Nyborgiem przez otwarte drzwi.

– Nawet po utracie napędu i błony drgań, w ten sposób zatrzymujemy powietrze wewnątrz statku – wyjaśnił Nyborg, wiodąc D'mahla obskurnym, pastelowo-niebieskim korytarzem. – Pasaż radialny – objaśnił. – Prowadzi do korytarza okrążającego trzon pochodni. Takich promieni jest jeszcze pięć, tunel na mostek i z powrotem – i to już cały statek.

Dotarli do wymalowanego na spłowiały błękit i żółć korytarza okalającego trzon pochodni, przeszli nim 60 stopni, mijając konsolety z aparaturą i pomarańczowy korytarz radialny, a potem jeszcze 60 stopni i zielonym pasażem radialnym do niemalowanych materialnych drzwi.

Nyborg otworzył drzwi i D'mahl wkroczył do ponurej klitki. Znalazł w niej grawi-płytę, niebieski fotel pneumatyczny, wysoką symul-orzechową komodę, wyleniały czerwony dywan, a za otwartymi drzwiami – urządzenia sanitarne. Sufit był ciemnoszary, a trzy ściany szaro-beżowe. Czwartą ścianą był hologram czeluści międzygwiezdnej: punkciki gwiazd i ziejąca czerń – właśnie na wprost tej ściany umieszczono grawi-płytę.

– Kabina Bandoory – wyjaśnił Nyborg. – Dzieli ją z Sidi.

– Bomba – wycedził D'mahl. – Jestem głęboko wzruszony.

– Statek posiada trzy częstotliwości czuciowe: biblioteka, porozumiewanie się członków załogi, zewnętrzna wzrokowa. Mostek jest chwilowo wyłączony. Możesz odbierać nasz odlot na zewnętrznej.

Nyborg odwrócił się, bezceremonialnie wymaszerował z celi i zamknął za sobą drzwi.

D'mahl zadrżał. Zdawało mu się, że ściany i sufit zamykają się wokół niego, jakby go chciały wtłoczyć

drobinami materii. Człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha chaotyc nych i nie mieszczących się w granicach prawdopodobieństwa zdarzeń tych nie znaczących zanieczys czeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończ nym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje.

D'mahl unosił się w czeluści niebytu, trwając poza czasem, i próżnia poczęła sięgać w głąb jego is nienia czułkami swego nie-ja, sięgać po samo sedno i rdzeń, aż znalazła odbicie w próżni wewnętr nej.

Jofe D'mahl doświadczył samego siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unosząc się w bezczasowo i bezforemnie rozległym niebycie. Był błoną grubości pojedynczego atomu międ próżnią na zewnątrz a próżnią wewnątrz. Ba anomalią w całej tej nicości, przypadkowym trickowy zawęźleniem, w którym zdwojona nicość wytworzyła *coś* – świadomość, byt, życie. Był niczym, i b wszystkim, co jest. Był błoną. Nie było go. Był wszystkim. W bezczasowym trwaniu Jofe D'mahl istni nadal jako bańka świadomości w oceanie niebytu, przypadkowy skrawek materii przekomplikowany stan, który sam miał przyjemność nazywać życiem; jako ognisko uczucia w nicości, która nie znała a uczucia, ani wiedzy o sobie. Był poza lękiem, poza dumą, poza upokorzeniem, w rzeczywistości, gdz pojęcia te nie miały znaczenia, samo znaczenie też nie miało znaczenia.

Spróbował wyobrazić sobie inne banieczki świadomości szybujące w wiecznotrwałej próżni – r „Belli-37", na statkach Karawany, na nieznanych planetach okrążających abstrakcyjne punkciki świet ne zanieczyszczające sterylną doskonałość czeluści. Lecz tu, w prawdziwej próżni, w tej bezkresn matrycy niebytu, myśl, że świadomość, a nawet samo życie, jest czymś więcej niż nieprawdopodobny produktem unikalnego i kruchego łańcucha przypadkowych interakcji zachodzących pomiędzy skrav kami przekomplikowanej nicości zwanej materią, wydawała się beznadziejnie jałowa i żałośnie antr pocentryczna. Jeden z możliwych łańcuchów nieprawdopodobnych zdarzeń prowadził do życia, wszystkie inne wiodły z powrotem do nicości. Jeden mylny krok nie istniejącego losu – i niemożliw czary prysną.

Cudem było nie to, że życie powstało w tak nieznacznej ilości, lecz to, że w ogóle powstało.

D'mahl unosił się w czerni czeluści, w morzu bezczasowego niebytu, uczepiony koła ratunkoweg jedynej niepodważalnej prawdy: „Ja jestem" – myślał. Ja istnieję, a każda moja myśl, każda rzeczywi tość powstała w moim umyśle, istnieje także. Może tak wygląda rzeczywistość prymarna, ale i tak coko wiek jest, jest naprawdę.

Zimno, spokojnie, niemal pogodnie, czekał Jofe D'mahl w milczącej, nieruchomej ciemności, n sygnał odwoławczy z „Beli-37", sygnał do powrotu w niebyt próżni, w kruchą złożoność światów czło wieka.

Wszyscy oczekiwali go na podeście, ubrani w pęcherze próżniowe. W milczeniu wprowadzili go d wnętrza statku, a oczy ich mówiły o nowej więzi, jaka ich wszystkich złączyła. Z niezwykłą ceremonia nością towarzyszyli mu do kabiny dowódcy statku. Bandoora usadził go przy krótszym boku prostoką nego stołu, sam zaś usiadł naprzeciwko, oddzielony od D'mahla o całą długość stołu. Reszta usadowił się po obu dłuższych bokach. Byłoby nie do ustalenia, kto siedzi u czoła, a kto u stóp stołu, gdyby ni kolejny kosmiczny hologram, tworzący ścianę za plecami Bandoory. Był to widok na galaktykę z odda lenia pustki międzygalaktycznej, który otaczał głową Bandoory aureolą pyłu gwiezdnego i czerni.

– Teraz, skoro zmierzyłeś się już z próżnią, Jofe D'mahl – rzekł uroczyście Bandoora – możesz dzielić nami prawdę.

W rzeczywistość tak niedawnego dla D'mahla doznania na pierwszym froncie świadomości, począł się sączyć irytacja. Wszystko zakrawało na jakąś żałosną ceremonię. Czyżby oni zamierzali potraktowa jego przeżycie jako inicjację do jakiejś pożałowania godnej religii? Z inkantacjami, sekretami plemien nymi i Bandoorą w roli arcykapłana?

– Mów, co masz do powiedzenia, Bandoora – poprosił. Ale oszczędź mi formalności.

– Jak sobie życzysz – odparł Bandoora. Jego wzrok nabrał surowości, zdawał się chłonąć czarne bły skawice próżni z holoprzestrzeni za plecami. – Cokolwiek zaszło między tobą a próżnią, zostanie międz tobą a próżnią – rzekł. – Ale poczułeś. A nasze badania potwierdzają to już od ponad pięciuset lat.

oczu od bezkresnej czerni morza, w które za chwilę miał znurkować. Miliony punkcików gwiazd pulsowały i migotały w ciemności, jak igły przeszywając siatkówki jego oczu. Z czeluści pulsował ku niemu bezgłośny ryk, wycie samej wiecznej ciszy. Jego ciało zdawało się kończyć w okolicy kolan. Próżnia okazała się namacalną substancją, wyciągającą się teraz, aby go zamknąć w zimnym oceanicznym uścisku. Wiedział, że musi się jej oddać właśnie teraz, bo za chwilę drżący i zlany potem zrejteruje w azyl pschiczny „Beli-37".

– Do zobaczenia o godzinie 2.000 – nadał z pozorną nonszalancją, aktywując polaryzator grawitacji. Potem ugiął kolana i odbił się stopami od wąskiego metalowego występu w bezmiar nieznanego.

Sam skok w czeluść uwolnił go jakby od najgorszego lęku, poczuł, że fizycznie wyskakuje z własnego strachu i przez moment było mu tak, jak czasami podczas przeskoku z jednego statku Karawany na drugi, kiedy na chwilę tracił wszystko z oczu. Potem się obejrzał.

„Bela-37" była teraz małym metalowym cylindrem oddalającym się z wolna w gwiaździstą ciemność. Pięć mikroskopijnych figurek na podeście u wejścia drżało przez chwilę na granicy widzialności, po czym wtopiło się w bezkształt statku. Nie istniało już nic, co miałoby choćby pozory realności, D'mahl zadrżał i odwrócił głowę. Dziwne, ale widok czystej próżni był mniej przerażający niż widok ostatniej rzeczy, która go łączyła z tym, co człowiecze, znikającej z pola widzenia w głębiny nicości.

Przez dłuższy czas nie oglądał się za siebie. Kiedy to wreszcie uczynił, jego wszechświat nie miał już ani tyłu, ani przodu, ani stron, ani góry, ani dołu. Wszystko wokół było nieskończoną czarną dziurą usianą pyłem nic nie znaczących gwiazd, a jedynym kierunkiem wydawał się być kierunek w dół. Umysł D'mahla stanął dęba, przekoziołkował i odrzucił te niemożliwe dane sensoryczne.

★

Czas nie upływał, ale istniała ciągłość. D'mahl unosił się w próżni i czekał. Przyszło pragnienie, nasycił je, czekał dalej. Przyszedł głód, zaspokoił go szczyptą pożywienia, czekał dalej. Uświadomił sobie bicie własnego serca, pulsowanie krwi w żyłach, czekał dalej. Kinestatyczna świadomość funkcji cielesnych osłabła. Czekał dalej.

Nic się nie poruszało. Nic nie żyło. Nic się nie zmieniało. Cisza nie miała granic. Stopniowo, pomału i z nieskończoną subtelnością, percepcja D'mahla poczęła znów ulegać zmianie. Kojąca iluzja bezpiecznego zamknięcia w przezroczystej osłonie zawieszonej w skończonej rzeczywistości ograniczonej malowaną w gwiazdy kurtyną, zaczęła ustępować pod nieznośnym ciśnieniem czasu, który nie zna upływu, i wymuszonej kontemplacji. Kryształowo czysta substancja przestrzeni stopniała w nicość, z której przedtem wywabił ją swoją myślą, i w tej samej chwili gwiazdy przestały być punkcikami farby na odległych ścianach, a stały się drobinami świetlistej materii, odległymi o całą wieczność, o przepastne jary nicości absolutnej. Wszechogarniająca czerń nie była już malowaną ścianą kieszonkowej rzeczywistości, lecz totalną nieobecnością wszystkiego – światła, ciepła, dźwięku, ruchu, barwy, życia – rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie.

To była próżnia, a on był w niej.

★

D'mahl stwierdził ze zdziwieniem, że umysł jego jest w stanie ogarnąć tę bezlitośnie prawdziwą percepcję rzeczywistości – jakkolwiek groźną, jakkolwiek przerażającą – bez tarczy iluzji. Bezczasowe trwanie obdarło go ze zdolności podtrzymywania iluzji, a mając do wyboru rozdygotany lęk i chłodną, zdystansowaną akceptację jednej rzeczywistości, wobec której stał, umysł jego wybrał to drugie.

– Był, i był w próżni. To była jego rzeczywistość. Poruszał się, a wszystko wokół trwało w bezruchu. To był fakt. Słyszał własny oddech, a wszystko inne było ciszą. To była prawda, przed którą nie sposób uciec. Kształt własnego ciała odbierał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na zewnątrz, a wszystko inne było na zawsze pozbawione formy, w przestrzeni i w czasie. To była próżnia. To był wszechświat. To była prymarna rzeczywistość. Rzeczywistość, od której ludzie uciekali – w religię, w sny, w sztukę, w poezję, w filozofię, w metafizykę, w literaturę, w film, w muzykę, w wojnę, w miłość, w nienawiść, w paranoję, w senso i w kontakt sensoryczny. W nieskończoną liczbę rzeczywistości mieszczących się wewnątrz człowieka.

Poza rzeczywistościami umysłu, istniała tylko nicość bez formy i końca, szczątkowo zanieczyszczona

w rzeczywistość hologramu. Stwierdził, że wpatruje się intensywnie w pole gwiezdne, wyciągające się ku niemu, jakby go chciało w siebie wessać.

Zamrugał gwałtownie, świadom niezwykłości tego doznania, co skierowało jego uwagę z hologramu na senso-rejestrator. Trzeba to zarejestrować. Włączył senso-rejestrator, wrzucił do środka krążek na sto godzin mikrotaśmy, dostroił urządzenie do własnego układu zmysłowego. Lecz pierwszy moment oszołomienia już minął: teraz znajdował się po prostu w nieznośnie nijakim pokoiku z olbrzymim hologramem pola gwiezdnego na jednej ścianie.

D'mahl nastawił grawi-płytę na jedną dziesiątą g, tyle tylko, żeby utrzymać się w miejscu, i legł na materacu. Stwierdził, że znów wpatruje się w hologram pola gwiezdnego, tym razem z pozycji leżącej. Może Bandoorze sprawiało przyjemność, kiedy ten widok wsysał go w siebie?

Bandoora włączył się w niego, tylko na audio:

– Witaj na „Beli-37", D'mahl. Za chwilę przebijemy błonę. Jeśli chcesz, możesz to zakodować.

– Dzięki – nadał w odpowiedzi D'mahl na częstotliwości wewnątrzzałogowej. – Wolałbym jednak zarejestrować to cieleśnie z mostka.

– Przykro mi, ale mostek jest teraz poza twoim terenem – powiedział Bandoora i zerwał kontakt.

– Bomba! – parsknął D'mahl do pustego pokoju i z irytacją włączył się na zewnętrzną częstotliwość wizyjną statku.

Był bezcielesnym punktem widzenia podróżującym poprzez głuchą, pozbawioną tarcia, czerń przestrzeni. Czuł się jak w pęcherzu próżniowym, a zarazem i nie jak w pęcherzu, gdyż odcięty był teraz od wszelkich doznań zewnętrznych i wewnętrznych oprócz wizji. Stwierdził, że może wybierać częstotliwości decydujące o kierunku wizji – coś w rodzaju możliwości obracania nie istniejącą głową. Pod nim, Karawana błyszczała jak klejnot nieskończenie subtelnego światła, kurczący się z wolna w aksamitnej czerni. Wszystkie inne wektory zdominowała błona wodorowa: tęczowej jasności niebo, które zdawało się go otaczać ze wszystkich stron.

Był to poruszający spektakl wzrokowy, a jednak brak subtelności pełnego odbioru zmysłowego czynił go zarazem tragicznym i napełniał D'mahla nieuchwytnym smutkiem. W miarę jak tęczowy poblask błony wodorowej zbliżał się coraz bardziej, smutek przeszedł na wektor nostalgii związanej z rychłą utratą kontaktu z bankami Karawany. Energie błony zablokują banki na długo przed wystąpieniem różnicy czasu i osłabieniem bodźców. Miał ostatnią szansę pożegnać wieloraką rzeczywistość Karawany przed zesłaniem w nieznaną i niezmienną próżnię.

Wyłączył się z częstotliwości wizyjnej statku i błyskawicznie przeleciał przez całą mnogość częstotliwości Karawany, jak człowiek, który na łożu śmierci przegląda własną ścieżkę sensoryczną, zanim ją odeśle do banków pośmiertnych.

Stanął wśród kryształowych drzew własnego grand-salonu. Był Daltą Reed wiosłującym przez Krwawe Jezioro na „Lothorienie", i był Erną Ramblieu w trakcie uprawiania miłości z Johnem Beniną na jego balkonie wychodzącym na Korytarz Słońca, na pokładzie „Czarodziejskiej Góry". Z ciała spawacza pracującego na kadłubie obserwował budowę „Excelsiora", przejrzał też finałową sekwencję „Wędrujących Holendrów". Przerzucił następnie własną ścieżkę sensoryczną: pieszczoty z Jiz pięć lat temu, gdzieś na pokładzie rolnym, urywki z dziesięciu bankietów, tańce tańczone w dzieciństwie na płycie zero-grawitacyjnej, montaż „Wędrujących Holendrów" w studio montażowym – i nagle uzmysłowił sobie, że wraz ze światem wspomnień pozostawia za sobą i cały świat teraźniejszości. Na koniec przemknął przez ciało Jiz Rumoku, prowadzącej mężczyznę w zielonym welwetowym garniturze wzdłuż holoramy Baletu Odległego Spojrzenia, tańczącego „Jezioro Łabędzia" w zero-grawitacji, a potem już kontakt mu się urwał i leżał na grawi-płycie w „Beli-37", niezdolny go odnowić.

Włączył się na częstotliwość wizyjną statku i stwierdził, że wkracza oto w wypełniającą cały świat jasność błony wodorowej za jutrzniową kulą pola poboru paliwa pochodni „Beli-37". Mała tęcza dosięgła wielkiej i D'mahl w jednej chwili znalazł się w glorii pola „Beli-37", tworzącego wybrzuszenie w zjednoczonym polu świateł Karawany, wybrzuszenie, które obejmowało statek zwiadowczy i D'mahla, które na moment przeistoczyło się w zamkniętą kulę pełnego widma światła, po czym przebiło błonę wodorową z zawrotną szybkością, od której istnienie D'mahla w zapierającym dech wirze wystrzeliło w twardą czerń otwartej próżni.

D'mahl zadrżał, jęknął i zerwał kontakt. Przez moment pomyślał w panice, że uwiązł w pułapce cze-uści, gdyż wzrok jego zajął z powrotem miejsce w ciele, a przed nim był hologram próżni, wypełniający ałą ścianę.

★

Tuba wyciągu urwała się nagle i D'mahl poszybował z niej do góry, wprost na kolisty mostek „Beli-7". Mostek, osłonięty kopułą plexi, mieścił się w pobliżu czoła pochodni. Do wysokości pasa otaczał D'mahla pierścień konsolet i aparatów kontrolnych, poza tym mostek był jednak obnażony wobec próż-i międzygwiezdnej. Pole poboru mocy tworzyło z przodu statku miniaturową błonę wodorową; od trony rufy widać było Karawanę w postaci migotliwego krążka za kurtyną eterycznego płomienia, poza ym jednak w całym nieskończonym ogromie nic nie żyło i nic się nie poruszało.

– Czy w żaden sposób nie można się od tego uwolnić? – wymamrotał D'mahl, na wpół do siebie, na wpół do Harisa Bandoory, który obserwował jego wyjście z tuby wyciągu niesamowitym wzrokiem, z ronicznym, enigmatycznym uśmieszkiem.

– Wy przecież całe życie spędzacie na próbach ucieczki od tego – rzekł Bandoora. – My natomiast całe życie spędzamy na nurzaniu się w tym, gdyż wiemy, że tak naprawdę nie ma ucieczki. Próżnia rządzi naszym życiem.

– Mów za siebie, Bandoora – zgasił go D'mahl. – Zewnętrzność to tylko jedna z rzeczywistości. Tutaj – dotknął skroni palcem wskazującym – mieści się nieskończenie wiele innych rzeczywistości.

– Iluzja – odezwał się za nim kobiecy głos. D'mahl odwrócił się i ujrzał Sidi: stożkowate nagie piersi, naga posrebrzona czaszka, silnie umięśnione ciało, mglisty wzrok próżniojada – obraz zimnego, ab-strakcyjnego kobiecego piękna.

D'mahl uśmiechnął się do niej.

– Cokolwiek jest – powiedział – jest rzeczywistością.

– Tam, skąd przybywasz – odparła Sidi – nikt nie wie, co to rzeczywistość.

– Réalité c'est moi – wyrecytował D'mahl w starożytnej francuszczyźnie. Kiedy Sidi i Bandoora popa-rzyli na niego pytająco, bezskutecznie wyczuwając wyjaśnienia, niezdolni wyczuć wyjaśnienia – do-świadczył bolesnego przebłysku samotności. Jak dorosły wśród dzieci. Jak człowiek cywilizowany wśród dzikusów. A tam, na zewnątrz... tam...

Siłą odwrócił uwagę od tych myśli, siłą odwrócił wzrok od oblegającej go zewsząd próżni i podszedł do jednej z konsolet, gdzie na wysokim stołku siedziała szczupła kobieta, nastawiająca jakieś pomia-ry.

– To Areth Lorenzi – przedstawił Bandoora. – Ustawia częstotliwość radaru grawitującego najdalsze-go zasięgu. Nawet podczas tego typu ekspedycji prowadzimy automatyczne badania radarowe w pro-mieniu dwudziestu lat świetlnych dookoła świeżo przekształconych w planety gwiazd. Na taką odległość potrafimy wytropić ciało o masie Ziemi.

Kobieta odwróciła się, a D'mahl ujrzał postarzałą twarz. Dookoła oczu, w kącikach ust, a nawet trochę na policzkach, widniały zmarszczki i już samo to było niezwykłe, ale najwięcej mówiły o jej wieku głębokie, przepastne, bladobłękitne oczy, mieszczące w sobie całą mnogość tego, co widziały.

– Jak często wykrywacie takie ciała? – zapytał D'mahl tytułem konwersacji, tylko po to, żeby nie gapić się na nią zbyt natarczywie.

W krystalicznej głębinie jakby coś błysnęło. Kobieta błyskawicznie spojrzała ponad ramieniem D'mahla w stronę Bandoory.

– To... dość powszechne zjawisko – powiedziała i odwróciła się z powrotem do pracy.

– A to ostatni, Raj Doru – Bandoora z podejrzaną skwapliwością przedstawił drugiego mężczyznę obecnego na mostku: przysadzistego, ciemnego, o wyglądzie atlety, o wściekle zaciśniętych ustach, kro-gulczym nosie i orzechowych oczach jarzących się pod śladami zgolonych brwi. Stał podparty pod boki i pogardliwie lustrował D'mahla.

– Cokolwiek jest, jest rzeczywistością – odezwał się zjadliwie. – Co ty wiesz o rzeczywistości, Jofe D'mahl? Nigdy w życiu nie stałeś oko w oko z rzeczywistością wszechświata! Kryłeś się tchórzliwie za swoją błoną wodorową, ze swoim uczuciem, za umysłową masturbacją własnych fantazji! Próżnia ścis-nęłaby twoją duszę do rozmiarów łebka od szpilki i zdmuchnęłaby ją w niebyt!

rzyszy czuł się jeszcze bardziej obcy na „Beli-37", coraz bardziej samotny, i coraz bardziej ciekaw, co zachodzi pomiędzy umysłem człowieka a próżnią. Teraz, gdy przebywał tam ostatni z nich, D'mahl czuł, że cały proces zmierza ku spełnieniu, a drżenie monotonnej struny wypełnia jego istotę swoją harmo-nią.

– Czy słyszysz wreszcie, Jofe D'mahl? – odezwał się tuż obok cichy głos Areth Lorenzi. – Czy wreszcie słyszysz wezwanie?

– Nie jestem pewien, co słyszę – odparł D'mahl, nie odwracając oczu od czeluści za ścianą plexi. – Może to tylko wołanie mojego ego. Muszę zarejestrować ssanie próżni na taśmie, inaczej cały spędzony tu czas pójdzie na marne.

– To jest wezwanie – orzekła Areth. – Znam się na tym. Do każdego przychodzi po jego własnym naturalnym wektorze.

D'mahl obrócił się do niej z wysiłkiem.

– Wy coś przede mną ukrywacie – powiedział. – Czuję to. Wiem.

Teraz Areth nie patrzyła na niego, lecz we wszechobecną próżnię.

– Tym czymś – powiedziała – jest przestrzeń stanowiąca jądro wszystkiego. Nasza prawda, której ty zaprzeczasz.

– Dosyć tych szyfrów! – zbuntował się D'mahl. – Co to za kosmiczna prawda, którą mnie wciąż draż-nicie?

– Żeby ją poznać, musisz zasmakować próżni.

– Dlaczego?

– Żeby wiedzieć dlaczego, musisz odpowiedzieć na wezwanie.

Z gardła D'mahla eksplodował bezsłowny jęk złości i frustracji.

– Myślisz, że nie rozumiem tej gry, w którą wy tu gracie? – wybuchnął. – Myślisz, że nie wiem, co robicie? Tylko dlaczego? I dlaczego tak się uwzięliście, żeby mnie wysłać w próżnię? A przede wszyst-kim: po coście mnie tutaj ściągnęli?

– Bo jesteś tym, kim jesteś, Jofe D'mahl – odparła Areth. – Bo zrobiłeś „Wędrujących Holendrów". Bo może ciebie właśnie szukaliśmy. Może jesteś tym, który potrafi podzielić z nami prawdę i zdjąć brzemię z naszych dusz.

– To już komplementy, prawda?

Areth odwróciła twarz ku niemu, a wtedy skulił się niemal jak pod ciosem od bólu, rozpaczy i błaga-nia, które dostrzegł w jej oczach.

– To nie komplementy – powiedziała. – To nadzieja. Proszę cię, jak jedna ludzka istota drugą ludzką istotę – pomóż nam. Bandoora by tego nie zrobił, ja to zrobię. Zdejmij z nas ten ciężar, D'mahl, przys-piesz wezwanie i zdejmij z nas ten ciężar.

Niezdolny dalej patrzeć w jej oczy, D'mahl odwrócił wzrok w upstrzoną gwiazdami czerń. Bandoory nie było już widać, lecz coś z dali istotnie przyzywało go niewidzialną dłonią, przywoływało niesłysza-lnym głosem. Nawet jego lęk wydawał się być częścią tego, wyzywał go na spotkanie z próżnią wewnątrz i próżnią na zewnątrz, do wyrzeźbienia z próżni czegoś – czegokolwiek, jeżeli był człowie-kiem o tak wielkiej duszy, aby się na to poważyć.

– Niech będzie – powiedział cicho, do Areth, do Bandoory, do nich wszystkich i do tego, co czekało za kopułą plexi. – Wygraliście. Kiedy wróci Bandoora, ja odpowiem na to wasze przeklęte wezwanie. Jak to już kiedyś powiedziałem, mam w życiu tylko jedno do zrobienia: ośmielać się.

Lecz człowiek, który niegdyś wyrzekł te słowa, wydawał się teraz przeszły i daleki.

★

Wszyscy wyszli na zewnątrz, na podest przed wejściem, ubrani w pęcherze próżniowe, aby pożegnać D'mahla.

– Osiemnaście standardowych godzin, D'mahl – nadał Bandoora na częstotliwości zalogowej. – Pa-miętaj, że trzymamy namiar na ciebie i w każdej chwili możemy cię ściągnąć z powrotem, jeżeli się okaże, że to za wiele. Daj tylko sygnał.

D'mahl bez słowa kiwnął głową, zamknięty w swoim pęcherzu. Sprawdził palcami położenie manier-ki z wodą i kasety z racją żywnościową. Ustalił czas na 4.346. Ani na chwilę nie był w stanie oderwać

Stojąc na wąskiej metalowej półce, D'mahl poczuł się całkowicie we władzy czarnych bezmiarów, bezkresnej przepaści, w której niepewnie wisiał statek. Było to całkiem niepodobne do widoku z grand-salonu, gdyż bez wieńca statków, bez śladu przejścia Karawany, nic nie umniejszało ciśnienia próżni na duszę człowieka. Był to maleńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, trzy drobne postacie – i bezmiar nicości. D'mahl skulił się i zadrżał pod ciosem, który przeszył sam rdzeń jego istnienia.

– Dwadzieścia cztery godziny, Haris – przekazał Doru na częstotliwości załogowej. Rozpostarł ramiona, włączył polaryzator grawitacji i odbił się w górę, w czerń międzygwiezdnej czeluści.

– Co on robi? – krzyknął własnym głosem D'mahl. Zreflektował się i nadał to samo pytanie do Bandoory, kiedy Doru począł już nabierać szybkości i zanikać w czerni po linii wektora pod kątem prostym do trajektorii statku.

– Przez dwadzieścia cztery godziny będzie się żywił próżnią – odpowiedział Bandoora na tej samej częstotliwości. – Stawił się na wezwanie. Oddali się od statku tak, żeby stracić go z oczu i pozostanie tam przez jedną standardową dobę.

Doru był już tylko niewyraźną sylwetką poruszającą się na tle gwiezdnego pola. Na oczach D'mahla, sylwetka skurczyła się w bezforemny punkt.

– Co on tam będzie robił? – zapytał cicho D'mahl, drżąc na całym ciele.

– Cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

– Czy to... bezpieczne?

– Bezpieczne? Mamy z nim kontakt i znajduje się nadal w zasięgu stożka naszej błony. Jego ciało jest bezpieczne. Jego umysł... to już zostanie między Rajem a próżnią.

Teraz D'mahl już w ogóle nie widział Doru. Próżniojad zniknął... w próżni. D'mahl powoli wychodził z umysłowej zadyszki; uświadomił sobie, że traci oto jedyny prymarny materiał do senso, jaki mu się dotychczas trafił. Spróbował dosięgnąć Doru na częstotliwości załogowej statku, ale jedynym sygnałem jaki otrzymał, był sygnał odmowy.

– Ja to muszę mieć na taśmie, Bandoora! A on odrzuca mój sygnał!

– Mówiłem ci przecież: cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. Jest tylko jeden sposób na to, abyś przywiózł do domu senso tej rzeczywistości, D'mahl: doświadczyć jej na własnym ciele i zarejestrować samego siebie.

D'mahl spojrzał w zimne, nieruchome oczy Bandoory; potem wzrok jego przyciągnęły czarne gwiaździste głębie, w których zniknął Doru. Którym Doru oddał się dobrowolnie, wręcz ekstatycznie. Lęk walczył w nim z fascynacją. Stał oto wobec doświadczenia, od kontemplacji którego miękły mu kolana, serce dudniło, a w duszy hulał zimny wicher. A było to zarazem doświadczenie, którego parametrów nie potrafił przewidzieć ani stworzyć – a więc coś, z czym nigdy jeszcze nie miał do czynienia i nie myślał, że mu się trafi coś, co leżało u podstaw odpowiedzi na pytanie: kim są próżniojady? A zatem sam rdzeń senso, w imię którego znosił te niekończące się miesiące nudy. A zatem – musi nieodwołalnie stawić temu czoła.

– Po co ty to robisz? – nadał pytanie do Bandoory, odwracając się od czeluści, żeby zajrzeć mu w oczy.

– Każdy ma swój własny powód – odparł próżniojad. – Wezwanie ma wiele głosów. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Ty, D'mahl, też zaczynasz je słyszeć, w swoim własnym jezyku.

D'mahl zadrżał, gdyż gdzieś w głębi niego istotnie zadzwoniły pierwsze tony syreniej pieśni, odległej muzyki z otchłani poza nim i wewnątrz niego.

★

Stojąc na mostku i patrząc, jak Bandoora znika w próżni, Jofe D'mahl poczuł się jak przepastne pudło rezonansowe instrumentu wibrującego pod drganiem tej samej struny bez końca. W ciągu trzech ostatnich tygodni Doru, Nyborg, Areth, Sidi, a nareszcie i Bandoora, oddalali się w czeluść próżni, Areth i Nyborg po dwa razy. Każde z nich odmówiło D'mahlowi kontaktu na bieżąco, a nawet późniejszej rozmowy o przeżyciach i każde powracało jakieś odmienione. Doru sprawiał wrażenie, jakby mu upuszczono sporą dozę wrogości, Nyborg stał się jeszcze mniej rozmowny, bliski katatonii; Areth była jakby młodsza, może odrobinę mniej wyobcowana; Sidi zaś poczęła go niemal zupełnie ignorować. D'mahl nie potrafił znaleźć wspólnego mianownika, może tylko to, że z każdym kolejnym próżniossaniem towa-

– Raj! – warknął Bandoora. Nastąpiło zwarcie energii psychicznych, obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się w milczeniu wściekłym wzrokiem.

– Zobaczymy, co będzie jak wielki D'mahl łyknie trochę próżni, Haris, wtedy zobaczymy!

– Wszystko w swoim czasie – odparł Bandoora. – Ten czas jeszcze nie nadszedł.

– Raj jest niecierpliwy – wyjaśniła Sidi.

– To dość szczególna cecha u próżniojada – zauważył kąśliwie D'mahl.

Ci ludzie zaczynali ranić jego świadomość. Wydawali się wyzuci z poczucia humoru, pełni obsesji, zdesynchronizowani z własnym rdzeniem, jakby nicość, w której nurzali się stale i z maniakalnym upodobaniem opróżniła ich wnętrza, napełniając je sobą.

D'mahl stwierdził, że patrzy do góry, w gwiaździstą czerń otchłani, zastanawiając się, czy ten kosmiczny chłód potrafi z czasem przeniknąć i do jego rdzenia, czy nie jest przypadkiem tak, że umysł ludzki nie ogarnia po prostu takich rozmiarów nicości, zachowując jednocześnie panowanie nad własnym wektorem.

– Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną – odezwała się Areth. Nie była to specjalnie krzepiąca myśl.

Rozdział III

Co ci ludzie robią całymi dniami?, zastanawiał się Jofe D'mahl, po raz, jak mu się zdawało, tysięczny okrążając bez celu i nerwowo kolisty korytarz wokół trzonu pochodni. Zaledwie tydzień na pokładzie „Beli-37", a jego już mdliło z nudów. Ile w końcu można grać w szachy, albo w zero-grawitacyjnego tenisa? Banki biblioteczne statku były politowania godne – kilkaset taśm encyklopedycznych, pięćdziesiąt kiepskich pornografii, sto klasycznych sensosów (w tym, co odnotował z zadowoleniem, cztery jego autorstwa) i nieprzebrana kupa nudnych jak flaki z olejem raportów statków zwiadowczych.

– Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną – powiedziała Areth Lorenzi. D'mahlowi wydawała się ona w tych warunkach jedyną możliwą cnotą, a jego własne zasoby cierpliwości topniały w tempie zastraszającym.

Przed sobą usłyszał kroki; ktoś nadchodził pasażem radialnym i w chwilę później jego wektor przeciął się z wektorem Sidi, sunącej ku niemu pięknie i zimno na podobieństwo robota wsymulowanego w ludzkie ciało. Nawet tak silny początkowo pociąg do Sidi zaczynał już słabnąć. Sidi, w czerepie abstrakcyjnego piękna, wydawała się nie mniej niż cała reszta oderwana od jakiejkolwiek rzeczywistości, w której chciałby uczestniczyć.

– Witaj, D'mahl – odezwała się wyniośle. – Dobry zbierasz materiał na senso?

D'mahl skrzywił się.

– Jeżeli za dobry materiał uznać półtora krążka nudy... – odpowiedział. – Bandoora obiecywał mi coś transcendentnego – gdzie to jest?

– Kiepsko się rozglądałeś.

D'mahl wskazał ruchem głowy ku górze, w pułap statku i przestrzeń poza nim.

– Tam? To samo widzę ze swojego grand-salonu.

– Poczekaj.

– Na co?

– Na wezwanie.

– Jakie wezwanie?

– Kiedy przyjdzie, będziesz wiedział – powiedziała Sidi i minąwszy go, poszła dalej korytarzem. D'mahl pokręcił głową: Doru – wrogość, Bandoora – tania metafizyka, Nyborg – od czasu do czasu chrząknięcie, Areth Lorenzi – kilka gier w szachy, niemal bez słowa. A teraz testy na inteligencję od Sidi! Czy to możliwe, że ci ludzie nic więcej w sobie nie mają? Tylko kilka marnych sztuczek wokół rdzenia wewnętrznej próżni? A między nimi a nudą – tylko ich własne obsesje? Byłoby z tego całkiem interesujące senso, gdybym wykombinował sposób na dramatyzację nicości. Westchnął. Teraz miał przynajmniej istotne artystyczne zagadnienie do zabawy.

★

– To czysta rutyna – rzekł Ban Nyborg, nachylając swą wysoką postać nad ekranem odczytów, po tórym pełzły wolno dwie kolumny liter i cyfr. – Numery katalogowe gwiazd masz po lewej, masy otazających je ciemnych ciał – po prawej.

– Mógłby to nadzorować jeden prosty program – zauważył D'mahl. – Dlaczego ty to robisz?

– Robi to komputer, ja tylko kontroluję. Trzeba się czymś zająć.

D'mahl pokręcił głową. Do kompu-centrum wszedł całkiem przypadkowo – żaden z próżniojadów igdy nawet o nim nie wspomniał. A przecież to tu znajdowało się prawie całe wyposażenie istotne dla elu misji statku: odczyty grawiskopu i cały szereg konsolet z przyrządami, po których objaśnienie usiałby sięgać do banków. Mimo to, nijaka szara kabina tchnęła klimatem zapomnienia.

– Mówisz jakbyś był co najmniej tak znudzony, jak ja – powiedział D'mahl.

Nyborg kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

– Nic tylko czekać, aż przyjdzie wezwanie.

– Wezwanie? Jakie wezwanie?

Nyborg odwrócił się do niego i po raz pierwszy od blisko dwóch standardowych tygodni D'mahl ostrzegł na jego wydłużonym obliczu wyraz ożywienia, jakiś ogień, może nawet wspomnienie ekstay.

– Kiedy próżnia wzywa cię do siebie. – powiedział. – Sam zobaczysz. O tym się nie mówi. Otrzymuesz wezwanie i idziesz – to wszystko. Po to tu wszyscy jesteśmy.

– Po co tu jesteście? A to wszystko? – D'mahl zakreślił ręką krąg, wskazując nagromadzenie przyrząów.

Wyraźnie dostrzegł, jak z twarzy Nyborga uchodzi życie; na ognie w jego oczach spadły zasłony i nów był jak przedtem, Nyborgiem-cyborgiem.

– To jest misja – burknął, odwracając się z powrotem do ekranu odczytów. – Misja nas tutaj przynosi. le my przybywamy dla wezwania. Dlaczego, jak myślisz, mówią o nas „próżniojady"?

– No, dlaczego?

– Bo my żywimy się próżnią – odparł Nyborg.

– To znaczy, że nie zależy wam na misji? Nie poświęcacie się dobrowolnie, aby nam znaleźć nowy, ywy świat?

– Bzdury! – burknął Nyborg. – Statki zwiadowcze nas nie potrzebują, same się mogą obsługiwać. To y ich potrzebujemy: żeby się dostać do próżni.

Celowo markował zainteresowanie tym, co robi i D'mahl nie wyciągnął z niego ani sylaby więcej.

★

– Właściwie od jak dawna latasz na statkach zwiadowczych, Areth? – zapytał Jofe D'mahl, podnosząc zrok znad beznadziejnej sytuacji dla siebie na szachownicy.

– Z półtora wieku – odparła Areth Lorenzi, nie przerywając planowania następnego ruchu. Jak awsze, nie dodała nic od siebie.

– Musisz być naprawdę oddana misji, skoro tyle lat spędzasz tutaj, w nicości – zauważył D'mahl, siłując cokolwiek z niej wyciągnąć. Te oczy tak wiele dawały do zrozumienia, a te usta tak mało mówi-...

– Za każdym razem słyszałam wezwanie.

– Co to za wezwanie, o którym wszyscy tu mówią?

– Wezwanie próżni. Dla tych, którzy otrzymali wezwanie, nie ma nic poza próżnią. Ty myślisz, że my ę poświęcamy dla dobra ludzkości?

– A nie?

Areth Lorenzi popatrzyła na niego swymi wiekowymi, kryształowymi oczami.

– Obsługujemy statki, aby dostać się w próżnię; nie zmagamy się z próżnią, żeby obsługiwać statki – owiedziała. – Nie poświęcamy nic prócz iluzji. Żyjemy w prawdzie. Żyjemy dla prawdy.

– I prawda was wyzwoli? – spytał cierpko D'mahl. Uwaga ta nie dotarła jednak do Areth, gdyż Areth ie miała jak zasięgnąć wyjaśnienia z banków.

Spuściła wzrok. W jej głosie zabrzmiała nutka goryczy.

– Nikt nie jest wolny – oto prawda. – Przesunięciem wieży dała D'mahlowi podwójnego szacha, króla i królowej. – Szach-mat w trzech ruchach, D'mahl – oświadczyła.

★

D'mahl zastał Harisa Bandoorę samego na mostku, zapatrzonego wstecz, tam, gdzie jeszcze do niedawna widać było Karawanę w postaci maleńkiego świetlnego krążka wśród punkcików gwiazd. Teraz Karawana, jeżeli w ogóle widoczna, była jedynie punkcikiem światła zagubionym pośród milionów takich samych punkcików. „Bela-37" jak zastygła w czarnym, kryształowym ogromie, usianym nieruchomymi drobinkami skrzącego się pyłu – w abstrakcyjnym wszechświecie wątpliwej realności.

D'mahla przeszył dreszcz trwogi, przelotne doznanie całkowitego osamotnienia. W tej martwej, obojętnej nocy, nawet obecność enigmatycznego i wyniosłego Bandoory działała jak promyk ludzkiego ciepła.

– Obezwładniające, prawda? – odezwał się Bandoora, odwracając głowę na odgłos kroków D'mahla. – Sto miliardów gwiazd, planet pewnie tyle samo, a to przecież tylko jedna galaktyka, okruch materii dryfujący w nieskończonej nicości. – W jego ciemnych, bezdennych oczach było teraz wiele tkliwości, niemal łzawe zamglenie. – Kim my jesteśmy, D'mahl? Niegdyś byliśmy częścią pewnej nieznaczącej anomalii zwanej życiem, która zanieczyszczała drobinkę pyłu wirującego w okruchu materii, zagubionym w obłoczku innych okruchów, który sam w sobie stanowił mierne zanieczyszczenie wszechświatowej próżni. Dziś już nawet tym nie jesteśmy...

– Jesteśmy liczącym się elementem – odparł D'mahl.

– Dla kogo? – Bandoora ruchem głowy wskazał czeluść. – Dla t e g o ?

– Dla siebie samych. Dla jakichkolwiek istot obdarzonych świadomością, na którejkolwiek z planet obiegających którąkolwiek z gwiazd. Liczy się nauka, Bandoora. Reszta to tylko produkty uboczne – D'mahl zaśmiał się głucho. – Jeżeli nawet to solipsyzm, niech nam służy jak najdłużej.

– Gdybyś ty wiedział...

– Gdybym wiedział – co?

Bandoora uśmiechnął się ironicznie.

– To, czego się dowiesz. Po to tu jesteś. Nie możemy pozostać z tym sami na zawsze.

– Ale co...

– Usłyszałem wezwanie, Haris – Raj Doru już wcześniej dostał się na mostek, a teraz podszedł śpiesznie i stanął u boku Bandoory. Jego brązowe oczy płonęły gorączką, a w ruchach znać było niecodzienną ociężałość.

– Kiedy? – spytał cierpko Bandoora.

– Teraz.

– Jak długo?

– Dwadzieścia cztery godziny.

Bandoora odwrócił się i podążył za Doru do tunelu windy.

– Co się dzieje? – pytał D'mahl, depcząc im po piętach.

– Raj wybiera się ssać próżnię – odrzekł Bandoora. – Dostał wezwanie. Masz ochotę pomóc mi go wyprawić?

★

Przy okrągłej klapie włazu Raj Doru pobrał z półki sprzęt do podróżowania w próżni, ubrał się w niego, wziął butelkę wody i kasetę żywnościową z zamykanej szafki, przypiął je zatrzaskiem do pasa spodenek. Jego oczy patrzyły gdzieś w nieodgadnioną rzeczywistość, z którą D'mahl nawet nie próbował łapać synchu.

– Co ty robisz, Doru? – zapytał.

Doru nie odpowiedział, zdawało się, że w ogóle nie zauważa obecności D'mahla.

– Załóż pęcherz próżniowy i sam się przekonaj – powiedział Bandoora zdejmując z półki dwa zestawy i podając jeden D'mahlowi.

Ubrali się, po czym Bandoora otworzył drzwi włazu i we trzech przeszli do komory blokady powietrza. Napompowali pęcherze, Bandoora szczelnie zamknął drzwi i przez błonę drgań przeszli na podest wejściowy statku.



Tomasz Zakrzewski

Piotr N. A. Gociek

Wielka ucieczka

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

Po raz pierwszy spotkałem go, kiedy byłem jeszcze małym brzdącem. Pojawił się na kartach jednej z moich późniejszych ulubionych książek. Po latach jego wizerunek zatarł czas; w brudnym kieracie życia, pracy i spraw domowych zapomniałem o nim. Ale pokazał mi się znów.

Stałem wtedy w długim ogonku do kasy biletowej na dworcu autobusowym. Zaledwie kilka osób dzieliło mnie od okienka, gdy wszczął się tam jakiś rwetes. Stojący przede mną korpulentny jegomość o spoconej twarzy, ubrany w ciężkie futro krzyknął nagle:

– Co pan sobie myśli! Streszczaj się pan, nie będziemy przez takich dziadów stać tutaj wiecznie!

Rozgorączkowany tłumek dał upust swej złości i przyłączył się do słów tęgiego faceta, wyglądającego na jakiegoś badylarza, który dziesięć szklarni odziedziczył po ojcu, a drugie tyle wybudował sam, kupił lancię i stwierdził, że ma wszystko gdzieś, ale któremu auto się zepsuło zmuszając go do skorzystania z tak poniżającego środka lokomocji jak autobus.

Po chwili zobaczyłem przyczynę całego zajścia. Spod kasy wymknął się, jakby przyciśnięty do brudnej podłogi ogromem zarzutów, drobny staruszek o zmęczonym wyglądzie i drżących rękach mnących ze wstydem kupiony przed chwilą bilet. Kiedy przechodził koło mnie, zobaczyłem, że w kącikach jego oczu kręcą się łzy. Utykał na jedną nogę, dlatego nie mógł chodzić zbyt szybko. Jak więzień przed plutonem egzekucyjnym przemaszerował wzdłuż kolejki, obrzucany szczodrze obelgami i wyzwiskami, w których przodował stojący obok mnie i wspomniany już krezus. Zbierając powoli siły, aby przeciwstawić się tłumowi wymyślającemu staruszkowi, najechałem na krzykacza.

– Niech pan uważa – powiedziałem podnosząc głos – jeszcze parę latek i sam pan będzie kuśtykał o laseczce. Ciekawe jak wtedy się pan poczuje. W każdym razie obiecuję, że ja będę pierwszym, który nazwie pana zawadzającym we wszystkim dziadygą.

Zamurowało go. Tłum również. Tylko staruszek pośpiesznie ruszył dalej, spoglądając na mnie z niewypowiedzianą wdzięcznością. Tymczasem kolejka otrząsnęła się już z osłupienia i ryknęła na mnie zgodnym wrzaskiem.

– Tty...gówniarzu jeden, na co sobie pozwalasz! – usłyszałem za uchem. Nie musiałem odgadywać, to mój najbliższy sąsiad zareagował. Z tyłu któraś z przekupek krzyknęła histerycznie:

– Na takich to tylko milicji trzeba! Długowłosy cham, jaki młody, proszę i już ze starszymi zadziera!

Wyśliznąłem się z kolejki. I wtedy go zobaczyłem. Poznałem jego jasną czupryne od razu, tylko nie mogłem sobie przypomnieć jak się nazywa. Wiedziałem jedynie, że należy do nielicznego grona moich Przyjaciół z Dzieciństwa. Siedział na ławce niedaleko kasy i kiedy podszedłem do niego powiedział:

– Chrzań to.

– Nie mogę – odrzekłem – przecież nie wszyscy ludzie są tacy.

– Chrzań to – powtórzył. – To jest bez sensu.

Nie posłuchałem tej rady. Odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć w kierunku kasy; ale gdy zaraz potem wróciłem wzrokiem ku ławce, Przyjaciela z Dzieciństwa już na niej nie było.

Drugi raz spotkałem go, kiedy czuwałem w szpitalu, przy łóżku kolegi ciężko pobitego przez niezidentyfikowanych sprawców. Dochodziła północ. Poczułem, że ktoś na mnie patrzy. Rzuciłem okiem w stronę wejścia na salę. On tam stał, poprawiał swój żółty szal, opierając się plecami o framugę drzwi.

– Dalej wierzysz w siebie i w innych? – spytał z rozbawieniem. – Chrzań to.

– Robię co mogę – powiedziałem obserwując unoszącą się w nierównym oddechu pierś mojego kolegi.

– Zastanów się – szepnął Przyjaciel z Dzieciństwa, choć w ciszy śpiącego szpitala ten szept zabrzmiał jak grzmot.

Zniknął.

Nie minęło wiele czasu, a znów go zobaczyłem. Czekałem wówczas na pociąg, stojąc na jednym z peronów wielkiego dworca kolejowego. Zapalałem właśnie papierosa, kiedy podszedł do mnie skromnie ubrany mężczyzna. Mógł mieć gdzieś około pięćdziesiątki, może trochę więcej. Kaszlał ciężko.

– Ja bardzo pana przepraszam – powiedział cicho – to taka drażliwa i głupia sprawa. Ja wiem, że to nie wypada, ale jestem w takiej sytuacji – zakrztusił się nagle. – Wracam do domu, nie było mnie tam od czterech lat. I zabrakło mi pieniędzy na przejazd. Mam bilet tylko do połowy drogi. Więc gdyby pan był tak dobry... – zawiesił głos w oczekiwaniu i spojrzał na mnie błagalnie, wciąż kaszląc i dusząc się. Chyba gruźlica albo astma – skonstatowałem w duchu. Jak na złość nie miałem przy sobie ani grosza. Z przepraszającym uśmiechem poinformowałem go o tym. Przeprosił jeszcze raz i ze spuszczoną głową odszedł. Wsiadając do pociągu widziałem go jeszcze, krążącego bezradnie po kamiennej posadzce peronu, wśród ludzi równie zimnych jak stalowa wstęga szyn prowadząca mnie do domu. Znów wyczułem czyjąś obecność. Przyjaciel z Dzieciństwa siedział naprzeciwko mnie w pustym przedziale.

– Nie pomogłeś mu – stwierdził raczej niż spytał.

Poczułem, że się czerwienię.

– Nie mam pieniędzy – odparłem.

– Zostaw to wszystko. Chrzań ten świat i nie przejmuj się niczym.

Skrzywiłem się.

– Nie.

Przyjaciel z Dzieciństwa rozwiał się jak poranna mgła.

Jeszcze wielokrotnie namawiał mnie do rzucenia wszystkiego w diabły. Opierałem się temu z całą stanowczością. Mijały miesiące, potem lata. Przetrwałem odejście w niebyt paru przyjaciół, dwa razy wyrzucono mnie z pracy, niemal natychmiast po tym jak mnie zaangażowano, pochowałem brata, przeżyłem pożar hotelu spowodowany przez schlanego na amen windziarza, widziałem jak katuje się ludzi, jak męczy się zwierzęta. Schowany za murem moich humanistycznych poglądów walczyłem ze wszystkimi grzechami ludzkości. Ale ponosiłem porażki. Poniosłem ich zbyt wiele. Chciałem poprawiać świat nie wiedząc nawet, że stoję na straconej pozycji. I zawsze, gdziekolwiek byłem, towarzyszył mi Przyjaciel z Dzieciństwa. Czekał na mnie.

Owego dnia wróciłem do domu później niż zwykle. Na ulicy zwrócił mą uwagę tłum niespotykany zazwyczaj w naszej spokojnej dzielnicy. Podszedłem bliżej. Moja żona leżała na asfalcie w kałuży krwi. Załamałem się. Dobiło mnie jeszcze to fałszywe współczucie ludzi, którzy napatrzyli się do syta na zwłoki i śpieszyli teraz do domów, by z wypiekami na twarzy opowiedzieć o wszystkim rodzinie. Nie wiedziałem nawet, kiedy zabrano ciało i odwieziono je do miejskiej kostnicy. Wróciłem do pustego mieszkania w milczeniu, chwytając ciężko powietrze i podpierając się dłońmi o ścianę.

W moim gabinecie czekał już Przyjaciel z Dzieciństwa. Na mój widok wstał.

– Chrzań to – powiedział. – Zrozumiałeś już?

Kiwnąłem z rezygnacją głową. Przyjaciel z Dzieciństwa chwycił mnie za rękę.

– Uważaj – powiedział – lecimy.

Poczułem, jakby coś mnie kolnęło.

Byłem wolny. Pode mną widniały zarysy szarych górskich szczytów, a nad głową miałem czyste niebo. Błękitne, nie zasnute dymami potężnych kominów. Widziałem po raz pierwszy w życiu czystą wodę w rzekach i strumieniach, drzewa obsypujące się listowiem, którego już nigdy nie miały zrzucić, słońce wesoło pieszczące promieniami wszystko co żywe, ptaki szybujące w beztroskim locie pod pułapem niebios. Czułem, że też mogę latać, wzbić się wysoko ponad ziemię, więc leciałem coraz wyżej, aż w pewnym momencie lazur zastąpiła czerń Wszechświata. Gwiazdy zatańczyły wokół mnie jak zalotne dziewczęta. Widziałem mgławice, obłoki, konstelacje...Nurzałem się w tym oceanie nicości, skąpany w świetle dalekich słońc. Wreszcie postanowiłem wrócić. Pojawiłem się tuż nad lasem, pikując w stronę szmaragdowego jeziora. „Jestem szczęśliwy – chciałem krzyczeć na cały głos – szczęśliwy!!"

Ludzie... – pomyślałem – jacy są tu ludzie? I naraz ujrzałem w głębi duszy obraz pięknych półbogów, wiecznie zadowolonych z życia. Ludzie tu nie zabijali i nie byli zabijani. Ktoś kiedyś powiedział: „Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy" i ci, których zobaczyłem, byli pierwszymi istotami ludzkimi, jakie żyły według tego przykazania, ważniejszego niż wszystkie dziesięć punktów dekalogu. Wirowałem wśród chmur, nurkowałem ku ziemi, by zaraz potem wzbić się hen, pod słońce. Bawiłem się z wiatrem w berka i byłem szczęśliwy. Naprawdę.

Ocknąłem się nagle i niespodziewanie. W fotelu naprzeciw mnie siedział Przyjaciel z Dzieciństwa. Wówczas poznałem go. Zespoliłem w jedną całość jego wygląd i imię. Przypomniałem sobie, że jego wizerunek towarzyszył mi od dawna. Wąska mała szpada, ciemne buciki z cholewami, białe spodnie i takaż koszula, a na tym wszystkim czerwono-niebieski płaszcz. Ni stąd, ni zowąd z zakamarków pamięci wypłynął widok baranka jedzącego róże i małej planetki obrośniętej trzema drzewami.

– Dziękuję – powiedziałem i popatrzyłem w jego błękitne oczy, biorąc z ciepłych i szczupłych dłoni Małego Księcia przezroczysty woreczek z trawą.

Opole, 1985

Piotr N. A. Gociek



Tomasz Zakrzewski

Sprawa Honoru

Katarzyna Kuligowska

Jaka straszna może być cisza... a przecież kiedyś uwielbiałem bezgłośne narastanie napięcia, zharmonizowane z delikatnym szmerem płytkich, przyśpieszonych oddechów. Wbrew logice – usiłowałem jeszcze walczyć.

– Ja wam pokażę – wyłem – przyprowadzę moją matkę i ona powie wam kim jestem!

Cisza rozsypała się nagle jak stos kamieni.

– Nie wpuścimy tej ostarskiej dziwki!

– Każemy jej zdjąć majtki!

– Wyliże całą podłogę!

– Ogolimy ją, jak ty ogoliłeś Wie!

– Podniosłeś rękę na Munka – to Attbo, mój przyjaciel.

Nie zwiódł mnie spokojny ton jego głosu, odskoczyłem uderzając plecami o ścianę. Nóż Attbo przekroił ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą trzymałem ręce.

Rzuciłem się do ucieczki. Ktoś podłożył mi nogę, pełznąc po podłodze czułem w ustach słony smak krwi. Bałem się, cholernie się bałem.

Mój świat trzasnął jak lód pod butem w marcowy poranek. Zaatakowany przez setki wspomnień, dygotałem skulony na ławce w parku.

—Czy jest ci tu źle, synku? Inne dzieci nie mają własnego ogródka...

Wiercę się niespokojnie na jej kolanach.

– A mnie się tu nudzi! Wolałbym mieszkać w bloku, jeździć windą. Wszyscy koledzy mieszkają w blokach! Ty nie lubisz moich kolegów!

– Arite, ojciec ciężko pracuje, jemu też potrzebny jest spokój.

– Nieprawda! Kiedyś słyszałem jak mówił przez telefon...

Pamiętam uczucie oburzenia, kiedy brutalnie zepchnęła mnie na ziemię, poderwała się i wybiegła z pokoju.

– Mamo, otwórz – żądałem, kopiąc nogą w drzwi, za którymi zniknęła. Nie odpowiadała i nie wpuściła nikogo. Zresztą oprócz mnie nikt nie chciał tam wejść.

– Matka ma znowu humory – skwitował ojciec i tak jak stał, w butach i z teczką wszedł do kuchni. Na świeżo wypastowanej podłodze zasychały wężyki brunatnej gliny. – Ma czas, nic nie robi, to posprząta jeszcze raz – mruknął do siebie.

Patrzyłem jak je, jak zbiera sos kawałkami chleba i pakuje je do ust. Żarłoczny, niski mężczyzna.

– Nie gap się, Arite, idź na górę i odrabiaj lekcje.

Lekcja historii.

– Kiedyś trzymano ich w klatkach – opowiadał nauczyciel z twarzą rozmarzonego anioła – nie mogli wyjść poza wyznaczony teren, więziły ich druty wysokiego napięcia. Podobno niektórzy rzucali się na te druty, nie chcieli umierać z głodu. Teraz chociaż wszyscy brzydzimy się tym rodem brudasów, bez kultury i dorobku intelektualnego, mają wyznaczone dzielnice, gdzie mogą mieszkać. Za zabicie Ostarsa, którego przyłapie się w naszych dzielnicach trzeba płacić karę pieniężną.

– Jak wysoką? – zapytał Attbo.

Nauczyciel wymienił sumę. Zapadła pełna niedowierzania cisza.

– Mam na dwóch – ryknął Attbo, wysypując z kieszeni drobne.

– A ja na trzech!

– Sąsiad pokazywał mi szufladę w biurku, pełną pokwitowań za zapłacone kary. On bierze tylko kobiety w ciąży, bo każą płacić za jednego, a jest dwoje albo troje, no nie?

– Chłopaki, zbieramy pieniądze!

– Zrobimy polowanie!

– Jak możecie, świnie, jak się nie wstydzicie!

Zulena, córka dyrektora szkoły stała w ławce blada, z wściekłością szarpiąc koniec warkocza. Jej głos wibrował piskliwie.

– Szkoda, że nikt nie pozabijał waszych matek! Potwory!

– Chcesz koniecznie, żeby twój ojciec stracił pracę – syknął nauczyciel, niby cicho, ale tak, żeby wszyscy usłyszeli.

– Już i tak napisał pan dosyć anonimów – wrzasnęła, rozpłakała się i wybiegła z klasy.

Przez chwilę jeszcze siedzieliśmy w milczeniu, zanim poprawiając machinalnie krawat nie podjął przerwanego tak nagle wykładu...

– Mamo, dlaczego się malujesz?

Nie pasowały do niej te jaskrawe usta i różowe placki na policzkach. Starannie prowadząc ołówek wzdłuż brwi, gestem wolnej ręki wskazała mi leżącą na dywanie szarą kopertę.

Przebiegłem szybko wzrokiem druczek – „Urząd Kontroli Czystości Rasy wzywa Ob... do stawienia się... dnia... w pokoju... w razie niestawienia wyciągnięte zostaną konsekwencje zgodnie z Rozporządzeniem... § 6, pkt. 9..."

– Kiedy oni się od nas odczepią? – takie druczki coraz częściej wyjmowałem ze skrzynki na listy.

– Arite, to tylko rutynowe badanie. Idź do kuchni, zrobiłam ci budyń z wiśniami.

Wychodząc zobaczyłem przez moment odbicie jej twarzy w lustrze. Bezgłośnie poruszała ustami. Modliła się?

Na boisku, pod drzewami, sterczał nieforemny drewniany pal. Ostars, którego tam przywiązaliśmy był malutki i chudy. Modlił się głośno. Nie chcieliśmy mu nic zrobić, rzucaliśmy nożami, obrysowując ostrzami kontur jego ciała. Zamykał gwałtownie oczy, łzy spływały żłobiąc ścieżki na brudnej buzi. W końcu nie wytrzymał, zaczął rzygać, pobrudził sobie koszulę i spodnie.

To Attbo rzucał ostatni, przygwoździł tamtemu skórę przedramienia do pala. Ciemny, wąski strumyczek krwi wsiąkał w suchą ziemię.

Roztrącając nas biegła Wie. Wyszarpnęła ten nóż, poleciał kreśląc szeroki łuk i upadł na murawę tuż przy moich stopach. Podniosłem go.

– Uciekaj stąd – rzuciła, nachylając się do nóg Ostarsa.

Chyba nie słyszał, jego ciałem wstrząsała gwałtowna czkawka, zsikał się, brudząc dłonie dziewczyny, nie otwierając oczu kiwał monotonnie głową.

– Nie... nie... nie.

– Durniu, idź stąd – wrzasnęła rozplątując sznur. Nie chciał. Uderzyła go z całej siły w twarz. Skomląc żałośnie osunął się, upadł, mocno obejmując pal zakrwawionymi ramionami.

Kiedy Wie odwróciła się, otaczaliśmy ją już milczącym kręgiem. Popychany spojrzeniami kolegów goliłem do gołej skóry jej piękne, miękkie loki, puszyste i ciepłe.

Wie nie wróciła już do naszej klasy. Nigdy jej nie spotkałem. A wóz od śmieci przyjechał godzinę później i zabrał ciało spod drzew. Zanim przyjechali, wszystkie maluchy, pod wodzą rudowłosego Teari zatykając demonstracyjnie nosy pluły na zwłoki.

Chłód wygonił mnie w końcu z parku. Bałem się wsiąść do tramwaju, klucząc zaułkami dotarłem do domu. Opanowało mnie straszliwe podejrzenie, że każdy przechodzień wie.

Jestem Munkiem, prawowitym obywatelem swojego kraju – jęczałem do siebie przez zaciśnięte zęby, nie pomagało, myślałem o jednym, o jednym banknocie, który wyznaczał wartość mojego życia.

Drzwi otworzyła matka, rzuciłem się do niej, całowałem łapczywie blade policzki.

– Powiedz, że to nieprawda – prosiłem klękając z twarzą w jej spódnicy. Podniosła mi głowę do góry.

– Pakuj się, wyjeżdżamy do innej dzielnicy. Zaraz. Ja już się spakowałam. – I sucho dorzuciła – zrób to szybko, póki nie ma ojca.

Ostarskie dzielnice. Byliśmy tam kiedyś na wycieczce. Baraki sklecone z drewna. Spoglądając ostrożnie dookoła kobieta w brudnej zapasce przegarniała nogą śmieci na wysypisku, inna, młoda, nie opodal karmiła dziecko piersią wydając ostrzegawczy gwizd, gdy zbliżał się ktoś obcy.

Pod płachtą z brezentu Ostarka odcina kupony i rzuca na ladę wąskie, czarne bochenki chleba. Kolejka posuwa się w milczeniu. Dziewczynka w bawełnianej sukience na nasz widok uśmiecha się szeroko, pokazując wyszczerbione ząbki. Odwracamy głowy, idziemy dalej. Zostaje sama ze swoim niepotrzebnym uśmiechem.

Stoję oparty o framugę drzwi. Domyśliła się, na co czekam.

– Ojciec bardzo kochał mnie... kiedyś. Wierz mi, nie chciałam zostać jego żoną, nie chciałam nawet ciebie. Nie powinnam. Ale potem... tak bardzo pragnęłam uchronić mojego małego Arite... Przecież Munki i Ostarsi są takimi samymi ludźmi, prawda?

Miała rację. Przytuliłem się do niej.

– Obiecuję, mamo, nie będziesz kraść resztek na śmietnikach. Jestem prawie dorosły i zatroszczę się o ciebie.

Nóż wszedł gładko w środek szyi, oślepiony fontanną krwi ciągnąłem go z całej siły do góry, aż do zgrzytnięcia o kość podbródka. Mocno zacisnęła ręce na moich ramionach... jak kiedyś.

– Teraz jesteś równa Munkom, mamo – pożegnałem ją, a potem kucnąłem i gładząc ciemne włosy, zaśpiewałem kołysankę, którą zawsze żegnała mnie na całą noc, pełną dziecinnych snów i strachów.

Gwiazda błyszczy hen, na niebie,
A ja bardzo kocham ciebie.
Mały kotek ziewa słodko,
A ja kocham cię, Pieszczotko.

I wtedy zrozumiałem naprawdę wszystko. Zobaczyłem cień płynnie przesuwający się do kuchni. On tu był! Mój ojciec, czekał zaczajony za drzwiami, czekał na rzężenie, na odgłos padającego ciała, które dla niego oznaczało tylko jedno – wolność.

Głośno stukając butami i demonstracyjnie pogwizdując, przeszedłem się po kuchni. Byłem Munkiem. Naprawdę byłem Munkiem. Zanim wbiłem sobie nóż, zakleiłem starannie usta plastrem, żeby nie usłyszał, żeby się nie doczekał, żeby drżał za drzwiami w lęku i nadziei, ściskając w dłoni kaucję za nas, nie wiedząc czy już... I niech tam stoi jak najdłużej! ■

Max Asprayd, postać dwuznaczna i niepokojąca, to bohater najnowszej powieści Macieja Parowskiego, którą planuje skończyć do jesieni 1988 roku i złożyć w wydawnictwie „Czytelnik". Akcja książki rozgrywa się w Szwajcarii na początku XXI wieku. Na Księżycu istnieje już niezależne państwo – modne centrum turystyczne i bankowe świata. Szwajcaria traci na rzecz Księżyca swoją dotychczasową pozycję. Mały i piękny kraj, będący w poprzednich wiekach oazą dobrobytu i spokoju, gwałtownie ubożeje, ogarniają go też różnego rodzaju konflikty. Ich uśmierzaniem, obok policji, zajmuje się specjalna formacja mildgorów (goryle ładu). Powieść opowiada o losach jednego z nich.

(an)

MILD

(fragment powieści)

– Asprayd, zgłoś się!

....

– Max, słyszysz mnie? Powiedz coś. Tylko coś powiedz. Proszę cię!

Głos woła z podłogi. Jest brzęczący, niedoskonały, pasmo okrojone z góry i z dołu. Żadnej finezji, żadnego hi-fi. Sam chrobot. Głos bloxa.

– Max Asprayd, tu oficer dyżurny, Kurt Eckart. Mówi Centrala. Dziś twój dzień. Odbiór.

– Czego chcesz?

– Obudziłeś się, Max? – Głos drży radością. To słychać wyraźnie, mimo że piguła bloxa leży na podłodze, wpięta w kołnierz bluzy, przywalonej spodniami. – Znaczy, Max – woła Kurt – znaczy, z grubsza biorąc, jesteś do wzięcia!

– A bo co? Która godzina?

– Nie masz zegarka?

Rozglądam się. Bransoletka leży pod oknem. W jej pobliżu Girojet. Mam nadzieję, że zabezpieczony. Krzesło z powieszoną kurtką zastygło półwywrócone, oparte o szafę. Wychylam się z łóżka. Bluza jest zmięta, spodnie także, ale plam na nich nie widać.

– Jak bym miał, to bym nie pytał. Jest gdzieś poza zasięgiem. Która?

– Pięć po dziesiątej. Mam dla ciebie robotę, Max!

Poruszam głową. Zamykam oczy. Otwieram. Słońce. Zimne powietrze od okna. Bise. Żadnego bólu. Pełnia pełnią, ale w sumie można wytrzymać. Pytam.

– Jaki stopień trudności?

– Najprostszy. Trzeba przywołać do porządku szczeniaka. Jest zalecenie, żeby błyskawicznie.

– Kurt, litości. Jeśli najprostszy, weź Scharfe.

– Scharfe nie da rady. Trochę zapiła – zawiesza głos, po czym dodaje krótko i niewyraźnie. – Poza tym ma okres.

– Wczoraj, o ile pamiętam, raczej nie miała.

Chwila ciszy. Słyszę przeciągłe westchnienie. Kurt to porządny chłopak. Taką ma opinię wśród wszystkich służb.

– Więc to ty ją sprawdzałeś, Max – pyta z zainteresowaniem – a ja myślałem...

– No nie, nie wczoraj. Ale widziałem, jak się owijała wokół Gozenkranca. Była bardzo obiecująca.

Kurt śmieje się. Tu w mieszkaniu metaliczny charkot bloxa usiłuje opowiedzieć o jego rechocie.

– Więc przyjmij do wiadomości, że chyba jednak miała. I przyszło jej do głowy, żeby Goz choć raz w życiu pozalecał się do panienki bezinteresownie. Oberwała za to. Potem sama trochę mu przyłożyła. Potem wypili wspólnie następną butelkę i zaczęli się godzić. Oboje nie do użytku.

Ładne. I nawet brzmiałoby przekonywająco, gdyby nie było bezczelną próbą wrobienia mnie w robotę, której mogę uniknąć.

– Skądże tak dokładnie o tym wiesz?... Czemu nie wezwiesz Rildensterna? Dziś także jego dzień. A inni?

– Wiem, Max. Nie zawracałbym ci głowy, gdybym nie musiał. I proszę, ani słowa o Rildensternie. Kompletny denat. Delirka przez najbliższe pięć godzin.

– No tak – mówię przytomnie.

Aż taki kiepski szczęśliwie nie jestem. Żołądek w nocy nie wytrzymał i dzięki temu głowa pracuje teraz zupełnie przyzwoicie. Tylko pić, chce mi się pić. No i pod czaszką czuję delikatne mrowienie. Jeszcze godzinka w łóżku i będę dobry.

Blox znowu brzęczy.

– To zresztą nie jest robota dla Rilda. Nie chcę, żeby po małej lekcji grzeczności musieli zaraz pakować człowieka w gips i na wyciąg.

Widzę niebo, chmury, zimowe słońce: pod nimi szare dachy sąsiednich bloków. Marzę o jednym – pozwólcie mi teraz zamknąć oczy i głęboko pooddychać zimnym powietrzem. Przez godzinę.

– Przeceniasz mnie, Kurt, ale ja też jestem trup – powoli cedzę słowa. – Umówmy się. Nie było tej rozmowy. A ty poszukasz sobie...

Przerywa mi bezlitośnie. Po tonie poznaję, że zastawił dobrą pułapkę, że tkwię w niej po uszy.

– Mam przed sobą stoper – mówi zimno. – Gadamy dwie minuty i jedenaście sekund. Jesteś znakomicie poukładany, Max. Nie jęczysz, nie wykręcasz się, znajdujesz na poczekaniu odpowiednie słowa. Rildenstern, kiedy go dopadłem, tylko coś zabulgotał i wyłączył bloxa. Ty nie umierasz, nic z tego. Ubieraj się!

Walnąłem pięścią w łóżko, aż zajęczały sprężyny. Ostrożnie, głowa!

– Podprowadziłeś mnie, sukinsynu – wołam do czarnej gałki wpiętej w bluzę. – Podprowadziłeś mnie, ale i tak...

– Nie powiedziałem najważniejszego, Max. Zgodnie z procedurą rejestruję rozmowę. Tym razem nie oszczędzam taśmy.

Taki jest Kurt Eckart. Grzeczny, elegancki, koleżeński. Podobno ludzie go onieśmielają, nie umie podnosić głosu, kłócić się. Wziął tę robotę, bo nie mógł znaleźć innej, ale nie łazi z nami po mieście, bo nie ma siły przebicia. I wykonuje swoje, jak może najlepiej.

– Niech ci będzie, zapamiętam to – mówię. – Więc daj mi moje regulaminowe pięć minut. Napiję się czegoś zimnego, pokażesz faceta i powiesz, co jest grane. Potem

GOR

Maciej Parowski

go dopadnę, wyrwę mu wszystkie kończyny i wyślę całą piątkę na adres klienta.

– Dobra, dobra!

– A ty, do diabła, wyjaśnij jeszcze, skąd ten pośpiech?

– Mam inny pomysł. Wszystkie dane wyświetlę ci w wozie. Teraz weź prysznic – Kurt jest przyjacielski i odprężony. – Wyjeżdżasz w stronę Weinberg Strasse, skręcasz w most dworcowy i zatrzymujesz się na Bahnhof Quai. W drodze poznasz szczegóły i dalej sam decydujesz.

Przytakuję bloxowi z wdzięcznością. Wstaję i ostrożnie, żeby nie podrażnić żadnego nerwu, idę w stronę łazienki. Prysznic to jest pomysł najlepszy ze wszystkich. A po nim szklanka toniku.

– Dwa słowa – brzęczy blox.

– Co jest? – pytam bluzy.

– Zaraz tamto skasuję, przepraszam Max. Dużo chłopców poszło już w miasto. Jest coś takiego w powietrzu. Naprawdę nie miałem wolnego człowieka.

Cały Kurt Eckart. Zrobi swoje, a potem wykona jeden drobny gest. On po prostu lubi uchodzić za równego faceta. Kiedyś się na tym ostro przejedzie.

W garażu ręce wcale mi się nie trzęsły. Drogi wyjazdowe z osiedla były wyczyszczone i wysypane jak należy, dopiero na autostradzie przednie koła zaczęły skakać na muldach, a kierownica trzepnęła mi parę razy w dłoniach, jak ranny ptak. Widać drogowcy z Wipkingen znowu zalali pałki i ich żółte traktorki nie wyjechały na drogi.

Nie powinienem jeździć do śródmieścia i tresować nieznanego szczeniaka. Należało zawrócić do Wipkingen i pogadać z szefem drogowców. Na przykład strzelić go w nalany pysk i podbić mu jego podkrążone, przekrwione oczka. Tylko skąd pewność, że facet pił tej nocy? Gdyby nie pił, droga byłaby równa jak stół, a dziesiątki muld nie odbijałyby się drganiem kół i seriami nieprzyjemnych wstrząsów w mojej głowie.

– Max, podaję rysopis – mówi Kurt z aparatury – włącz tele.

– Miło cię słyszeć. Nareszcie przestałeś charczeć jak zarzynany. Stereo dodaje ci wdzięku.

Nie odpowiada. Na ekraniku, przy biegach, zjawia się chłopięca twarz. Zdjęcie do kenkarty. Ryże włosy, piegi, wargi ułożone nierówno, jak do uśmiechu. Ciemne, piwne oczy patrzą na świat prosto i szczerze. Gówniarz!

– I cóż on zrobił? Dotarł do twierdzy George'a Gordona i wysadził całą górę w powietrze? Pociąć go za to i zasolić, czy wystarczy, jak przestrzelę mu brzuch?

– To się rejestruje, Max!

– Ale potem kasuje.

Dojeżdżam do wielopasmowego skrzyżowania Buchegg z Nord Strasse. Już kilka kilometrów wcześniej widać królujący nad wszystkim, wysoki na parenaście pięter, żywy plakat reklamowy Biura Turystycznego BONESTELL. Nad dziewiczym księżycowym krajobrazem, na granatowoczarnym niebie, obok białej kuli z poświatą imitującej słońce zapalają się i gasną czerwone literki. BIENVENUS A LA LUNE XXX PRIX BAS XXX TARFIF REDUIT POUR LES JEUNES MARIES. ZAPRASZAMY NA KSIĘŻYC. PRZYSTĘPNE CENY, ZNIŻKA DLA NOWOŻEŃCÓW. Zapala się to na przemian. Po francusku, po naszemu. Potem jeszcze po włosku i po angielsku. Zwłaszcza ten angielski i w dodatku Księżyc... Zawsze kiedy tędy przejeżdżam, krew uderza mi do głowy. Cholerne międzynarodowe komisje wzięły nas za twarz i robią, co chcą. Ale teorie wymyślili ładną – międzynarodowa wspólnota ruchu turystycznego. Żeby choć prawdą było to, co powtarzano nam na szkoleniach, że George Gordon skończy z reklamowaniem Księżyca i Lunatyków, kiedy tylko wyjdziemy w gospodarce na prostą. Kurczę, kiedy to będzie!

Znowu słyszę głos Kurta.

– Zapamiętałeś szczeniaka?

– To piwniak. I fliker. Ale nie wygląda na takiego, co wysługuje się Lunatykom.

– Bo się nie wysługuje. Drugie pokolenie w naszej strefie. Był konkurs na młodego kasjera w Schweizerische Volksbank. Chłopak tam wystartował...

– Schweizerische Volksbank? Jeszcze nie zbankrutował?

– Balansują na krawędzi. Chłopak naplótł im coś i narozrabiał. Zachował się w czasie tego konkursu jak pijany i dyrektor zadzwonił do nas. Chcą szczawia pouczyć. Jean Marc Lovay, tak się nazywa. Ten chłopak, nie dyrektor.

Zerkam na ekranik. Szczeniak zniknął.

– Pokaż gnoja jeszcze raz – mówię.

Kurt znowu wyświetla uśmiechniętego piwniaka. Jean Marc Lovay ma na zdjęciu nie więcej jak dwadzieścia dwa, trzy lata. Rok w naszej strefie? Swoją drogą, czemu nie zmienił swego flikerskiego nazwiska na jakieś inne.

– A tak konkretnie, to co on zrobił?

– Zajrzę do raportu. Poczekaj... Śmiał się. Zionął wódą. Gadał bez sensu. Śpiewał. Powtarzał bankowe formuły: procent składany, hipoteka, akcje, transfer, bottom line.

– Bottom line, co to takiego?

– A skąd mam wiedzieć?! Czekaj... Powiedział, że dyrektor banku jest wielką kolorową żabą w ciąży i że on... jest, on fruwa w powietrzu i musi uważać, żeby mu nie zleciał but z nogi i nie rozwalił temu dyrektorowi gęby. Zrozumiałeś?

– Dobre. Chcesz mi wmówić, że dyrektor osobiście prowadził konkurs na młodszego kasjera?

– Nie męcz mnie, Max. Może kierownik wydziału. Nie przyjmowałem tego zlecenia. Przejąłem nagraną sprawę. Zobaczę, co jest jeszcze.

Przed Schaffhaser Platz stali już chłopcy z radarem. Jeden z policjantów uradowany wylazł na jezdnię z lizakiem, ale włączyłem Elektroniczny Identyfikator Służb i w ich aparaturze rozległ się sygnał EIS. Szeregowiec cofnął się, za szybą mignęła jego wściekła gęba, fioletowa z zimna. Mandat za przekroczenie prędkości przeleciał mu koło nosa.

Kurt Eckert szeleści papierami i milczy.

– Zasnąłeś? Zjeżdżam już na Weinberg i nadal nic nie wiem. Mało mamy na tego Jean Marca.

– Jest najważniejsze – krzyczy. – Nazwał George'a Gordona, nazwał Gordona... cholera. Nie zanotowali! Mówił coś na Gordona, ale nie wiem co. Czekaj. Wszedł na ten konkurs z papierosem w gębie. Palił cały czas. Kiedy zwrócili mu uwagę... Wszystko w porządku, o co chodzi, nie oddam mojego kochanego papieroska... Tak powiedział.

Pytam, czy to rzeczywiście już wszystko, ale Kurt znowu nabiera wody w usta.

Z góry po prawej widać zbliżający się dworzec Zurich. Trochę przed nim zameczek Muzeum Ludowego. Nad dworcem i zameczkiem unosi się wielki, jeszcze większy niż przed Nordstrasse kolejny plakat Bonestella: WITAMY NA ZIEMI. BONJOUR SUR LA TERRE... Migocą czerwone literki układające się na przemian w napis w każdym z czterech języków. Niżej, pod literkami – Alpy, chłop z kijem w dłoni, krowa z olbrzymim dzwonkiem na karku i trochę świerczków. Alpy są zaśnieżone jak na dziecinnym obrazku. Wszystko w bladofioletowej tonacji. Dokładnie taki obrazek, tyle że stokrotnie mniejszy, oglądałem w dzieciństwie na tabliczkach mlecznej czekolady. Nie miałem tej czekolady w ustach ładnych parę lat. Plakat jest wielki, zasłania połowę panoramy Zurichu. Krowa macha ogonem i kręci głową, chłop podnosi i opuszcza kij. Dzwon podryguje. Reszta jest nieruchoma.

Zastanawiam się nad tym wszystkim tylko przez chwilę.

– Maryha! – strzelam.

– Co ty gadasz? – pyta Kurt.

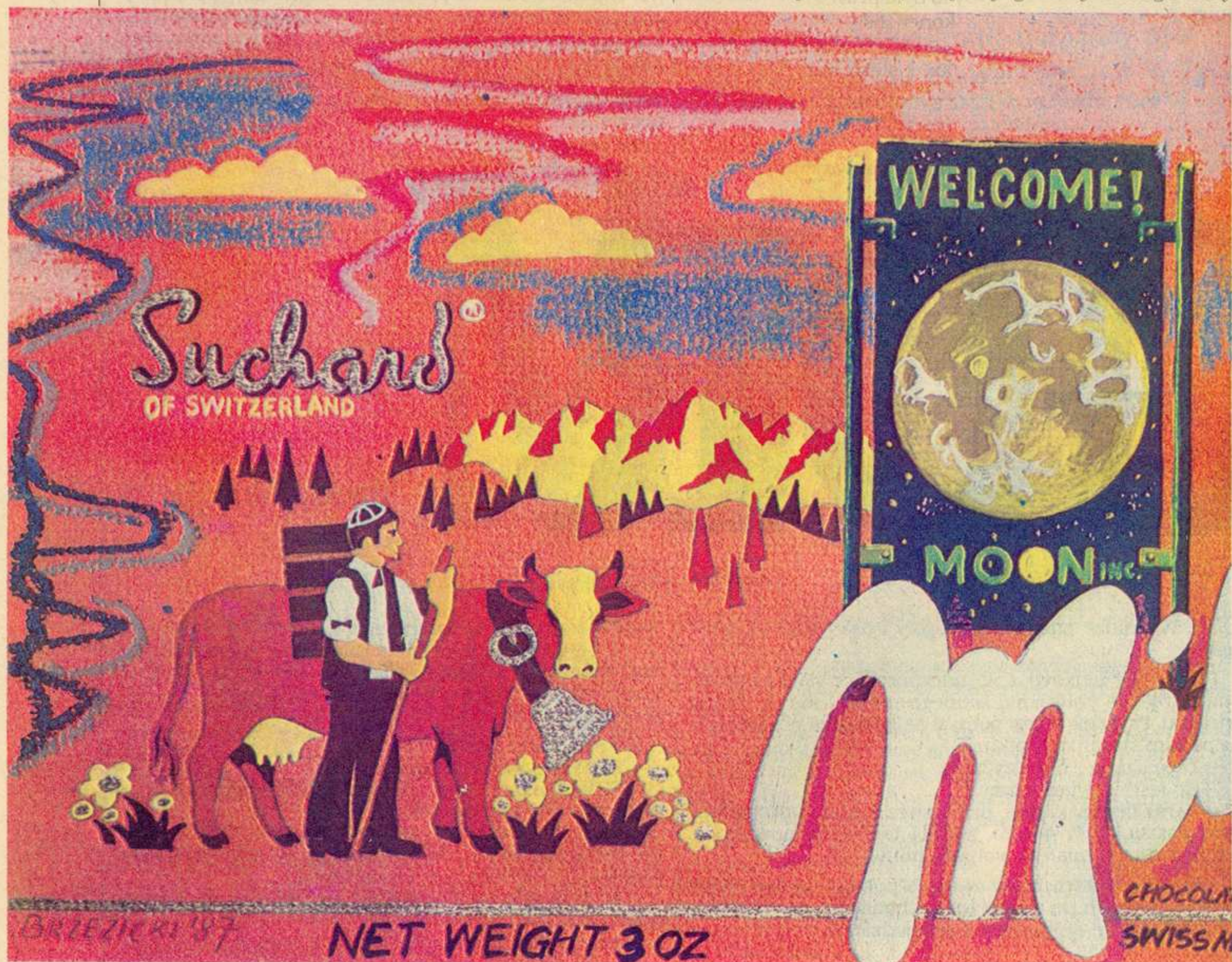
– No, gancia. Marihuana. Wzmocniona marihuana. Bardzo szybko to kupił.

– Też coś takiego chodziło mi po głowie. Masz rację, Max. W dodatku ten papieros. Od razu czułem, że to nie może być wódka. Gadanie. Jeśli wiedział od razu, czemu słowa nie pisnął.

Przepuściłem na zakręcie dwa fiaty. Niech gnają, jeśli muszą. W powietrze poszły bryzgi wody i śniegu. Przy ostrym zjeździe w dół trochę zakręciło mi się w żołądku. Zatrzymałem się tuż za mostem po południowej stronie i przez szybę patrzyłem na płynący powoli Limat. Potem odwróciłem głowę. Mnóstwo ludzi tłoczyło się przed dworcem. Sporo było długich, niezdarnych Lunatyków. Przed nimi maszerowali mężczyźni – niscy, pękaci, gorzej ubrani. Nieśli w dłoniach torby i walizki albo pchali je przed sobą na małych wózkach. Nasi tragarze. Na to akurat nie chciałem patrzeć. Spojrzałem z powrotem na Limat. W dole sunęła bura struga pokryta pianą, niosąc kawałki lodu i śniegu. Dalej szare, brudne nadbrzeża, nie lepsze mosty, wieże Grossmünster i Fraumünster. Nad wszystkim unosiła się półokrągła kopuła obserwatorium. Żadnego plakatu Bonestella. Dobrze, że przynajmniej tutaj go nie wpuścili.

I tak to wyglądało. Dokładnie. Łamigłówka przezroczysta jak szkło: szczeniak, ten Jean Marc, ze strachu przed egzaminami sięga po dopalacz. Traf chce, że przedawkowuje, więc zaczyna bredzić. Tych w banku zrazu zatyka, więc pozwalają mu wyjść. Potem pomniejsza gnida z ambicjami odwrotnie proporcjonalnymi do znaczenia, czuje gwałtowną urazę i postanawia gówniarza skarcić. Moimi rękami. Należy w tym celu zamówić interwencję w mildgorlager, zerwać pierwszego wolnego mildgora z łoża boleści i doprowadzić go na miejsce zbrodni. Zanim mildgor wstanie, otrząśnie się i dojedzie, jest już tak wściekły, że mógłby pożreć człowieka żywcem.

– To było piętnaście przed dziesiątą, Max. Uwiniesz się, to trafisz go koło banku na mieście. Jak nie pójdziesz na adres domowy. Klient życzy sobie express. Jeśli zdążysz przed dwunastą, leci premia.



Andrzej Brzezicki

nich musiałbym osobiście przyłożyć, żeby to się zmieniło?

– Ty wierzysz, że chłopak powiedział coś na Gordona? – pytam. – Wierzysz, że gdyby to była prawda, bankowcy wymieniliby taki zarzut na końcu listy? Nie zaczęliby właśnie od tego?

– Powiedzieć ci szczerze, Max? – stęka Kurt. I nie kończy.

– Według mnie nie mogą mu darować tej kolorowej żaby. O to im idzie.

Zamiast potwierdzenia słyszę ciężkie westchnienie. W dole płynie brudny Limat. W ogóle jest szaro. Lunatycy panoszą się przed dworcem. Głowa mnie boli. Szlag by to trafił.

– Też tak myślę – odzywa się w końcu. – I dlatego – Kurt raptem zmienia ton na bardziej stanowczy – ja tylko przejąłem zlecenie, Max... Ale za to leci już przelew... – urywa. – Przecież dlatego nalegałem, żebyś ty to załatwił, a nie Rildenstern – kończy błagalnie.

Tak to wyglądało. Dokładnie. Im jesteś łagodniejszy, poczciwszy, tym więcej zwalą ci na głowę i plecy. Całkiem rozsądna zasada. Świat byłby już zupełnie nie do zniesienia, gdyby jego biegu doglądały same kanalie.

Mógł zrobić jedną z kilku rzeczy. Poszedł w stronę jeziora prosto Bahnhof Strasse albo ruszył w kierunku dworca. Jeśli tak, to znaczy, że idzie w moją stronę albo dawno mnie minął. Mógł sprzed banku, z Parade Platz, wejść w Post Strasse, zajrzeć do Fraumünster i przyklęknąć przed witrażem Chagalla, by przeprosić Boga za swoją głupotę. Powiedzmy, że do flikera było to nawet podobne.

Nazywał się Jean Marc Lovay i ciężko obraził urzędnika Schweizerische Volksbank. Kilka minut przed wejściem zapalił skręta, wszedł na egzamin, narozrabiał, a potem obijając się od klientów po prostu wyszedł. W drzwiach banku, od razu na trotuarze, stwierdził, że przechodnie, ulica i witryny, wykopyrtnęli mu się na głowę. Działanie maryhy ustawało, psychika przestała tańczyć jak małpa na linie, miał przed sobą świat, z którego wyciekają kolory. Czas jakiś bujał się na krawędzi obu światów.

To musiało być jak przebudzenie po ciosie. Po słodkim ciosie zadanym puchową rękawicą. Albo raczej jak przebudzenie od ciosu. Poprawię mu z drugiej strony i zapamięta do końca życia, że nasze banki, nawet teraz, gdy Lunatycy przechwycili niemal wszystko, co było do przechwycenia, są poważną instytucją, z którą trzeba się liczyć. A używania marihuany zakazano. Stanął w drzwiach banku i pomyślał – co ja narobiłem! A potem jeszcze – jak mi się cholernie chce pić!

Niezły trop. Cała reszta może być równie dobrze bredzeniem. Mógł przecież pójść tam dla jaj. Mógł przygotowywać sobie skręta po raz setny i dokładnie wiedział, co go czeka. Ale nie, do diabła, z tego, co widziałem, nie wyglądał na nałogowca. Ani na takiego, co rozrabia dla samej rozróby. Ani na hipa czy pucuna. Raczej nie. Wyglądał jak rasowy mobo. Natomiast to z pragnieniem było dobre. Jak mi się cholernie chce pić... I co dalej? Nie pobiegł przecież gasić pragnienia w Limacie. Ani w jeziorze. Nie pomógł sobie brudnym, zdeptanym śniegiem. Pozostawały kafejki.

Nie było go w pierwszych dwu lokalach. W dwu następnych także. Odbijałem się od ścian ulicy jak kulka w fliperze. Wszędzie stoliki, dym, lustra, mężczyźni i pokuśliwe światełka przy barkach pełnych kolorowych butelek. Najbardziej rzucały się w oczy wysokie choinki z różnobarwnymi migocącymi żarówkami. Przy stolikach siedziały kobiety z papierosami w dłoniach, nadęte, czujne, znakomicie zrobione, zupełnie niepodobne do kobiet wystających w kolejkach do marketów. To do tych kobiet przysiadali się dłudzy, wytworni, spoceni i zasapani Lu- żałowałem, że nie zaglądam tu dla nich.

Na wysokości Urania Strasse coś mnie tknęło. Skręciłem w prawo. Jest tam taki mały przytulny barek. Gdybym był Jeanem Markiem Lovayem, właśnie tam bym przycupnął.

I tam by mnie dopadli.

Siedział na wysokim barowym stołku, przy marmurowym szynkwasie, z pełną szklanką. Gapił się na lustro po drugiej stronie. Od razu w wejściu mignęła mi jego nieprzyzwoicie ruda pałka. Po paru krokach spostrzegłem, że jego twarz jest dokładnie taka jak na zdjęciu – młodzieńcza, wręcz dziecinna. Jean Marc miał zaczerwienione, nieco szkliste oczy i wpatrywał się w lustro z niemym pytaniem. Jego odbicie uparcie milczało nie udzielając mu żadnych wyjaśnień. Chcąc nie chcąc musiałem przyłączyć się do towarzystwa tych dwóch mruków.

To żadna filozofia. Zaciska się dłoń w pięść i wali faceta w dowolny punkt pleców poniżej łopatek. Prawie nikt tego nie zauważa. Ludzie myślą, że facet przekroczył miarę i po prostu spadł. On sam sądzi, że szarpnął mu się w plecach jakiś cholerny nerw.

Spojrzał na mnie z podłogi z bezdennym smutkiem. Usta miał teraz otwarte, z trudem łapał oddech. Wypisz, wymaluj, świąteczny karp. Nie próbował nawet wstawać, tylko rzucał głową w lewo i prawo, jakby chciał czemuś zaprzeczyć. Pochyliłem się nad nim i zawołałem wesoło:

– Witaj Jean Marc, co porabiasz?

Od strony szatni wychylił się wykidajło. Widziałem go kątem oka. Na dźwięk mojego powitania zatrzymał się. Mrugnąłem i przytknąłem dwa złożone palce do skroni. Wrócił na swoje miejsce.

– Wiem, przysłali pana z banku – wykrztusił Jean Marc. – Ale ja nic nie rozumiem. – Podciągnął prawą nogę i chwycił słupek od krzesła. – To nie miało być tak. To nie ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Zabolało go chyba kolano. Jęknął. Puścił słupek i opadł z powrotem na siedzenie. Wziąłem go pod pachy i uniosłem.

– Co to znaczy, nie ja! Może to ja narozrabiałem?

– Nie, dziękuję panu. – Stęknął, otrzepując spodnie. – Poczęstowano mnie tym papierosem. Camele w firmowym opakowaniu... Ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby mnie...

O takiej możliwości nie pomyślałem.

– Co on pije? – spytałem barmana, wskazując na szklaneczkę Lovaya. – Bierz to, idź do stolika i zaczekaj na mnie – rozkazałem chłopakowi.

– Tonic z małym ginem – powiedział barman.

– Dobrze, idę – szepnął Jean Marc.

– Dla mnie to samo – zawołałem.

Barman błyskawicznie podał mi pełną szklankę. Była prawie tak zimna jak powietrze za oknem. On sam miał bardzo dumny wyraz twarzy. Można było pomyśleć, że przed trzydziestoma minutami osobiście wydał zlecenie i naprowadził mnie na Jean Marca.

– Dla pana gratis. Na koszt firmy – oświadczył.

– Podwójne orzechowe z kremem – zamówił gość obok.

– Chwila – powiedział barman, ale nie odrywał ode mnie porozumiewawczego spojrzenia.

Już nie patrzyłem na jego twarz. Patrzyłem na jego plecy. Niezły pomysł z tym lustrem. Barman splótł ręce za sobą, odbity w lustrze wskazujący palec jego dłoni wymierzony był w głąb sali, która także odbijała się w lustrze. Wszystko widziałem, a uszy także mam niezłe. Widząc, że zrozumiałem, o co chodzi, barman parsknął krótko i przykucnął przy lodówce. W głębi sali długi, cienki jak świeczka z choinki Lunatyk pochylał się nad Lovayem wskazując ręką na bar.

– Do you speak english? – spytał chłopaka.

– Nie!

– Parlez vous français? – zapytał ponownie mężczyzna i tym razem trafił.

– Oui – raczej przytaknął niż powiedział Jean Marc.

Lunatyk pochylił się jeszcze bardziej i pośpiesznie wyrzucił z siebie źle akcentowaną francuszczyzną.

– C'est ce monsieur avec qui vous avez parle... C'est lui qui vous a frappé... Il faut appeler la police. Je peux...

– Mon dieu – cichutko krzyknął Jean Marc – bardzo pana proszę... Alez vous-en! Tout est bien!

– Tout est bien? – powtórzył z niedowierzaniem Lunatyk.

Pociągnąłem zdrowy łyk i ze szklaneczką w dłoni ruszyłem w ich stronę. Nieźle ubrana, zgrabna kobieta o ciemnych włosach i kurewskiej twarzy złapała gadatliwego Lunatyka za dłoń i próbowała odciągnąć go na bok. Spojrzałem nań z bliska, z metra, z półtora metra. Widziałem jego spoconą, niemal białą skórę, obciągającą długie kruche kości. Oddychał ciężko, no cóż, dźwigał ciężar sześć razy większy niż u siebie na Księżycu. Śmierdziało odeń potem i jakąś drogą wodą kolońską. Włosy lepiły mu się do wydłużonej czaszki. Patrzył na mnie nieco z góry.

– Obcokrajowcy won stąd – wrzasnąłem po niemiecku, patrząc prosto w jego wyblakłe oczy. – Gnida z Księżyca nie będzie przeszkadzać, kiedy dwaj szwajcarscy obywatele zechcą ze sobą porozmawiać w swoim kraju!

Aż się zatrząsł. Tak w sobie, w środku. Twarz pobladła mu jeszcze bardziej.

– Paszoł won – powtórzyłem spoglądając na szklaneczkę i na niego, jakbym się zastanawiał, czy rzucić mu w twarz szkłem, czy tylko chlusnąć zawartością.

– Pedro, go! – krzyknęła kobieta, szarpnęła dłonią Lunatyka aż się zachwiał i zrobiła krok w stronę wyjścia.

Jean Marc jęknął spłoszony, wstał i błagalnie dotknął mej dłoni.

– Vous ne comprenez rien – powiedział zwracając się do swego niewydarzonego obrońcy. – Alez vous en! Bardzo pana proszę. Pardon!

Wysoki mężczyzna coś zabełkotał. Dziamgaj ile chcesz. To wasza wina! Gdyby nie Lunatycy, nasi bankierzy nie staliby się drażliwi i delikatni jak mimozy, a tacy jak ja nie musieliby wykonywać różnych durnych poleceń.

– Zjeżdżajcie stąd, ale już! – krzyknąłem.

Szedł w naszą stronę wykidajło z damskim futerkiem i długim męskim płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Szef lokalu zaprasza państwa o innej porze. Bardzo dziękujemy. Polecamy się.

Lunatyk wyszarpnął z jego rąk swój szynel. Dobrą chwilę mełł wargami, aż wreszcie znalazł właściwe słowa.

– Moja stopy nigdzie tu nie postawić – syknął wściekle łamaną, księżycową, niemczyzną. – Ta duża skandal. I pohańbiona...

– Państwa numerki proszę – upomniał się wykidajło.

– Przychodziliśmy tu nigdy nie jestem – rozpędzał się Lunatyk wymachując rękami. – I moja kolega mówię. Wszistka mówię.

– Rozumiem, przebolejemy to – zimno rzekł wykidajło.

Podawał już kobiecie futerko i delikatnie, ale stanowczo począł przesuwać oboje ku drzwiom. Towarzyszyłem im krok w krok. To był kompletny pogrom. Złość zupełnie ze mnie wyciekła.

– Ja pamiętać oblicze pana. Pan nie ma u mnie życia na Luna – koncertował Lunatyk szamocząc się z guzikami. – Ta planeta... ta gwiazda... ta satelita – poprawiał się – ta prawdziwa demokracja od dziś n'egzistez pas pour vous – urwał, głęboko zaczerpnął powietrza, po czym pisnął: – faszystowcy!

– Spadaj! – rzekł wykidajło i na pożegnanie pchnął za tą parą automatyczne drzwi. W mechanizmie coś puściło i drzwi zamknęły się z trzaskiem. – Merdam na pański raj, rozumiesz pan!

nie było w zachowaniu szatniarza szczerej pasji, a nie zgrywy przede mną, tego się nigdy nie wie na pewno. Tak czy inaczej uśmiechnąłem się doń i dotknąłem palcami do skroni.

– Strasznie się już panoszą – powiedziałem. – Myślą, że wszystko im wolno.

Machnął dłonią, że nie ma sprawy.

– Pański drugi klient – mruknął ostrzegawczo. – Niedobrze się czuje.

Poszedłem za wzrokiem wykidajły. Jean Marc siedział i dygotał nad szklaneczką wstrząsany falami bezgłośnego śmiechu! Wzbudzał tym małą towarzyską sensację. Parę szybkich kroków i byłem przy nim. Goście pospiesznie odwrócili głowy. Położyłem dłoń na ramieniu i potrząsnąłem nim kilka razy.

– Jeszcze nie skończyliśmy. To tylko tobie tak się zdawało.

Podniósł rozjaśnioną twarz. Znowu zajrzał w inny czas, w inną przestrzeń. Patrzył mi w oczy. Dziwiła go moja obecność.

– To. Się. Na chwilę. Cofnęło. – Powoli zestawiał słowa, jakby grał nimi w domino. – Byli tacy śmieszni. Bardzo kolorowi. Czego chcieli?

Klapnąłem obok i pociągnąłem ostro ze szklanki.

– Powiedz jeszcze, że i ja jestem kolorową żabą, a rozbiję ci twarz i wszystko sobie przypomnisz.

Usta rozciągnęły mu się od ucha do ucha.

– Jest pan – podchwycił skwapliwie – jest pan... – powtórzył. Zmiana dokonała się nagle. Twarz mu się skurczyła, w oczach pojawiła się panika. – Ci z banku... Pan jest od nich. Ale ja nie chciałem.

– Oprzytomniałeś już?

Kiwnął głową.

– Skończyło się. O, jak tu szaro – zauważył ze smutkiem.

– Któryś z tych bankierów ci to podsunął? Przedtem podpadłeś im jakoś?

Energicznie pokręcił głową. Był to gest przeczenia, ale jednocześnie próba doprowadzenia się do przytomności.

– Nie, nie... tam, w poczekalni był szczupły chłopak, no... mężczyzna z wąsikami. W kraciastej marynarce. Też na egzamin. Mówił, że mu wszystko jedno, czy się dostanie czy nie.

– I on cię poczęstował?

Jean Marc Lovay westchnął.

– On. Ale dlaczego?

– Może wcale nie było mu wszystko jedno.

Lina, na której rozkołysała się jego psychika, musiała znów drgnąć. Spojrzał na mnie, patrząc gdzieś poza mnie.

– To tak, jakby ziemia uciekała człowiekowi spod nóg – wyznał z rozmarzeniem. – W ogóle wszystko uciekało. Fruwałem. Nie mogłem o niczym myśleć dłużej, bo to znikało. A potem wracało. Myśli, każda osobna. Fru, fru – machnął dłonią w powietrzu. – I nie mogłem uchwycić jej, póki sama nie przyszła...

– Wiem.

– Pan wie? – ocknął się. – Wie pan. No tak. Najpierw mnie to przeraziło. A potem zrobiło się jakoś...

– Wszystko jedno. Zaczęło cię to bawić.

– I wtedy wyszedł referent i powiedział: Pan Jean Marc Lovay, prosimy. Chryste! I był taki gruby, i taki śmieszny, i taki dystyngowany....

A więc referent! Zaledwie. Od paru chwil myślałem, że nie mamy zbyt wiele czasu. Ale trochę jeszcze zostało.

– Poznałbyś go? – przerwałem opowieść chłopaka.

– Tego referenta?

– Na razie nie. Tego sukinsyna, który zrobił ci kawał.

– Pewnie.

– To wstawaj. Może jeszcze go złapię.

Jean Marc Lovay chwycił obiema rękami za blat.

– Nigdzie nie idę. Nie chcę. Proszę... Zrobiłem tam z siebie idiotę.

– Tylko mi go pokażesz. Mam cię siłą zaciągnąć?

Złożył ręce jak do modlitwy.

– Po tym co im nagadałem? Ja się wsty... Był w kolejce po mnie. Przedzielały nas jeszcze dwie kobiety. Opiszę go panu.

– Jedyny człowiek w tym wieku? Jedyny młody męż-

łem, z góry znając odpowiedź.

Opuścił głowę.

– No nie, było tam paru.

Czy chciałbym mieć takiego syna? Takiego nie. Ale nie chciałbym być w skórze tego, który memu, nawet nieudanemu synowi, wyciąłby podobny numer.

– Dobrze, nie pójdziemy do banku – powiedziałem – zrobimy mu portret pamięciowy u mnie w wozie. Tylko pospiesz się i wysil mózgownicę.

Zupełnie nie dbał o tę swoją mózgownicę. Nie zważając na mróz szedł z odkrytą głową, a wiatr rozwiewał mu rude włosy. Szedł wyprostowany, sprężysty, na szczupłych, długich nogach. Nie wytrzymałbym w jego króciutkiej kurtce nawet godziny, a tak ubierała się większość jego rówieśników. To sprawa wieku. I mody. Rozrzutnie pozbywają się ciepła, którego kiedyś zacznie im brakować.

Sprawnie wsiadł do wozu. Rozejrzał się łapczywie, dostrzegł aparaturę i oczy rozszerzyły mu się w szczenięcym zachwycie. Włączyłem PPAF, na ekraniku przy biegach ukazała się standardowa maska małpoluda. Portret Pamięciowy Animacja Foniczna.

– Zaczynamy. Co trzeba zmienić w tej twarzy, żeby zaczęła przypominać tamtego dowcipasa? Oczy, broda, policzki, wąsy, włosy... Tylko mów wyraźnie – ostrzegłem go.

Poprawił się na siedzeniu, a potem pochylił i dotknął ekranu.

– Kurczę, model foniczny. Nie wiedziałem, że macie coś takiego.

– Myślałeś, że to gra tylko w filmach? Mamy wiele różnych rzeczy. Zaczynaj!

Strasznie się pieścił. Gadał i gadał. Był jak rysownicy spod Grosmünster i z przystani nad jeziorem, którzy latem robią ołówkowe portrety Lunatykom i innym turystom. Po prostu nie mógł skończyć. Jeszcze kreseczka. I jeszcze. Może jeszcze jedna? A teraz proszę. Nie. A może jeszcze jedno muśnięcie? Upajał się tym. Samą linię brwi poprawiał kilkunastoma poleceniami. Na zakończenie czepił się wąsów. Widziałem tego faceta już zupełnie wyraźnie, ale Jean Marc postanowił zmienić coś w jego nosie.

– Nos milimetr krótszy – powiedział. – Od strony nasady – dodał. – Nie! Pół milimetra.

– Starczy, nie jesteśmy w Künsthausie – warknąłem. – Ani nie wyrabiamy mu kenkarty.

Patrzył na swoje dzieło jak urzeczony. Z niechęcią odrywał się od aparatury.

– Może być – oznajmił w końcu. – Ale gdyby mi pan dał trochę czasu...

– Dałem ci znacznie więcej. Nie rozbiłem ci gęby.

– Wiem, miał pan prawo – szepnął zakłopotany. – Dziekuję. – Wyglądało, że zbiera się, żeby wyjść z wozu.

Zatrzymałem go.

– Zadzwonisz do banku – powiedziałem surowo. Jeszcze dziś przed piętnastą. Linia wizyjna. I przeprosisz ich.

Spojrzał przestraszony.

– Błagam, ja...

– Nie skończyłem. Na twarzy będziesz miał przyklejony plaster. Nie – przerwałem i wbiłem mu palec w pierś – dwa plastry. Jeden na czole, drugi na policzku. Powiesz, że rozumiesz swój błąd, że przepraszasz... A później, uważaj, dopiero p ó ź n i e j opowiesz historyjkę o papierosie. Wtedy może przyjmą cię na tego kasjera, a przynajmniej pozwolą powtórnie zdawać.

– Kiedy ja już nie chcę!

– Zdawać nie musisz. Ale oni muszą zobaczyć pokaleczoną gębę Jeana Marca Lovaya... Napchaj pod te plastry trochę waty, żeby wyglądało na opuchliznę. Jutro cię sprawdzę. Mam twój adres domowy.

– Dziękuję, zrobię to – przerwał skwapliwie. – Kupuję plaster i dzwonię do nich. Dziękuję... A co pan zrobi z nim? – pokazał ekranik.

– Obejrzę go sobie. A przy okazji sprawdzę i ciebie. Pilnuj się lepiej, Lovay. Następnym razem możesz mieć mniej szczęścia. Z twoim flikerskim nazwiskiem powinieneś tak czy owak uważać.

Żachnął się.

– Jestem tak samo dobrym Szwajcarem jak pan – pisnął – jestem...

... Fala zimnego powietrza uderzyła mnie w twarz.

– Spylaj stąd, Szwajcarze, ale już – powiedziałem szorstko. – Żebym cię więcej na oczy nie widział.

Poczerwieniał. Wysiadł w milczeniu i poczłapał na swoich długich nogach. Wydały mi się mniej sprężyste niż przed kwadransem. Plecy miał zgarbione. Szedł wolniutko. Odwróć się, pomyślałem, odwróć się choć na chwilę. Daj mi szansę. Nie przeszedł dwudziestu kroków i odwrócił głowę. Zbliżyłem twarz do szyby, uśmiechnąłem się krzywo, przeciągnąłem palcami po czole i policzkach tak silnie, że chyba porobiły mi się pręgi. Plaster – powiedziałem bezgłośnie samymi wargami – nie zapomnij plastra. I pogroziłem mu pięścią.

Otrząsnął się, jakby zgubił wielki ciężar. Tak jest, nie zapomni. Absolutnie. Pokazywał mi to grymasem twarzy, dłońmi, całym ciałem. W końcu zasalutował do rudej czupryny i sprężysty, wyprostowany wmieszał się w tłum przed dworcem.

– No, musisz przyznać, że się nie przemęczyłeś – odzywa się Kurt z aparatury. – Ładnie ci poszło.

Trochę mnie zatyka. To tak zawsze, kiedy człowiek nadto wczuwa się w rolę.

– Zupełnie o was zapomniałem – wyrzucam ze zdrewniałego gardła. – Słuchałeś cały czas, czy włączyłeś się dopiero przed chwilą?

– Od plastra. Z tego zrobił się twój stały numer, Max.

– Chrzanisz! Alfonsa przed tygodniem napieprzyłem naprawdę.

– Dlatego dałem ci tego Lovaya. Możesz teraz wrócić do domu. Zrobię wszystko, żeby nikt nie budził cię przez trzy godziny.

Kurt wcześniej czy później, zawsze wymyśli coś takiego, co mnie doprowadzi do szału.

– Chyba udajesz głupiego. Został mi przecież palancik, który wcisnął gówniarzowi maryhę. Myślisz, że mu przepuszczę?

– Jak chcesz, ale to będzie już prywatna sprawa.

– Prywatna sprawa? To ja demoluję chłopakowi gębę...

Nie mówi nic, tylko chrząka znacząco.

– Zamknij się. Ja tłukę chłopaka, a kiedy pojawia się prawdziwy winowajca, odsyłasz mnie do domu? To nie jest prywatna sprawa. Możesz ją swobodnie dopisać do bankowego rachunku Volksbanku. Od tego nie zbankrutują...

– Dopiszę. Ale... – Czuję, że Kurt coś ukrywa i nie mylę się. – Prawdę mówiąc, włączyłem nasłuch wcześniej, kiedy łuskaliście faceta na PPAF – wyjaśnia niepewnie. – Gdybyś pytał, mógłbym powiedzieć jego nazwisko. Ale ty mnie nie pytasz, prawda, Max?

– Chrzanię jego nazwisko. Bez łaski. I anonimowo obrobię go na cacy.

– Tego nie radzę.

– Dlaczego?

– Dlatego. I dobrze pamiętaj, co ci powiedziałem.

– A co powiedziałeś?

– Absolutnie nic – mówi Kurt.

Gdy zjawiłem się na Parade Platz, akurat wychodził. Stojąc w drzwiach banku dopinał kożuszek, pod którym miał kraciastą marynarkę. Wyglądał na zadowolonego i rozbawionego, przygładzał lewą dłonią mały wąsik, a prawą wkładał czapkę. Dosyć długo zabawił w tym banku. Rysy twarzy widziałem nieco gorzej, ale to na pewno był on. Po namyśle skręcił w lewo, szedł wprost na mnie wolnym, nieco rozkołysanym krokiem. Miał może pięć lat więcej niż Lovay. Patrzył na przechodniów niewidzącymi oczyma, najpewniej też spróbował małej dawki specjału, który podsunął Jean Marcowi. Ale w przeciwieństwie do Lovaya był uśmiechnięty, zadowolony. Czuł się zupełnie bezkarny. Postanowiłem pozbawić go tego uczucia.

Miałem faceta na widelcu. Za nic! Bez żmudnej bieganiny i podtykania bankowcom odbitki z PPAF. Ruszyłem mu na spotkanie. Najpierw szybkim krokiem. Potem biegiem. Dostrzegł mnie i stanął. Twarz mu się skurczyła, była teraz lisia i przestraszona, oczka biegały mu na wszystkie strony. Utracił poprzednią pogodę ducha. Znakomicie. Biegłem wprost na niego patrząc mu prosto w twarz. Nie wytrzymał, odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Czy mogło być bardziej prostackie przyznanie

bietę. Sądziłem, że skręci w lewo, w Post Strasse, albo czmychnie między domy po lewej, ale trzymał się tłumu. Kluczył, potrącał przechodniów, lecz nie uciekał w boczne uliczki. Wybrał najgorszy wariant, im bardziej kluczył, tym bardziej było pewne, że szybko go dopadnę. Łudził się sądząc, że się powstrzymam ze względu na kibiców. Interwencje mildgorów mają sens właśnie wtedy, kiedy ogląda je dużo ludzi.

Podstawiłem mu nogę. Śmiesznie zamachał rękami i rymnął głową naprzód w śniegową pryzmę. Stanąłem nad nim. Zaczął na czworakach gramolić się wstecz, otrzepywać głowę i ramiona. Dostał kopniaka w tyłek i zanurkował jeszcze raz. Zupełnie zgłupiał w tej pryźmie.

– Czemu pan go bije?

Mężczyzna nie skończył jeszcze pytać, kiedy odszukałem go wzrokiem w małej grupce gapiów. Wymierzyłem weń palec. Miał wygląd ubogiego i sponiewieranego przez życie obrońcy sprawiedliwości. Dzielny, głupi Szwajcar. Nakaz moralny kazał mu być odważnym. Już po paru sekundach żałował swojej odwagi. Mój wyciągnięty palec i sroga mina bardzo go peszyły.

– Znasz się na tym?! – warknąłem ostro.

Cofnął się. Chciał się skryć za innymi. Po prostu skręcało go ze wstydu.

– Jak się nie znasz, to spieprzaj – rzuciłem mu w twarz, odwróciłem się i jeszcze mocniej kopnąłem młodzieńca. – Człowieku, wyłaź ze śniegu, bo się przeziębisz – powiedziałem. – I dawaj dokumenty i te wspaniałe papieroski, po których ludzie dostają kota. – Złapałem go za kołnierz, potrząsnąłem parę razy. – Wyłaź, szczeniaku. Chciał – nie chciał i ty też nie będziesz kasjerem.

Stanął przede mną pokryty śniegiem. Kołysał się na drżących nogach, usta miał wykrzywione w grymasie wściekłości, ściekała z nich strużka śliny. Spiorunował mnie wzrokiem i nerwowym gestem wyszarpnął zza pazuchy skórzany portfel.

– Masz, łapsie i przeczytaj sobie – wyciągnął dłoń w moją stronę. – A nie, nie... – wściekłość nie pozwalała mu mówić. – A nie odważysz się ani razu więcej.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Bardzo zabawna myśl, więc uśmiechnąłem się do niej. Szerokim gestem odsunąłem dłoń chłopaka.

– Słusznie, zupełnie słusznie – powiedziałem z powagą a potem strzeliłem go w twarz otwartą dłonią. Siadał w śniegu na prostych nogach, powoli, majestatycznie, jak wieża, która się wywraca.

– Wypadły panu bardzo ważne dokumenty – zauważyłem. – Proszę je koniecznie pozbierać. Nie darowałbym sobie, gdyby pan miał ponieść jakieś straty.

Rysy mu się rozmazały, wargi ułożyły jak do płaczu. Przekręcił się na czworaki, sięgnął po portfel i zajęczał.

– Chce mnie pan zatłuc w tym śniegu?

– „Łaps", mów mi „łapsie". My łapsy już tacy jesteśmy. Jak zaczniemy, nie możemy skończyć.

Kopnąłem go w bok. Ale tym razem łagodniej. Dla zasady. Ot, żeby utrwalił sobie przerobiony materiał.

– Wspomniałem też o papieroskach. Byłeś łaskaw zapomnieć?

Sięgnął głęboko w którąś z wewnętrznych kieszeni kożuszka. Ale nie wyciągnął z niej fajek. Wstał nagle i uniósł dłoń wysoko w górę. Miał w niej mały, błyszczący przedmiocik wielkości walkie-talkie. Kurczowo wciskał w nim małą gałkę i patrzył na mnie ze złością.

– Musiałem. Nie dałeś mi szans. Zmusiłeś mnie, żebym użył alarmu EIS. Sadysta!

Cały czas chciało mi się śmiać.

Wmawiasz mi, że też jesteś w służbach? Taki gówniarz jak ty? I mając zezwolenie na EIS wciskasz dzieciakom maryhę. Stracisz to cacko szybciej niż przypuszczasz.

Na chwilę opuścił rękę i zdjął palec z przycisku. Rozejrzał się przestraszony. Ale po chwili z powrotem uniósł dłoń.

– Nie ja – sapnął z dumą – mój ojciec. – Jest większy niż przypuszczasz – dodał z przekąsem. – Uderzyłeś mnie. Nie ujdzie ci to na sucho.

Zabawne myśli mają to do siebie, że kiedy zaczną mnie już nawiedzać, nie mogę się od nich opędzić. Zrobiłem krok w jego stronę.

– Jak weźmie cię na barana, będziecie we dwu z ojcem jeszcze więksi. A tak cię urządzę, że nie ruszysz się o własnych siłach.

zapomniał o niej, nogi mu się splątały i rymnął na plecy. Pochyliłem się, podając mu prawą dłoń i przymierzając lewą.

– Nie mówiłem? Sam widzisz, że nie obejdzie się bez tatusia.

– Proszę natychmiast dać chłopcu spokój! – odezwał się stanowczy, męski głos za moimi plecami.

Zbagatelizowałem to.

– No i tatuś już przyszedł – zacząłem błaznować, lecz czyjaś ciężka dłoń chwyciła mnie za ramię zmuszając bym potraktował sprawę poważnie. Odwróciłem się.

Stało przede mną dwu policjantów. Jeden duży i tęgi miażdżył moje ramię i wbijał we mnie spojrzenie groźnych jasnobłękitnych oczu. Drugi, drobniejszy, uzbrojony w miernik EIS wpatrywał się weń z uwagą, a na mnie łypał kątem oka. Nie znałem ich. Nawet w takiej dziurze jak Zurich nie sposób poznać ich wszystkich. I oni nie znali mnie także. Zza ich pleców wyglądało kilkudziesięciu kibiców, głównie mężczyzn, którzy wcale nie byli po mojej stronie.

– Właśnie kończę, jesteście wolni, chłopcy – powiedziałem do tego, który mnie trzymał, próbując bezskutecznie strząsnąć jego dłoń. – Gówniarz był niegrzeczny, ale się poprawi.

Skrzywili się jak na komendę i jednocześnie oczami wskazali pracujący miernik EIS, robiąc wymowne miny. Urządzenie sygnalizowało punkt zero piszcząc cichutko. Sprawdziłem to kątem oka – rzeczywiście, chłopak siedział w pryźmie i nie zdejmował palca z przycisku.

– To wariat – krzyknął zza pleców policjantów znany mi już obrońca sprawiedliwości. – Rżnie tajniaka i bije tego chłopca bez żadnego powodu.

Policjant z miernikiem w dłoni szarpnął się w jego stronę jak na sprężynie.

– Proszę się nie wyrażać – burknął. – Może gość jest rzeczywiście funkcjonariuszem cywilnym. Każdego może ponieść – wyjaśnił reszcie kibiców. – Sprawdzimy to. Proszę się nie wtrącać. I... rozejść się. A wy, chodźcie za mną – zakomenderował.

Pięćdziesięcioletni obrońca sprawiedliwości po raz drugi w ciągu paru minut zrobił minę obitego psa. Był wyjątkowo tępy jak na swój wiek i widać nie umiał zrezygnować ze złudzeń. Policjanci pomogli wstać chłopakowi. Ten większy wyjął mu EIS z rozedrganych dłoni, sprawdzili numer urządzenia. Zgadzało się, EIS nie był lipny. Szliśmy razem do ich wozu czekającego w bocznej uliczce. Gówniarz ze mną w środku, gliniarze po bokach. Publika szeptała, a szczeniak, który nieco ochłonął, otrzepywał się z brudnego śniegu.

– Jesteś niezły skurwielek – szepnąłem po parunastu krokach i znienacka uderzyłem go łokciem w bok aż jeknęło.

– Bije! Znowu mnie bije – wrzasnął zwijając się z bólu.

Wyższy policjant bez chwili wahania wymierzył mi identyczny cios. Miał dużą krzepę. Wyłapałem uderzenie, ale trochę mną zatrzęsło. Zerknął na mnie bez złości.

– Nie rozrabiaj, mildgor, bo ci wpieprzymy – powiedział z nutką życzliwej perswazji. – Co ci zrobił, że tak go pukasz? Widzisz przecież, że facet jest z lepszych.

– Sprawdź go. Sprawdźcie go szybko, póki nie wyrzucił tego w śnieg – doradziłem im. – Powinien mieć przy sobie twardą maryhę. Rozdawał ją na lewo i prawo.

No więc posłuchali mnie. Zrobili szczeniakowi w wozie klasyczne przeszukanie. Siedziałem z boku i dokładnie widziałem. Pracowali bez żadnej lipy. Wywrócili mu na drugą stronę wszystkie kieszenie, nie było tam nawet jednego podejrzanego paprocha. Jak skończyli, spojrzeli pytająco w moją stronę. Rozłożyłem dłonie.

– Zobaczcie jego oczy – oczy miał faktycznie nieco maślane, zaczerwienione, ale i to przemijało. – Zdążył wyrzucić?

– Facet ma EIS. Legalny EIS – powiedział niższy, opiekujący się aparaturą nadawczą. – Nazwisko się zgadza. Tylko imię...

– Ojciec – przerwał mu chłopak – mój ojciec...

– Co ojciec, co ojciec – wydarł się nagle glina o dłoniach jak imadła. Pobito cię? Zgłaszasz skargę? Wielka kosmiczna krzywda, tak? Nooo, spróbuj.

– Nie, nie chcę panom robić kłopotu – powiedział chłopak i uśmiechnął się bezczelnie. – Rezygnuję ze skargi...

Czy mogę już wyjść – zapytał jeszcze, unikając mojego spojrzenia.

– A idź do diabła!

Chciałem pożegnać gówniarza kopniakiem, ale miałem doń trochę daleko. W dodatku przedzielał nas policjant o stalowych dłoniach.

– No i puściliście filuta. Tyle jego, ile dostał ode mnie. To jakaś znaczniejsza fisza? – spytałem zbierając się do wyjścia. – Znaczy jego father?

Twardziel wzruszył lekceważąco ramionami.

– Cholera wie. Myślisz, że znam się na tych rzeczach?

Dla niego sprawa była skończona. Może kłamał, a może nie. Cholera wie.

Facet od aparatury przytrzymał mnie delikatnie.

– Ja 75 – szczeknął do mikrofonu – zlokalizowaliśmy awanturę. Mildgor turbował faceta z EIS. Niezupełnie bez powodu. Zatrzymaliśmy go. Nie obydwu... znaczy mildgora. – Urwał, klarowali mu coś przez słuchawki. – No nie, tak to nie. Tak jest – podsumował po chwili. – Zrozumiałem.

Spojrzał na mnie z czymś takim w oczach, co miało chyba oznaczać współczucie. Było mu z tym do twarzy, jak krowie z wiankiem.

– Ty, mówią tutaj, że Dryfel będzie chciał cię zobaczyć – powiedział zdejmując słuchawki. – Pułkownik Dryfel. Zawsze chce osobiście obejrzeć i opieprzyć wszystkich mildgorów, którzy nadużywają kłów i pazurów. Dobre, nie? – spytał i nagle roześmiał się wesoło.

– A jeśli nie pójdę z wami?

Ten większy spojrzał wymownie na swoje wielkie dłonie.

– No wiesz, nas jest dwóch – zauważył skromnie – po co ci to? Dryfel cię nie ugryzie. On tylko uwielbia prawić kazania.

– Wypchaj się. Cholera!

Drugi wyłączył aparaturę.

– Trochę na niego poczeka – powiedział do kolegi – Dryfel przychodzi dziś po piętnastej. Ale zamkniemy cię w wygodnej celi, mildgor – zwrócił się do mnie. – Będziesz się mógł zdrzemnąć.

– Słyszysz, Kurt, co ty na to? – powiedziałem do bloxa.

Nikt mi nie odpowiedział.

– W wozie jest pełne ekranowanie. Bez zewnętrznej anteny nie połączysz się stąd – przypomniał fachowo policjant od aparatury.

Ten z pięściami, które wiele mogły, położył delikatnie dłoń na moim ramieniu i uśmiechnął się szczerze.

– Miałeś pracowitą noc. Widać to i nawet trochę czuć. Damy ci coś zimnego i sandwicha. Nie zaszkodzi, jak odpoczniesz.

– Mam jakieś inne wyjście? – spytałem dla porządku.

– Jakby ci to powiedzieć... – zamyślił się i zerknął na swoje dłonie wielkie jak bochny.

Maciej Parowski

słownik polskich autorów fantastyki

Parowski Maciej

(ur. 1946)

Dziennikarz, prozaik, krytyk filmowy

Urodził się w Warszawie 27 grudnia 1946 r. Ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. Pracował cztery lata jako inżynier. Debiutował w prasie studenckiej w 1967 r., w 1969 zaczął prowadzić w „Politechniku" cotygodniowy felieton kulturalny „Z pozycji gaduły" (do 1981 r.). Od 1974 r. jest zawodowym dziennikarzem: kierownikiem działu kultury, sekretarzem redakcji i redaktorem naczelnym (w roku 1981) Tygodnika Studenckiego „Politechnik". Jednocześnie jest kierownikiem działu krytyki i nauki (1977), starszym publicystą (1979) tygodnika „Razem". Począwszy od 1968 r. publikuje opowiadania i felietony w „Życiu Warszawy", „Na przełaj", „Literaturze", „Kulturze", „Ekranie", „Polityce". W 1978 r. ukazuje się jego zbiór felietonów i szkiców „Bez dubbingu". Od 1982 r. – kierownik działu literatury polskiej w miesięczniku „Fantastyka". Współpracuje z „Przeglądem Technicznym" jako promotor fantastyki. Członek World SF.

Jako autor SF debiutował w tygodniku „Na przełaj" opowiadaniem „Bunt robotów" (1970/25). Swoje teksty zamieszczał w „Fantastyce", „Przeglądzie Technicznym", „Problemach", „Politechniku", „ITD". W 1973 r. uzyskał wyróżnienie w konkursie „Młodego Technika" za opowiadanie „Poczucie pełni". Przedruki opowiadań Macieja Parowskiego ukazywały się również w antologiach: „Wołanie na Mlecznej Drodze" (1976), „Bunt robotów" (Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej, 1981), „Spotkanie w przestworzach" (t. 2, 1982). W 1982 r. Maciej Parowski opublikował powieść **„Twarzą ku ziemi"** (Czytelnik), a w 1985 r. zbiór opowiadań **„Sposób na kobiety"** (KAW; zawartość: Muchy, Bunt robotów, Fontanna łez, Bicie piany, Mężczyźni są szaleni, Geniusz, Ostatnia przygoda Funky'ego, Sposób na kobiety, Pomóż swojej gwieździe, Dziura metafizyczna, Ekspertyza, Tandem, Atlantyda, Deus ex machina, Poczucie pełni, Bigos, Krach w branży weków, Wkład w przedstawienie świata, Studnia, Sentymentalny I-M-R, Stary, wspaniały świat, Wiwat Bastylia, Eksplodujące bałwaństwo, Najszczęśliwszy człowiek świata, Drzewo wiadomości, To zdarza się co dzień, Euklidecja, Nieubłagany bieg postępu). W 1986 r. nakładem wydawnictwa „Iskry" ukazał się zredagowany przez niego wybór opowiadań „Bliskie spotkania", a w rok później „Bliskie spotkania II". W wydawnictwie „Glob" przygotowywana jest do druku jego książka krytyczna „Czas fantastyki".

Maciej Parowski należy do bardziej znanych autorów debiutujących na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, piszących fantastykę o charakterze społeczno-politycznym. Krytyk, specjalizujący się w tematyce socjologicznej, filmowej i literackiej, publikuje swoje felietony, omówienia i recenzje na łamach „Fantastyki" (wyróżniony za tekst „Gremlinsssy atakują!!!" w plebiscycie-ankiecie czytelników dotyczącej roku 1986). Autor terminu „czwarta generacja" (oznaczającego pokolenie debiutujące w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych) wprowadzonego w posłowiu do współredagowanej przez niego książki „Trzecia brama" (Wydawnictwo Literackie 1987; wybór opowiadań nagrodzonych na pierwszym konkursie literackim „Fantastyki"). Opowiadania Macieja Parowskiego z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zebrane w tomie „Sposób na kobiety" są rodzajem prozy społeczno-obyczajowej, scenami rodzajowymi obdarzonymi sporą dozą aluzji, humoru, introspekcji. Jeśli w tekstach Parowskiego pojawiają się motywy SF (np. „Poczucie pełni", „Krach w branży weków") to stanowią jedynie pretekst do podkreślenia treści socjologicznych: sytuacji człowieka zagubionego w chaosie wartości, poddawanego presji różnych ideologii, próbującego ocalić swoją niezależność, osobisty, prywatny sposób przeżywania świata. Wydarzenia zmieniające się jak w kalejdoskopie, pośpieszne, urywane dialogi bliskie naszemu codziennemu przeżywaniu rzeczywistości; chandlerowskie postacie, a także styl narracji: zwięzły, ostry, nerwowy – doskonale oddają problematykę utworów Parowskiego, które niekiedy sięgają do niebanalnych (choć sprawdzonych!) rozwiązań literackich (np. konwencja autotematyczna w opowiadaniu „Deus ex machina", 1983).

Znaczącą pozycją w polskiej SF lat osiemdziesiątych stała się publikacja powieści „Twarzą ku ziemi", która tematyką, nastrojem, rozwiązaniami fabularnymi wpisała się w nurt socjologicznej prozy tego okresu (książki J. Zajdla, E. Wnuka-Lipińskiego, T. Markowskiego, M. Oramusa, W, Żwikiewicza). W konwencji dystopijnej ukazuje Parowski rzeczywistą realizację programów społecznych epoki, wybiega w przyszłość przedstawiając stechnicyzowany, bezduszny, totalitarny świat poddany presji środków masowego przekazu, świat terroru psychicznego, w którym – z najwyższym trudem – przychodzi ocalić własną tożsamość. Bohater książki (wzorem klasycznych bohaterów dystopii) próbuje rozpoznać ów świat, dotrzeć do jego prawdziwych mechanizmów, odrzucając fikcję kreśloną uwodzącymi metodami propagandy i w finale utworu zostaje postawiony w sytuacji wyboru egzystencjalnego: zachowania indywidualności bądź przyjęcia postawy konformistycznej. Interesująca jest sama koncepcja „podziemnego miasta utopii" dostępnego klasie rządzącej: Parowski sięga tu do pomysłu H.G. Wellsa (zob. „Wehikuł czasu"), ale odwraca schematy sytuacyjne (podobną techniką posłużył się później J.A. Zajdel w „Paradyzji").

Książka Macieja Parowskiego sięga do różnego rodzaju odwołań literackich: przedmiot opisu sygnalizuje cytatami z prozy Franza Kafki, które otwierają kolejne rozdziały powieści, zapowiadają atmosferę utworu, próbę odnalezienia wartości w wyalienowanym, zbiurokratyzowanym, technokratycznym świecie.

Bibliografia wybrana:

– J. Stefański (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1982/17,
– M. Wydmuch (w:) „Kobieta i Życie" 1.12.1982,
– Z. D. Buszniewski (w:) „Fantastyka" 1986/2,
– A. Niewiadowski, *Między prometeizmem a katastrofizmem* (w:) „Miesięcznik Literacki" 1987/7

W dniach 2-5 IX 1987 r. odbyła się w Baligrodzie sesja naukowa poświęcona miejscu science fiction w kulturze współczesnej. W spotkaniu zorganizowanym przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Międzywydziałowy Zakład Nauk Społecznych Politechniki Rzeszowskiej udział wzięli zaproszeni z całej Polski (i świata) przedstawiciele nauk ścisłych i humanistycznych – biologowie, ekologowie, fizycy, psychologowie, historycy sztuki, estetycy, futurologowie, architekci... a także historycy literatury, krytycy, publicyści i pisarze. Specjalistów, zajmujących się fantastyką nieokazjonalnie, reprezentował na sesji docent Antoni Smuszkiewicz. Przedstawicielami redakcji byli Maciej Parowski i Rafał A. Ziemkiewicz.

Państwo znacie już wprowadzający do tematyki konferencji referat organizatorki sesji, profesor Marii Gołaszewskiej „Imaginacja w antroposferze" („Fantastyka" nr 8/87). Dziś przedstawiamy odczytany na konferencji zamówiony przez organizatorów referat wstępny Adama Hollanka, ukazujący punkt widzenia pisarza. Organizatorzy przewidują wydanie specjalnej publikacji sumującej dokonania sesji, zawierającej najcelniejsze wystąpienia, a także zapis dyskusji zamykającej imprezę. Będzie to książka na pewno interesująca i dla ludzi przyglądających się fantastyce z boku, i dla fanów. Na sesji zderzyły się bowiem różne kompetencje, różne sposoby widzenia fantastyki, co dla uczestniczących w niej redaktorów było i pouczające, i zabawne, i czasem irytujące. Świat nauki patrzy na fantastykę inaczej niż fanowie i pisarze, mówi o niej różnymi językami, zgłasza czasem pod jej adresem oczekiwania i postulaty, nam miłośnikom wydające się nieaktualne bądź niemożliwe do spełnienia.

Do sesji i jej dorobku spróbujemy wracać na naszych łamach.

(mp)

A jednak romantyzm

Adam Hollanek

Szanowni Państwo, czuję się zaszczycony, że jako dawny, trochę ślepy zwolennik sięgania nauki wszędzie tam, „gdzie wzrok nie sięga", a później rozczarowany już, ale jeszcze niepewny swej pozycji, jej przeciwnik, mogę przekazać tutaj, wśród jednej z ostatnich oaz autentycznej natury, w Bieszczadach, swoich parę uwag o tej najbardziej dyskusyjnej gałęzi pisarstwa, która wśród nas szczególnie, wśród mieszkańców tego kraju, zawsze „rozumnych szałem", wbrew wszystkiemu, co dzieje się dokoła, a może właśnie na skutek tego co się dzieje, rozrasta się, święci triumfy.

Według naszych rozeznań, a także i rozeznań na przykład amerykańskiego magazynu „Analog", przeciętny czytelnik tego typu literatury (jeśli przeciętność w ogóle wchodzi tu w rachubę) ma wykształcenie ponadpodstawowe, w tym 45 procent jest po gimnazjum, a blisko 15 procent po szkołach wyższych. Inżynierowie wśród „fanów SF" (proszę wybaczyć, że rażę tym określeniem estetów) stanowią około 17 procent, członkowie kierownictw – 15 procent, nauczyciele (szkół średnich i wyższych) – 9,5 procent, elektronicy – 10 procent, pracownicy różnych dziedzin tzw. kosmologii i kosmonautyki– 8 procent, badacze – 3 procent, w tym badacze z dziedziny techniki i fizyki jądra atomowego 1,6 procent. Jakie to dziwne i burzące wszelkie schematy dane, toż ideał fantastyki, uważanej za gałąź najbardziej popularnej sztuki, nie tylko sięgnął bruku, lecz na tymże bruku znalazł zwolenników wcale, wcale nie prymitywnych.

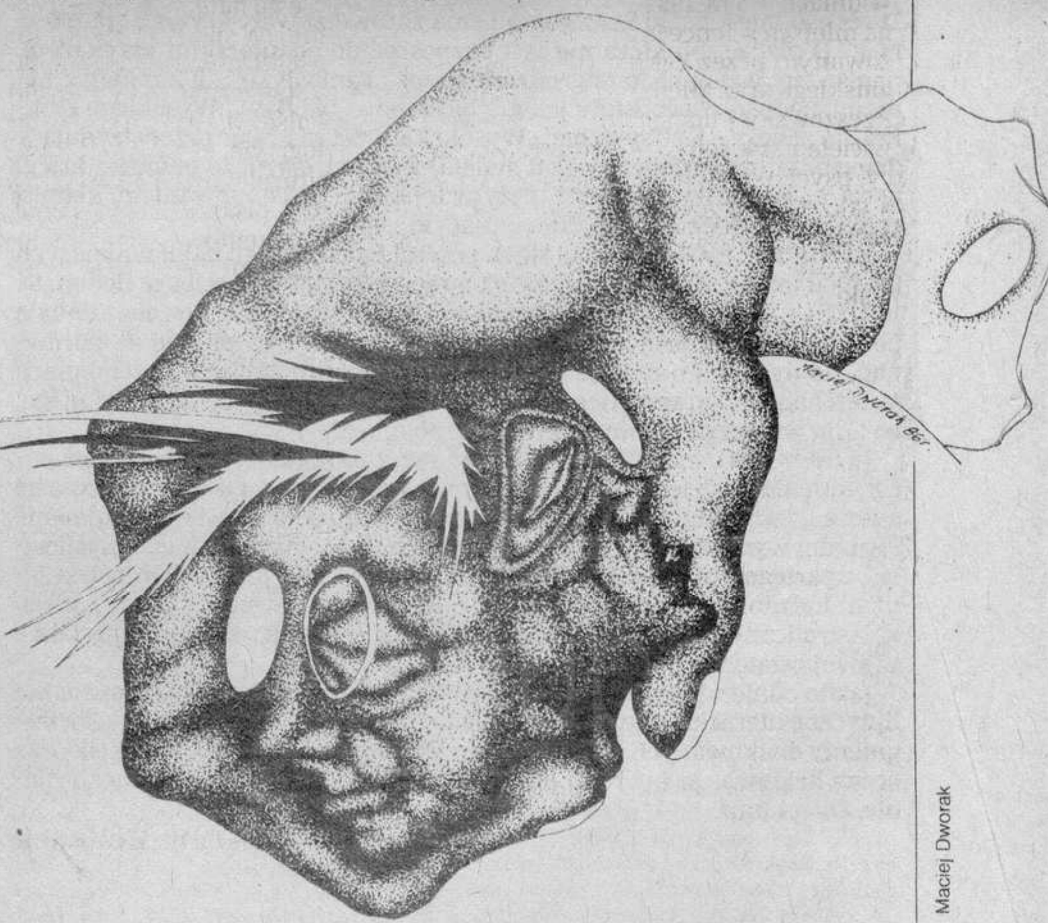
Przecież science fiction uprawiają i odbierają z zainteresowaniem, graniczącym często z maniactwem, zarówno intelektualiści, jak i ludzie wcale nie prości (byłoby bezsensownym uproszczeniem tak twierdzić), wyposażeni w każdym razie w wiedzę, która pozwala im co najmniej jak najpraktyczniej wykorzystywać swoją ziemską egzystencję. Jeśli fantastyka jest nową, tą najbardziej popularną falą autentycznego romantyzmu, o czym zdaje się świadczyć wiele jej cech, typowych dla romantycznych kierunków w sztuce (w życiu także), to ci, co tej fali się poddają w sensie biernym i ci, co ją wzniecają, dalecy bywają zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie od romantyków dawnych epok. Proszę zwrócić uwagę, że prawdziwy bohater romantyczny Byrona, Mickiewicza, Słowackiego, nawet Goethego „cierpiał za miliony". Tak działo się dawniej, dzisiejsza fantastyczna romantyczność natomiast to pokaz cierpienia milionów (wielkie jednostki np. w pisarstwie Ursuli Le Guin czy Zajdla występują rzadko lub w ogóle ich nie ma) – w tym sensie jest ona sztuką czy pisarstwem antyliterackim, gdyż stara się operować nie jednostkowymi, lecz zbiorowymi bohaterami, zaprzeczając w gruncie rzeczy istocie artyzmu. Dopiero bowiem dzięki jednostkowym demonstracjom przeżyć i przemyśleń uzyskiwało się w sztuce i literaturze ogólnoludzkie wymiary prawdy i paradygmaty.

Tak czy owak wspólną cechę każdego romantyzmu stanowi jego wartość moralizatorska i ona bywa największym łącznikiem między dawnymi a nowymi laty. Także i romantyzm fantastyczny oparty, jak wszelkie ruchy romantyczne, na antyhistoryzmie (space opera) i na baśni, na micie i legendzie (fantasy), wyrasta z egzotyki (Conan) i szuka egzotycznych wrażeń. Przeważa w nim, mimo iż wywodzi się on z nauki – irracjonalizm (Oramus) nad argumentacją racjonalistyczną. Inne jego charakterystyczne cechy to ludowość, czy raczej ludomania (Bułyczow) i tym przypomina neoromantyzm ubiegłego fin de siècle'u, katastrofizm i eklektyzm (Zelazny, Fiałkowski). Czerpiąc zaś z różnych innych dziedzin sztuki oraz z prawdziwego życia, tak swoje tworzywo urabia, tak je transmutuje, że staje się ono czymś zupełnie nowym – syntetyzuje jak gdyby zdobycze stare, nawet tam, gdzie usiłuje się odciąć od tradycji. Dziełem świetnie i szeroko ilustrującym to, co tutaj Państwu przedstawiłem, stała się cała twórczość Stanisława Lema, który wciągnął losy ludzkości do swoich romantycznych cierpień, ale również i do swego racjonalistycznego, opartego na empirii stosunku do wszystkiego, co ludzkie – jego twórczość wyrosła przecież z w i a r y w wszechpotęgę nauki i w końcu grzebie tę naukę. Utworem jak gdyby koronującym romantyczne Lemowe łamania człowieczeństwa kołami nauki, natury i niewiadomego losu na przemian wydaje mi się „Fiasko". To jak gdyby wyciąg z wszelkich objawień dawnej i nowej fantastyki, sublimat bezradności człowieka wobec istot identycznych, a więc człowieka wobec człowieka. I tej bezradności, tej straszliwej samotności w tłumie nie potrafią odmienić żadne, najwspanialsze nawet zdobycze intelektu czy techniki, wszystko, co wynaleziono, jest w gruncie rzeczy marne i nieprzydatne w dialogu między istotami rozumnymi i czującymi– oto szczyty romantyzmu. Na tym tle wszelkie definicje fantastyki, wypowiadane przez różnych jej twórców podczas różnorodnych okazji stają się, jeśli nie śmieszne, to w każdym razie małe, niewiele znaczące, ułamkowe. Wolfgang Jeschke, znany autor i wydawca zachodnioniemiecki, powiedział, że *SF to wyraz życzeń i strachów*, Frederick Pohl z USA drwił, iż *SF jest odpowiadającym prawdzie rozszerzeniem kłamstwa*, Brian Aldiss: *science fiction jest to to, co na półkach księgarń jako fantastyczne się reklamuje*. Nazwę, jak każe mit, Hugo Gernsback nadał tej całej dziedzinie pisarstwa w 1929 r. I jego imieniem chrzczą dziś Amerykanie największych ich zdaniem autorów, owych Harrisonów czy Zelaznych, którzy w literackiej robocie do pięt nie dorośli nawet naszemu Jerzemu Żuławskiemu czy Stanisławowi Lemowi. Nieprzypadkowo ma on więc liczne szczyty fantastyki światowej za objawy nadzwyczajnej grafomanii.

Za pierwszą, autentyczną powieść science fiction, ziejącą ponurym romantyzmem, rodem ze średniowiecza, uważa brytyjski krytyk i pisarz Brian Aldiss, mniej niż jego zaoceaniczni fantaści skażony manią przekazywania swoim czytelnikom nadzwyczajnych pomysłów, nadających się bardziej do księgi rekordowych, szmirowatych dziwactw – księgą Guinnessa zwanych – powieść o Frankensteinie pani Mary Shelley z 1818 roku. Specjalnie podkreślam płeć autorki, no cóż, to baba pełna przewrotności, nie zaś mężczyzna, wspięła się na szczyt marzenia o stworzeniu sztucznej istoty myślącej – mężczyzny – i szczyt przerażenia z powodu swego strasznego dzieła. W tej powieści był już więc zadatek tych wszystkich okropności, które w sobie i w swoich bliźnich z sadystyczną satysfakcją odnajdują liczni pisarze science fiction. Jaką odpornością na najbardziej znane dzieła science fiction epoki o około 100 lat późniejszej musiał wykazać się Jerzy Żuławski, pisząc swą trylogię, swoje czarodziejskie „Na srebrnym globie", żeby nie poddać się miazmatom Frankensteina czy Poego, ani też naiwnym bajdurzeniom o przyszłości Verne'a lub pseudonaukowym wizjom Wellsa. Ta polska fantastyka Żuławskiego, jakże inna od zagranicznych, nie miała jednak światowego rozgłosu, podobnie jak liczne utwory dzisiejszych polskich twórców fantastyki, cóż, zawierała ona przecież te

wszystkie elementy, których nie skąpią współcześni nam pisarze rodzimej science fiction, a co nie bardzo podoba się publiczności pragnącej czystej rozrywki: podejrzliwość w stosunku do nauki, próby przezwyciężenia jej tyranii, problemy inner space, obsesje religijne i nostalgiczne, wariacje i szaleństwa na temat wolności społecznej i wolności jednostki. Co jednak warta fantastyka bez tej problematyki? Dla Lema była ona drzwiami kuchennymi prowadzącymi w końcu do salonów literatury: startować w latach powojennych wbrew pozorom nie było łatwo. Z jednej bowiem strony brzemię tego, co się przeżyło, co tkwiło jeszcze głęboko w ludzkich umysłach, co nurtowało każdego wielkiego i maluczkiego, nie dawało się udźwignąć. Nie każdemu dane było zresztą znaleźć kod, którym potrafiłby przekazać to, co czuje, co pasuje do jego czasów, a kod okazywał się tym bardziej konieczny, im węższe były wymagania mecenasów ówczesnych.

Współczesną powieść Lema, jak wiadomo, przetrzymano kilka lat, tak że gdy ją wreszcie wydał, stała się właściwie książką historyczną. Należała do przeszłości, coraz szybciej od tamtych lat płynie nam czas, życie staje się bardziej nerwowe, mijają mody, a idole nie tylko w piosence zmieniają się jeden po drugim. Fantastyka nauczyła się historię i teraźniejszość lokować w przyszłości, uzyskiwała więc przez to jakby tajemniczą siłę przepowiadania, wróżenia, patrzenia z góry, jej tempa można było regulować według gustów i potrzeb, jej treści przepajać drastycznością, żeby budziła wstrząs nawet u tych, którzy przywykli do silnych wrażeń.



Maciej Dworak

Zasługa tej literatury czy antyliteratury polega na tym, że bezczelnie zadaje ona proste, najprostsze pytania, których wstydzi się już zarówno „normalna" literatura, jak i filozofia. Ona przecież pyta o takie idiotycznie niewymierne sprawy jak losy jednostek i społeczeństw, szuka bezkompromisowych paradygmatów etycznych, komplikując życie swych bohaterów i idoli stawianiem przed nimi najwymyślniejszych i najokrutniejszych przeszkód kosmicznych. Jej utopie i antyutopie bywają najczęściej mniej lub bardziej wymyślnymi karykaturami tego, co w nas i wokół, co robimy i co zrobić możemy.

Poszukiwania te, o romantycznym charakterze, rodzą pęd do legend i baśni, w których przecież prawie zawsze chodzi o nauki moralne, podawane w bardzo atrakcyjnym opakowaniu, tak żeby nie czuć bezpośrednio ich ostrzy, skierowanych w nasze sumienia. Ta właśnie niesamowita atrakcyjność opakowań, przesłań fantastycznych stała się zarówno nadzieją, jak i nieszczęściem fantastyki, pozwalając w końcu żerować na tym gatunku całej plejadzie grafomanów. Ale już doszło do tego, że większość skomercjalizowanej produkcji fantastycznej na Zachodzie zalega półki kiosków i księgarń, daremnie poszukując nabywców, ogranicza się także w czołowych wydawnictwach wytwórczość tej literatury czy raczej pseudoliteratury. U nas, w kraju, takiego piekiełka dla słabeuszy i nieudaczników literackich jeszcze nie stworzono, przeciwnie – fantastyka, coraz bardziej rozchwytywana, skłania tak autorów, jak i wydawców do traktowania jej jako źródła łatwych zarobków. Nasz ubogi, ze względu na przykrótką papierową kołdrę i słabości poligrafii, rynek księgarski długo jeszcze nie ujawni różnic między dobrą a złą rodzimą science fiction, dlatego to w jednej z redakcyjnych dyskusji wyraziłem się *dajcie mi tylko więcej papieru, a natychmiast zniszczę fantastykę*. Miałem, rzecz jasna, na myśli twórczość daleką od umiejętności i walorów literackich. Pasjonujące fabuły sprzyjają komercjalizacji, deprawują nawet najlepszych twórców i niszczą czytelników. Książki fantastyczne buduje się przecież zwykle z jednego pomysłu, jednego „chwytu", starcza tego zaledwie na opowiadanie, na nowelę w najlepszym razie, powieści robi się już zwykle na siłę, w każdym jednak wypadku pomysły fantastów muszą być tak mocne, aby – przy częstym niedoborze umiejętności twórczych – chwytały czytelnika za gardło, inaczej biada autorowi. Pomysły z konieczności poczną się jednak wyczerpywać, powtarzać, już obserwujemy zjawisko tej powtarzalności, tego ich banalizowania się, które zacznie wyrzucać poza nawias autorów słabszych, nie znających się na literaturze, jedynie tylko amatorów sztuki pisarskiej. Nie wyobrażam sobie również, aby mogli rozwijać gatunek ludzie nie mający wiele wspólnego z surrealizmem, który wiele przecież ma związków z freudyzmem i sporo mu zawdzięcza. Bez osiągnięć tej nauki czy quasi–nauki, bez teorii głębokiej studni podświadomości nie byłoby współczesnej fantastyki, stanowiącej przecież na pewno jakieś odgałęzienie doświadczeń surrealistycznych. Cała estetyka fantastyki, obejmująca treści pisarskie, obrazy w plastyce czy także w filmie, bez baśniowo-sennej fantazji straciłaby po prostu swój pociągający publiczność wyraz. Igrająca z kiczem dbałość o zainteresowanie widza nie powinna się jednak spotykać z ostrzejszymi sprzeciwami krytyki, z pogardą krytyków, przecież oni się najlepiej orientują – więc wywalam tutaj otwarte drzwi – że bez naciąganych napięć typu kryminologicznego nie byłoby wspaniałej dramaturgii Szekspira, Słowackiego, czy chociażby pasjonującej fabuły „Pana Tadeusza" naszego Wieszcza. Conrad, wielki angielski pisarz pochodzenia polskiego wciskał się w anglojęzyczną literaturę, jakże ciężką do zdobycia dla Słowianina, atakując marynistyczne gusty i maniactwa Anglików. Obyczajowe drastyczności Witkacego miały służyć epatowaniu mieszczucha, nawet Joyce'owski system przekazu, kontaktu międzyludzkiego, zbudowany ze „strumienia świadomości" miał kusić outsiderów i klerków, którzy, jak słusznie zresztą zapewne rozumował autor, dysponują identyczną mechaniką rozumowania. Dlatego zamykanie się w jakichś marzeniach o literaturze elitarnej i etyce, i estetyce dla wybranych, tak częste w różnorodnie formułowanych postulatach krytyki, brzmi nieco humorystycznie, a patrzenie na zjawiska literackie z takich wyłącznie pozycji nabiera cech kompleksu, który nazwałem kompleksem Amadeusza. Zazdrośni o swą dominację, o swe parnasowskie uplasowanie w hierarchii artystycznej, spadkobiercy mentalności Salieriego nie mogą, nie potrafią znieść popularności innych rodzajów twórczości niż ta przez nich wyłącznie proponowana, nie lubią po prostu Amadeuszy lub stwarzają własnych, ci zaś jednakże najczęściej nie budzą szerszego odzewu. Charakterystycznym przykładem niech tu będzie sprawa tzw. „rewolucji językowej", przypominająca mi jako żywo dyskusje i pretensje młodopolskie na temat „sztuka dla sztuki". Charakterystyczny również wydaje mi się przykład wydawnictwa „Iskry", które próbowało produkować niby-eksperymentalną tego rodzaju literaturę, nie znajdując jednak na nią większej liczby czytelników. Nawet wiwisekcja, polegająca na wydaniu młodych fantastów, w większości tych samych, których utwory publikujemy w „Fantastyce" i poddaniu ich chirurgii krytyki elitarnej w wykonaniu takich majstrów chirurgii krytycznej, jak Bereza, Sadkowski, Myśliwski czy Zieliński, nie wzbudziła szerszego zainteresowania publiczności literackiej: z trudem rozszedł się dwutysięczny zaledwie nakład tym sposobem spreparowanej fantastyki. Proszę Państwa, bo role się odwracają. Dziś estetyka fantastyki, żonglująca na krawędzi kiczu, staje się – podobnie jak muzyka-nie muzyka, zwana rockową – sztuką już nie tylko młodzieży, pop-artem maluczkich, pracują przecież dla niej najwięksi twórcy zawodowi, na cały świat rozprzestrzeniły się elementy mody punków, a Lem, który u nas w Polsce startował jako pisarz dla tłumu, zepchnięty przemocą niejako do tego piekiełka popularności, stał się z czasem twórcą dla elity. Dziwnymi doprawdy drogami chadza nowoczesność w sztuce. I nie Petroniusze dyktują dziś prawa elegancji. Tak czy owak, proszę Państwa, trochę boję się o losy samej fantastyki, a także o wartości, które ta popularna już nie tylko w pisarstwie, lecz i w plastyce, w kinie i w wideo dziedzina pop-romantyczna – będzie proponować. Sztuka ta bowiem staje się stopniowo narzędziem kultury bardzo przewrotnym, czasem już bardziej niż ta, którą określa się jako główną czy normalną. ■

Dwie ostatnie książki Stanisława Lema zbulwersowały krytykę i publiczność. O pierwszej, która nie jest bezpośrednio odautorskim przekazem, napiszemy osobno – to nagrodzone przez „Fantastykę" „Rozmowy z Lemem" Beresia, rzecz, która jak gdyby stanowi pendant „Wysokiego Zamku", to znaczy – jeśliby uznać „Wysoki Zamek" za utwór przedstawiający dziecinny i młodzieńczy ogląd świata, za klamrę świeżo otwartej księgi życia – „Rozmowy z Lemem" byłyby tej księgi podsumowaniem, klamrą zamykającą. Niezmiernie interesującym „od–do".

Natomiast „Fiasko" uważa się za powrót Lema do jego najdawniejszych tradycji beletrystyki fantastycznej, a raczej do typowej science fiction. Są to jakby „Astronauci", wzbogaceni o całe doświadczenie i o całą, zdobytą podczas dotychczasowego życia, wiedzę pisarza. Cóż za pole do porównań, do dyskusji o drodze przebytej, o rozwoju talentu, o przemianach światopoglądu, prawdziwe cymelium dla krytyka, ale nie tylko dla niego, bo i dla wiernego Lemowi czytelnika również.

Ja osobiście uważam tę najnowszą rzecz o tragicznej niemożności porozumienia za dzieło niezwykle konsekwentne w ciągu całej twórczości autora „Astronautów" i „Solaris", za coś, co musiało się wreszcie ujawnić i w pełni wyrazić jako résumé wszystkich utworów genialnego myśliciela i upartego antyutopisty. Jeśli „Astronauci" byli pierwszym ostrzeżeniem ludzkości przed jej własnym charakterem i wynikającymi z niego katastroficznymi perspektywami, „Fiasko" – to ostrzeżenie rozpaczliwe w swej ostateczności.

Jak to odbierają krytycy, jak różnie załamują się pod ich piórem apokaliptyczne literackie wizje Stanisława Lema, niech choć w części ukażą fragmenty drukowanych poniżej recenzji amerykańskich, niemieckich oraz ocena krajowa. Ja już tutaj powiedziałem o „Fiasku" swoje własne zdanie. Oto ci inni.

Adam Hollanek

„FIASKO"

Stanisława Lema

Model termitiery

(...) Cywilizacja planety Kwinta pozwala Lemowi na przedstawienie takiego rozwoju wydarzeń, jakiego spodziewa się na Ziemi. W centrum uwagi autora znajduje się „inicjatywa obrony strategicznej" Reagana, będąca tematem numer jeden toczącej się dziś pomiędzy wielkimi mocarstwami dyskusji. A ściślej: polityczne, militarne, technologiczne i ekologiczne aspekty projektu „gwiezdnych wojen".

Na planetę Kwinta statek kosmiczny wysłany z Ziemi dociera w chwili, kiedy dwa bloki mocarstw, które – podobnie jak na Ziemi – stają naprzeciw siebie na dwóch kontynentach, przenoszą swoje konflikty militarne w kosmos. Gigantyczny wysiłek technologiczny nie tylko wyczerpał tu do reszty wszelkie zasoby, ale przyniósł też niepowetowane szkody biosferze. Chroniąc się przed groźnymi atakami z kosmosu, mieszkańcy wycofują się do wnętrza planety niczym do środka olbrzymiej termitiery. Kiedy obydwie strony zdołały już sparaliżować wzajemnie łączność radiową przeciwnika, systemy satelitarne, odcięte od swoich ośrodków sterujących, z konieczności zaprogramowane na sterowanie automatyczne, osiągają próg, *za którym broń przekształca się z samodzielnej w taką, która działa na własną rękę.*

Napięcie książki rodzi się z niepewności czy przy całej samowoli systemów obronnych uda się jeszcze nawiązać kontakt z mieszkańcami. Lem kreśli model przerażającej sytuacji politycznej, w której dwa wielkie mocarstwa usiłują się porozumieć, ale są ukształtowane przez skrajnie odmienne kategorie i światopoglądy. Angażując swą przeważającą technologię wojenną, statek kosmiczny wymusza zgodę na lądowanie, wystarcza jednak kilka banalnych przypadków, aby fatalny rozwój wydarzeń (wzajemna nieufność rodzi brak zrozumienia i w konsekwencji jeszcze silniejszą nieufność) doprowadził do „fiaska" – katastrofy nuklearnej.

Na przykładzie astronautów statku kosmicznego analizuje Lem różnorodne reakcje wobec ekstremalnych obciążeń psychicznych idące krok w krok za stale zawodzącą próbą porozumienia z inną cywilizacją. Tym samym przekształca swoich bohaterów w króliki doświadczalne, w nosicieli tez. Pełniąc tę funkcję, gasną, nie rzucają żadnych cieni, nie mają historii – przekazany kontekst życia ogranicza się do projektu podróży kosmicznej.

Fakt ten nie umniejsza jednak intelektualnej rozkoszy, jaką odczuwa się przy lekturze powieści, rozkoszy, jaką daje wyrazista gra z hipotezami i modelami natury przyrodniczej, które szybko nabierają charakteru technologicznego, a tym samym społecznego. Lem pragnie – podobnie jak Brecht – nakłonić nas do odnalezienia „radości" – w myśleniu, podobnie jak Brecht uznaje – zgodnie z kategoriami Oświecenia – dydaktyczną misję literatury. Wciągając czytelnika w swoją intelektualną grę, pragnie, jak sam twierdzi, „usunąć próżnię artykulacyjną". Chce przezwyciężyć przepaść, dzielącą świadomość jednostki od naukowych języków fachowych, w jakich rozstrzygana jest nasza przyszłość.

Hansjoachim Bleyl

Frankfurter Allgemeine Zeitung nr 86, kwiecień 1987

Lema machina snów

(...) Określenie Lema mianem pesymisty jest niezupełnie właściwe. Lem nigdy nie sięga po wojny nuklearne, inwazje z kosmosu, zniszczenie warstwy ozonu, przybór mórz, cofanie się mórz, „Nowe Wspaniałe Światy" i „1984" z przeceny, czy też inne, podobne wykopaliska literatury SF. Totalna zagłada obchodzi go w równym stopniu jak „Lepsze Życie dzięki Chemii", nie interesują go koszmary, które mogą lub nie mogą się zdarzyć, ale raczej te podstawowe problemy ludzkiego istnienia, które sprawiają, że lepsza przyszłość jest niemożliwa. Pełne frustracji potknięcia i pozy widoczne w jego fabułach zawsze wynikają z podstawowych ograniczeń praw fizyki i myśli ludzkiej. Lem nie przepowiada zagłady – jest po prostu tylko uparty.

Stąd też bierze się i tytuł jego ostatniej powieści, pomyślanej jako wariant starego tematu SF – pierwszego kontaktu z obcą cywilizacją. (...) Dla Lema przygoda poszukiwania naszych „braci w rozumie" jest po prostu „Fiaskiem". Skomplikowana, zwarta, niekiedy męcząco drobiazgowa, niekiedy piękna, bogata w rozważania na tematy tak bezpośrednio nas dotyczące jak plany „wojen gwiezdnych" i tak wieczne jak istota odpowiedzialności współczesności za przyszłość, powieść ta jest największym od wielu lat osiągnięciem Lema. (...)

Lem nie wierzy, że technologia może odmienić ludzką naturę, ale jest zbyt subtelny, by wnosić z tego, iż technologia jest czymś zupełnie obojętnym. Zwiększa ona zasięg oddziaływania ludzkiego szaleństwa i ogranicza ludzką wyobraźnię do tych wyłącznie rzeczy, które mechanizmy czynią możliwymi do osiągnięcia. Typowym przejawem ściśle kontrolowanej ironii Lema jest to, że fakt ten uświadamia nam komputer. *W paleolicie, w epoce jaskiniowej czy w średniowieczu bardziej muskularny oponent górował nad słabszym. W epoce atomowej może uruchomić rakietę dziecko, nacisnąwszy właściwy guziczek.*

Ludzie powoli uświadamiają sobie, że Kwinta podąża tą samą drogą. Znajduje się ona w stanie permanentnej wojny prowadzonej przez umieszczoną w przestrzeni kosmicznej zautomatyzowaną broń (proszę sobie wyobrazić – a najwidoczniej uczynił to Lem – świat rządzony przez facetów od SDI). Broń Kwintan – koszmarna kombinacja znajomego (bomby atomowej) i niezwykłego (sztuczny wirus pożerający metal), organizuje wszelkie aspekty życia na planecie zgodnie z prostą logiką wyścigu zbrojeń. Wszelkie różnice pomiędzy obydwiema stronami konfliktu są bez znaczenia. Strategia wojenna staje się wagą życia i śmierci, podporządkowując wszystko inne. Obie strony są lustrzanymi odbiciami. *Kwintanie* – powiada komputer okrętowy – *już nie władają obraną przez siebie strategią. Na odwrót: strategia włada nimi.* W nieubłagany sposób ludzie zostają wchłonięci przez ten system. Wspólnym językiem „braci w rozumie" stają się pogróżki i oszustwa.

Bardzo rozbudowana fabuła i starannie nakreślone tło „Fiaska" są w jakimś stopniu odejściem od dotychczasowej stylistyki Lema. Po kilku książkach pełnych błyskotliwej, nienagannej pod względem logicznym gimnastyki umysłowej, będących często połączeniem beletrystyki i eseju filozoficznego w tak pełnych ironii formach jak recenzje z nie istniejących książek („Doskonała próżnia") lub też wstępy do uczonych dzieł, które zostaną napisane w przyszłości („Wielkość urojona"), powrócił do prostej historii przygodowej, naginając i naciągając konwencje tego, co nazywa „śmieciem" tak, by dostosować je do myśli umysłu pierwszej wielkości. (...) Jest to jakby

skrzyżowanie „Dialogów" Platona z instrukcjami NASA – rozważania są precyzyjne i eleganckie, ale to samo można powiedzieć o szczegółach technicznych – komputera, statku kosmicznego, sposobów oszukiwania czasu.

Zaiste, w przeciwieństwie do wielu innych książek Lema, w których ludzie i miejsca nakreślone są szybką kreską po to, by uzyskać efekt satyrycznego paradoksu, „Fiasko" zmusza nas do tworzenia własnych obrazów nie przez literacką elegancję czy oszczędność słowa, ale za pośrednictwem niejako brutalnej siły. Opisy obcych krajobrazów i maszyn przyszłości są równie gruntowne w swym zagęszczeniu i precyzji jak conradowskie przypomnienia starych parowców czy też nieba Malajów. (...)

David Berreby

Village Voice Literary Supplement, czerwiec 1987

Rozbite lustro

Odsłaniając to, co zasadnicze, jest „Fiasko" po prostu jeszcze jedną powieścią o istotach ziemskich, usiłujących nawiązać kontakt z obcymi. Ci, którzy przeczytali choćby jedną z licznych książek polskiego autora, wiedzą jednak, że nawet najbardziej oklepany temat może stać się okazją do sprawienia zaskakującej niespodzianki. Międzynarodowa sława Lema opiera się na dwóch zaletach, rzadko występujących wspólnie u jednego człowieka: jest on zarówno znakomitym fantastą literackim á la Jorge Luis Borges i Italo Calvino, jak również biegłym filozofem i znawcą technologii. Sześćdziesięciopięcioletni Lem nie tylko buduje zamki w powietrzu, lecz także dostarcza dokładne projekty ich konstrukcji. (...)

Wyimaginowana fizyka Lema oczarowuje czytelników. Jednak wspaniałe planowanie i cudowne maszyny, jakie opisuje, nie uwzględniają prostego problemu: Kwintanie nie chcą mówić. Przelatując wysoko nad planetą, załoga „Hermesa" dostrzega wyraźne oznaki wysoko rozwiniętej cywilizacji. Niestety, wszelkie próby nawiązania kontaktu spotykają się najpierw z milczeniem, a następnie z wrogością; nie udają się nawet starania o przekazanie posłania o pokój. Mieszkańcy Ziemi zaczynają już się nawet zastanawiać, czy przypadkiem ci, którzy zaplanowali tę ich szczytną misję, *inwestując w to biliony i czyniąc wszystko, by odnaleźć inną cywilizację, nie oszaleli.*

„Hermes" posiada wystarczająco dużą moc, by zmusić Kwintę do odpowiedzi lub też ją zniszczyć, jednak takie zwycięstwo oznaczałoby niepowodzenie. Jeden z członków załogi mówi w pewnym momencie do kapitana: *Jeżeli się pan nie wycofa, to każde pana posunięcie, jakiekolwiek by było, spowoduje fiasko.* Kapitan z kolei staje się coraz większym pesymistą: każda próba dokładnego przestudiowania obcej technologii okazuje się bezowocna. Jej elementy, niczym szczątki rozbitego lustra, nie tworzą logicznego obrazu całości. Są jedynie niejasnym rezultatem tego, co je roztrzaskało.

Tego typu rozważania zdają się pasować bardziej do powieści psychologicznej niż do sagi o przestrzeni kosmicznej. „Fiasko" reprezentuje jednak obydwa typy literatury. Skonstruowana przez Lema fabuła jest pełna bohaterskich czynów, nieograniczonych możliwości i kataklizmowych eksplozji. Równie zajmujące są wplecione w tok akcji dygresje: rozprawy na temat rozwoju komputerów i sztucznej inteligencji, porady z dziedziny teorii gier oraz metod wskrzeszania zmarłych, po ich uprzednim zamrożeniu. Naukowcy mogą uskarżać się na Lema, że miesza swoje teorie z faktami; jednak „wojny gwiezdne" świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Czytelnicy o pewnym dystansie odnajdą tu popularną rozrywkę, która jest również śmiertelnie poważna.

Paul Gray

Time Magazine, czerwiec 1987

Pętla

Jeśli ktoś potrafił się oderwać od poszczególnych książek i spojrzeć na twórczość Stanisława Lema z pewnego dystansu, dostrzegał wyraźną linię rozwojową, uzasadnioną zresztą przez pisarza różnymi wypowiedziami. Zaczął Lem od prozy beletrystycznej, by później stopniowo skłaniać się ku eseistyce, najpierw jeszcze oscylującej wokół problematyki literackiej i filozoficznej, później jawnie futurologicznej, teoretyczno-literackiej, by znów wrócić do literatury, ale już manifestując znudzenie fabułą. Pisał więc przez ostatnie kilkanaście lat eseje, wypowiadał się na różne tematy, a twórczość beletrystyczna znajdowała się jakby na marginesie jego literackich zainteresowań. Nie ukrywał, że zajmuje go tworzenie sytuacji modelowych, dla prezentacji których fabuła wcale nie jest konieczna, równie dobrze można to zrobić używając opisu dyskursywnego lub też tylko referując założenie i zarys ewentualnej fabuły. Wprawdzie co pewien czas pojawiała się nowa proza beletrystyczna Lema, ale zawsze nadawany był sygnał, że mistrz sprzeniewierza się samemu sobie po to, by ulżyć cierpieniom czytelników wciąż oczekującym na nowe utwory Lema.

Ale przyszedł rok 1987 i poprzedzone rozgłosem zagranicznym w odstępie kilkunastu tygodni dotarły do polskiego czytelnika dwie nowe powieści Lema: „Pokój na Ziemi" i „Fiasko". Obszerne, nawiązujące w różny sposób do wcześniejszych utworów autora „Astronautów" i – dzięki swemu zbiorowemu wejściu na rynek księgarski – znaczące i dające do myślenia. Bo oto Lem jakby odżegnał się od swych deklaracji i wrócił z rozmachem do beletrystyki. Rodzi się pytanie: dlaczego? Czy chce znów docierać do masowego czytelnika, dla którego jego eseje pisane hermetycznym językiem i – nie ma co ukrywać – trudne były mało atrakcyjne? Czy chce stanąć do współzawodnictwa z nowymi autorami i udowodnić im, że on, mistrz i prawodawca wielu reguł postępowania w obrębie gatunku jeszcze raz poprowadzi ich na nowe obszary, odsłoni nowe możliwości SF? Czy też po prostu za wszystkim stoją banalne względy komercyjne (nie wiem, jak to było gdzie indziej, ale u nas nowe powieści Lema mają po sto tysięcy nakładu)? A może po prostu chciał się jeszcze raz pobawić fabułami, opisami przygód? Niestety, nie bardzo mu się to wszystko udało, niezależnie od motywów, jakie nim kierowały.

Powstały bowiem dwie „zimne" powieści, których bohaterowie pozostawiają właściwie czytelnika obojętnym. Nic się interesującego nie dzieje w ich życiu wewnętrznym, są bardziej nosicielami idei, pretekstem dla wyrażenia pewnych sądów niż pełnokrwistymi postaciami przeżywającymi jakieś dramaty. To zresztą nie jest nowością w twórczości Lema: z reguły właśnie takie zadania miały do spełnienia postaci bohaterów w jego powieściach (najdalej odszedł od tego w „Solaris", inaczej rzecz się miała ze „Szpitalem Przemienienia" i „Wysokim Zamkiem"). Zastanawia co innego. Otóż Lem powieścią „Fiasko" wyraźnie nawiązał do tego modelu SF, jaki uprawiał w latach pięćdziesiątych, co w kontekście współczesnej fantastyki, z reguły bardzo dynamicznej językowo, zmierzającej w stronę nadania narracji możliwie szybkiego tempa, mniej analizującej, a więcej i sprawniej pokazującej, brzmi po prostu anachronicznie. W powieści „Fiasko" jest wiele takich fragmentów, które z powodzeniem mogłyby się znaleźć w „Astronautach" czy „Obłoku Magellana" (por. np. str. 146, 150 czy 169). Lem w ten sam sposób, co wtedy, pragnie teraz, po trzydziestu latach, pozostawić jak najmniej miejsca dla pracy wyobraźni czytelnika, chce wszystko możliwie dokładnie opisać, a ponieważ jest pisarzem o skłonnościach dyskursywnych, rzadko pozwalającym sobie na pisarskie „szaleństwa" i „odloty", jego opis wymyślonego krajobrazu z rozdziału „Las Birnam" jest niepotrzebnie przegadany i rozwleczony, a czytelnicy pewnie i tak go opuszczą. Lem napisał tę powieść tak, jakby nie miał żadnych doświadczeń literackich po „Dialogach". To zastanawiające.

Wydaje mi się, że jest to wyraz zbytniej wiary w ten model SF i ten sposób pisania, który wyniósł go przed laty na wyżyny i wyraz pogardy dla wszystkiego, co wydarzyło się później w SF i literaturze w ogóle. Lem demonstracyjnie odwraca się od dorobku swych następców, może go nawet nie zna i chce pokazać, że on, mistrz, może sobie pozwolić na wszystko i że tam, w przeszłości, pozostała ta fantastyka, którą on lubi i którą chce teraz znów forsować. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale na to może się nabrać tylko pseudokrytyka pseudoliteracka porażona „wielkością nazwiska – „Fiasko" w księgarniach jest widoczne i to dość wyraźnie, co może, choć jeszcze nie musi wskazywać, że czytelnicy nie bardzo są tą powieścią zainteresowani. Pokaże czas, jak to jest...

„Fiasko" jeszcze z innych względów będzie odgrywać ważną rolę w twórczości Lema. Otóż jest ono swego rodzaju domknięciem, ostatecznym zakończeniem utworów mających za głównego bohatera pilota Pirxa (nie tylko moją ulubioną postać spośród tych, które Lem powołał do życia). Otóż w pierwszym rozdziale tej powieści Pirx ginie spiesząc na ratunek innym ludziom. Później jemu spieszy na ratunek jego uczeń Parvis i również ginie. Po wielu latach zamrożone zwłoki wszystkich zabitych zostają wydobyte, ale tylko jeden zmarły może być reanimowany. Z zachowanych dokumentów wiadomo, że jego nazwisko rozpoczyna się na P i liczy pięć do ośmiu liter (str. 94), co jednak odbierałoby szansę reanimacji Pirxowi (przecież cztery litery). Lem poprawia się więc i na str. 107 czytamy, że nazwisko uratowanego człowieka ma 4 do 6 liter, a więc teraz są dwie możliwości: to jest Pirx albo Parvis. (W sumie o to zapewne Lemowi chodziło od początku, ale się pomylił). Wszystko zmierza do tego, że główną postacią dalszych rozdziałów powieści może (!) być Pirx (choć może to być uczeń Pirxa), a w każdym razie człowiek ten – Marek Tempe – musi posiadać jakieś cechy Pirxa.

I co się teraz dzieje? Jak wiadomo, pilot Pirx wychodził cało z najróżniejszych opresji dlatego, że w stechnicyzowanym, odhumanizowanym świecie był ostatnim nosicielem ludzkich cech i słabości, a przez to nie ufał bezgranicznie maszynom. Tu natomiast Lem dąży do skompromitowania tamtej postawy: Tempe (czy przypadkowa zbieżność nazwisk z bohaterem „Szewców" Witkiewicza?) poddając się czysto ludzkim uczuciom – ciekawości, wściekłości, wreszcie bezradności i rozpaczy – udaremnia ostatecznie kontakt ziemskiej wyprawy z mieszkańcami planety Kwinta i doprowadza do zniszczenia całej cywilizacji. Czyli: fiasko! Zresztą cała ta powieść jest jakby wymierzona w bezwzględność ludzkiej pasji poznawania i eksploracji. Członkowie wyprawy poddani są presji i dążą za wszelką cenę do kontaktu, mimo że cywilizacja, z którą mają się skontaktować, wcale sobie tego nie życzy.

Lem zdaje się ujawniać tą powieścią swą niechęć do ludzkości, może rozczarowanie do niej po wszystkich życiowych doświadczeniach? A może ten obraz porozumienia nie zrealizowanego, którego chęć prowadzi do totalnej zagłady ma jakieś odniesienia do współczesności? I może dlatego nie żal mu było poświęcić wzbudzającego tyle sympatii u czytelników Pirxa? W twórczości Lema nic nie dzieje się bez przyczyny...

Leszek Bugajski

Stanisław Lem: Fiasko. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 430 zł.

Fenomen Konrada Fiałkowskiego polega na tym, że choć napisał jedynie dwie powieści i kilkanaście opowiadań, jego proza fantastyczna chwyciła, jest popularna i poszukiwana. Po Stanisławie Lemie miłośnicy gatunku za granicą pytają przede wszystkim o profesora-fantastę z Polski, nie zapominają bowiem o głównym, naukowym zawodzie autora „Wróbli Galaktyki" i „Homo Divisus". A pytają o niego po angielsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, portugalsku, czesku, węgiersku, rosyjsku, japońsku, słowacku, nie wiem czy wymieniłem wszystkie języki, w których ukazały się utwory Konrada Fiałkowskiego.

Najszerszą dyskusję wywołała chyba (znowu w wielu językach świata) najnowsza powieść, zatytułowana „Adam, jeden z nas", osnuta na motywach Nowego Testamentu, opublikowana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Profesor Fiałkowski, pracujący obecnie w UNIDO, w Wiedniu, i objeżdżający ciągle wiele krajów świata, stał się niejako ambasadorem polskiej fantastyki, pobudzając swoimi utworami zainteresowanie naszą odmianą tego gatunku. Stąd też nagroda za całość Jego pisarskiej działalności przyznana Mu przez jury nagród literackich „Fantastyki" z okazji pięciolecia pisma. Oto wywiad z laureatem.

A.H.



Fot. Zbigniew Latała

Sami w kosmosie?

z Konradem Fiałkowskim rozmawia Adam Hollanek

Adam Hollanek: *– Panie Profesorze, jaka była Pana reakcja na wiadomość o nagrodzie „Fantastyki"?*

Konrad Fiałkowski: – Byłem mile zaskoczony. Jest to moja pierwsza krajowa nagroda tego rodzaju, mimo że otrzymywałem już takie za granicą.

– Czym Pan to tłumaczy?

– Gustami tych, co rozdzielają nagrody. Poza tym ja jestem z innej grupy profesjonalnej, tej od nauki, a nie tej od literatury, a etykiety, szczególnie w naszym kraju, mają zasadnicze znaczenie.

– Właśnie, jak to się stało, że Pan, autor licznych prac naukowych, członek międzynarodowych komitetów, jak mi wiadomo projektodawca komputera biomedycznego, jednego z pierwszych w Europie – zajął się fantastyką?

– Pytanie winno brzmieć, dlaczego autor fantastyki zajął się tym wszystkim. Najpierw, jeszcze w liceum, już ponad trzydzieści lat temu zacząłem pisać i piszę, aczkolwiek niewiele, do dzisiaj.

– Ale dlaczego?

– Bo jest to sposób wyrażania myśli i idei, które inaczej trudno wyrazić.

– Jest więc Pan pisarzem fantastyki?

– Tak i to dlatego, że pisarz fantasta, w odróżnieniu od pisarza tradycyjnego traktuje świat, obiekt swego zainteresowania warunkowo, jako jedną z wielu możliwości, których liczba i różnorodność jest ogromna. Pisałem o tym w „Homo Divisus". Tradycyjny pisarz wariantuje jedynie sytuacje, ramy i strukturę zapożyczając dosłownie z istniejącego świata. Przy takim rozgraniczeniu wielu pisarzy i wiele dzieł znajduje się w tej pierwszej kategorii, mimo że ich twórcy nawet tego nie podejrzewali. Pokusa, by zmieniać strukturę rzeczywistości, towarzysząca zawsze pisarzom, jest zaproszeniem do fantastyki. Zapewne w przyszłości, gdy przyszła wielowymiarowa i wielowątkowa, interakcyjna z odbiorcą telewizja, wspomagana komputerami, których dziś

neologizmy SF

Konrad Fiałkowski: Wróble galaktyki

mnemotron – elektroniczne urządzenie pamiętające, służące przechowywaniu i odtwarzaniu informacji. Wyraz jest złożeniem z drugim członem powtarzalnym *-tron*, będącym częścią słowa *elektron*. Człon pierwszy pochodzi z greckiego *mnēmē* – pamięć. Złożenie to zostało utworzone na wzór funkcjonujących w polskim języku technicznym nazw urządzeń elektronicznych (np. *perceptron, plazmotron).* Człon drugi *-tron* dołączany jest w takich wypadkach do pierwszego, zawsze obcego (zazwyczaj z języków klasycznych – tak np. *perceptron* z łac. *perceptio–postrzeżenie).* Podobnie utworzył Fiałkowski *koncepcjotron*, w którym człon pierwszy pochodzi z łac. *conceptio*. Nazwa oznacza urządzenie do stawiania hipotez i ich sprawdzania.

kosmogator – złożenie w zasadzie niezgodne z polskim systemem słowotwórczym, utworzony w ten sam sposób, co omówiony (patrz: „Fantastyka" nr 10/85) neologizm Lema – *astrogator. Kosmogator* to człowiek wyznaczający trasę lotu kosmicznego.

automed – automat medyczny. To złożenie, w którym członem powtarzalnym jest człon pierwszy. W języku polskim wyrazów z pierwszym członem *auto-* (sam-, samoczynny, automatyczny) jest bardzo wiele. Człon drugi pochodzi z łac. *medicus* – lekarz. W neologizmie tym mamy więc do czynienia z ucięciem części wyrazu będącego podstawą drugiego członu złożenia, a więc z derywacją dezintegracyjną.

aerolot – pojazd służący do poruszania się w atmosferze. Utworzony podobnie jak omówiony neologizm Lema *gwiazdolot*. Jest to połączone wrostkiem *-o-* złożenie dwóch członów powtarzalnych. Pierwszy pochodzący z gr. *aer* – powietrze wskazuje materię, w której pojazd może się poruszać, drugi – *lot* (od *latać)* wskazuje na sposób tego poruszania.

autowitalizator – automat witalizujący, tzn. przywracający człowieka do życia ze stanu anabiozy (stanu zahamowania procesów życiowych). Jest to złożenie z pierwszym członem powtarzalnym *auto-* i drugim pochodzącym od *witalizować*. Mamy tu dodatkowo do czynienia z derywacją przyrostkową. Przyrostek *-ator* tworzy nazwy wykonawców czynności od czasowników na *-ować* (tu: *witalizować).* Przyrostek ten tworzy często nazwy będące równocześnie nazwami osobowych i nieosobowych (urządzenia) wykonawców czynności (jak np. *powielator).* Jest on więc funkcjonalny w fantastyce naukowej, w której opisywane urządzenia są często układami obdarzonymi pewnym stopniem „świadomości", co zbliża je do człowieka. Nazwy utworzone w języku polskim przyrostkiem *-ator* to najczęściej nazwy nowe. Przyrostek ten dopiero stosunkowo niedawno stał się produktywny. Podobnie powstał neologizm Fiałkowskiego *homosymulator* – automat symulujący elektroniczne działanie po-

jeszcze nie ma, stanie się częścią rzeczywistości człowieka, a pytanie „co jest naprawdę?"" przyjdzie rozstrzygać z coraz większą trudnością, literatura niefantastyczna będzie miała kłopoty, by taką pozostać.

– Zawsze będzie mogła odwołać się do nauk ścisłych, które mówią, jaki świat jest naprawdę.

– I pozostać literaturą?

– Tak.

– To nie takie proste. W naukach przyrodniczych, przynajmniej tak jak je dzisiaj rozumiemy, pytanie „jak?" jest zawsze poprawne, pytanie „po co?" lub w mniejszym stopniu, „dlaczego?" jest co najmniej podejrzane. A literatura, która odpowiada tylko na to pierwsze pytanie, jest wykładem popularnonaukowym. Dla człowieka, jej odbiorcy, wszystkie te pytania są równie istotne. Przecież literatura to pomyślane modele interakcji człowieka z innymi ludźmi w stałej strukturze – w wydaniu tradycyjnym, lub interakcji z innymi ludźmi i ze zmienną strukturą, czasem także pomyślaną, w fantastyce. Ale człowiek jest niezmiennikiem i bez niego nie ma literatury.

– Poza te ramy wykracza chyba kontakt z inną cywilizacją. Przynajmniej takie były Pana poglądy. Jest Pan chyba twórcą idei „niespełnionego kontaktu", bo Pana opowiadanie „Wróble Galaktyki" z 1959 roku należy do wcześniejszych od „Pikniku na skraju drogi" Strugackich i od „Ramy" Clarke'a.

– Inna cywilizacja to chyba największa niewiadoma, z jaką może się spotkać ludzkość. Jeśli oni nas znajdą, to będą mieli dla nas wymiar Boga i Szatana równocześnie i do tego będą jeszcze bardziej odlegli i niezrozumiali. Jeśli my ich znajdziemy, proporcje mogą być dla nas bardziej korzystne. Ale wie Pan, na poważnie, nie wierzę, by do tego doszło. Przez ostatnie dziesięć lat zajmowałem się, po stronie nauki, mechanizmem powstania mózgu człowieka jako efektu ubocznego adaptacji, nie mającej nic wspólnego z myśleniem. Zrobiłem ten model. Jeśli jest on prawdziwy, to jest on uniwersalny, bowiem jego założenia niekoniecznie wiążą się z konkretnymi warunkami istniejącymi na naszej planecie. Wynika z niego również, że równoczesne występowanie myślącego mózgu i rąk – efektorów, tak jak u człowieka, jest przypadkiem, koincydencją, a nie przyczynowo związanymi zdarzeniami. Dużo bardziej prawdopodobnym rezultatem ewolucyjnym, według tego modelu, jest „inteligencja obserwująca", coś jak na przykład inteligencja wielorybów, czy lemowskiego Solaris, która nie zmienia otoczenia i nie manifestuje tymi zmianami swojej obecności. Na gruncie tego modelu takie cywilizacje jak nasza są o wiele rzędów wielkości mniej prawdopodobne od dotychczasowych szacowań i prawie niemożliwe. Z tego punktu widzenia program SETI jest praktycznie bezcelowy. Tyle model i dedukcja.

– Czyli samotni w kosmosie. Jak Pan, fantasta, może niszczyć ideę „braci w rozumie"?

– Dedukcja jest odporna na nasze tęsknoty. Ale może model jest nieprawdziwy. Jest on opublikowany w międzynarodowym piśmiennictwie antropologicznym i tęgie głowy szukają w nim luk. Może znajdą i jedno z większych marzeń ludzkości uniknie zepchnięcia w zakres tak małych prawdopodobieństw, że niemożliwość jest dla nich poprawnym, praktycznie, określeniem.

– A inne marzenie ludzkości: uczłowieczone automaty?

– W odróżnieniu od podróży na Marsa, czy dalej, których perspektywa jakoś się przybliża, w zakresie maszyn naprawdę myślących – im więcej wiemy o komputerach i mózgu, tym bardziej ich perspektywa się oddala.

– Jednak wielu uczonych widzi to inaczej.

– W naukach przyrodniczych nie ustala się prawd w wyniku głosowania. A ani modelu, ani nawet koncepcji takich maszyn nie ma.

– I nie będzie?

– Nie wiem. Istnienie człowieka jest dowodem, że co najmniej takie urządzenie przetwarzające informacje jak nasz mózg można zrealizować. Czy wystarczy ludzkości czasu i chęci, by do tego dojść – to jest pytanie.

– Jeśli ewolucja wytworzyła człowieka metodą „prób i błędów", to świadome działanie powinno przynieść znacznie szybsze rezultaty.

– Ale ile czasu to zajęło ewolucji. Czas ewolucyjny jest dużo bardziej odległy naszej intuicji i pojmowaniu niż odległości międzygwiezdne.

– Tych kilka czy nawet kilkadziesiąt tysięcy lat naszej cywilizacji to przecież nie tak dużo.

– Pan wyłącznie ocenia czas rezultatów. Ale to tak jak ze wspinaczką wysokogórską. Jeden niewielki krok, ten ostatni na szczyt, ten, o którym Pan mówi, i widzi się całą panoramę. Ale przedtem trzeba wykonać te dziesięć tysięcy kroków, by szczyt ten osiągnąć. Nasi najbliżsi krewni w ewolucji są kilka metrów od szczytu. Tylko, że oni go nigdy nie osiągną. I nie jedynie dlatego, że bardzo trudno jest tam, błądząc, trafić, ale także dlatego, że nawet gdyby ta niesłychanie mało prawdopodobna możliwość była przed nimi, nigdy im na to nie pozwolimy.

– A może ktoś nas na ten szczyt zaprowadzi?

– Kosmici? Bóg? Może. W takim razie powinien również dobrze zadbać, byśmy z niego nie spadli w przepaść. Ale to jest logika człowiecza i zapewne w przypadku kosmicznych przewodników nie obowiązuje.

– Dziękuję za rozmowę.

■

neologizmy SF

szczególnych narządów człowieka i współpracę między nimi. To także złożenie z pierwszym członem powtarzalnym: *homo-* (z gr. *homós* – taki sam, równy) i drugim pochodzącym od *symulować*. I tu od czasownika na *-ować* utworzono nowy wyraz przyrostkiem *-ator* (tak też derywowane: *certanizator, dezintegrator).*

helidrom – lotnisko helikopterów. Utworzony na wzór wyrazu *kosmodrom* (lotnisko statków kosmicznych). Dla utworzenia tego wyrazu wykorzystano pierwszy człon złożenia *helikopter* z gr. *hélikos* – skręcony (w wyrazie *helikopter* człon drugi pochodzi z ptéron – skrzydło). Człon drugi *-drom* (pochodzący z gr. *drómos* – bieg) został wyabstrahowany ze słowa *kosmodrom.*

telewizofon – odpowiednik telefonu, służący do przekazywania wizji i dźwięku. Złożenie *wizofon* o tym samym znaczeniu omówiono w odcinku dotyczącym Stanisława Lema. Neologizm Fiałkowskiego to złożenie trzech członów, z których pierwszy to człon powtarzalny *tele-* (z gr. *tele* – daleko). Jak piszą autorki słowotwórstwa rzeczowników Renata Grzegorczykowa i Jadwiga Puzynina większość złożeń „z członem *tele* to konstrukcje, w których człon ten jest skrótem wyrazu *telewizja* lub *telewizyjny*". Tak też jest w następnym złożeniu Fiałkowskiego *telemapa* – oznaczającym mapę przekazywaną zdalnie i odtwarzaną na ekranie. Ten sam człon jest jedną z podstaw złożenia *telelist* – list przekazywany zdalnie (stąd właśnie *tele-)* bezpośrednio do adresata.

terroplan – pojazd służący do komunikacji między Ziemią a sztucznymi satelitami Ziemi. Pierwszy człon złożenia pochodzi z łac. *terra* – ziemia. Natomiast człon drugi został sztucznie wydzielony z wyrazu *aeroplan* – samolot, który jest zapożyczeniem francuskiego *aéroplane*. Wydzielenie takie stało się możliwe, gdyż wiele jest złożeń utworzonych na gruncie języka polskiego z pierwszym członek *aero-*. Stąd także jako złożenie został potraktowany *aeroplan.*

Znaczenie neologizmów ze zbioru opowiadań Konrada Fiałkowskiego zostało wprawdzie objaśnione w pierwszym wydaniu tej książki, ale są one typowe dla całej twórczości autora, a przede wszystkim dla pozostałych opowiadań „Kosmodromu" (poza włączonymi do tego tomu opowiadaniami ze zbioru „Wróble galaktyki"), gdzie objaśnienia te nie zostały powtórzone. Poza tym objaśnienia znaczeń nie wskazują żadnych związków z budową neologizmów – dlatego też zdecydowałam się na ich omówienie.

Jolanta Tambor

Przypominamy, że wprowadzenie do słowniczka neologizmów SF wydrukowaliśmy w „Fantastyce" nr 10/85, natomiast w poprzednich odcinkach tego słowniczka J. Tambor analizowała neologizmy utworzone przez Stanisława Lema (10/85 i 11/85), Czesława Chruszczewskiego (12/85), Janusza A. Zajdla (2/86) oraz Macieja Parowskiego (4/86).

Pustynia Gila w Arizonie jest jednym z bardziej suchych i gorących miejsc w Stanach Zjednoczonych. Brunatno-czerwonawa barwa piasku i sterczące gdzieniegdzie dziwacznie poszarpane skały czynią wrażenie krajobrazu nieziemskiego... no tak, przecież taki właśnie miałby być krajobraz marsjański! W tym niezwykłym, choć bardzo niegościnnym miejscu pojawiły się kilka miesięcy temu olbrzymie maszyny budowlane i zaczęły ryć grunt. Dziś widać już zarys gigantycznego, kolistego fundamentu, w pobliżu zaś stoją stalowe konstrukcje o niespotykanym kształcie.

Z tamtej strony lustra

Arka Noego 1988

Maciej Iłowiecki

Przed końcem 1988 r., na arizońskiej pustyni stanie hermetyczna półkula z pancernego szkła, wsparta stalowymi łukami. Będzie całkowicie zamkniętym światem o pojemności 550 tysięcy metrów sześciennych – bez żadnych otworów na zewnątrz poza jedną śluzą wyjściową ryglowaną starannie stalowymi klapami. Wewnątrz – w wyodrębnionych segmentach – znajdzie się siedem stref ekologicznych, jakby oddzielnych mini „podświatów". Każda strefa ma być swoistym, tyle że o wiele mniejszym i niepełnym, odpowiednikiem typowych stref ekologicznych Ziemi; będzie to więc tropikalna dżungla, moczary, sawanna, pustynia, morze, góry i wreszcie część zmieniona przez działania ludzkie: ogrody i pola uprawne. Naturalnie nie są to wszystkie strefy ekologiczne, istniejące w ziemskiej biosferze, ale wystarczą dla zamierzonego doświadczenia; ich malutka powierzchnia zmieści najważniejsze gatunki roślin i niektóre wybrane gatunki zwierząt, typowe dla danej strefy. „Góry" wewnątrz stalowo-szklanej bani będą w tej skali zaledwie wzgórkami (sięgną 16 m wysokości), „morze" zaś czymś w rodzaju słonego jeziora (ok. 15 m głębokości), ale w pewnym znaczącym zakresie ekologicznym będą przynajmniej przypominać rzeczywiste góry i morza.

W części uprawnej znajdą się sady, ogrody, pola, stawy rybne. Zmieści się tam 140 starannie dobranych gatunków drzew owocowych, warzyw, zbóż, a także farma ze zwierzętami hodowlanymi i oczywiście dom mieszkalny, wyposażony we wszystko, czego trzeba ludziom i w jeszcze więcej. Dom pomieści nowoczesne laboratoria naukowe i komputery z gigantyczną pamięcią wypełnioną informacjami naukowymi i technicznymi. Będzie to więc supernowoczesny system, dostarczający informacji na każdy żądany temat.

Szklana półkula w Arizonie ma być „mikroskopijnym" (wobec rzeczywistych rozmiarów Ziemi) symulatorem biosfery ziemskiej, nazwano ją więc BIOSFERA II, choć przez załogę bywa nazywana „Bańką Noego"...

Przy dzisiejszych możliwościach zagłady, szklana kula z Arizony nie przetrwałaby wprawdzie potopu. W jej wnętrzu przynajmniej parę lat będzie istniał kawałeczek nieskażonej biosfery.

Budowa dziwnej bańki ma służyć jednemu z najkosztowniejszych i wielkich eksperymentów naukowych naszego czasu (nawiasem mówiąc, pierwsze 30 mln dolarów wyłożył na to miliarder z Teksasu, Edward Bass, znany skądinąd działacz ochrony biosfery).

Biosfera II zostanie zamknięta prawdopodobnie w początkach 1989 r. razem z ośmioma ludźmi, różnego rodzaju specjalistami, wybranymi spośród trzynastu szkolonych i przygotowywanych już dziś w ośrodku naukowym w Arizonie. Tych trzynastu zostało wybranych po pierwszej selekcji – podobno kandydatów do udziału w tak fascynującej przygodzie było wielu.

„Świat wydzielony", swoistą enklawę w naszym świecie, całkowicie samowystarczalny system ekologiczny. W tym zamkniętym środowisku wszystko będzie wykorzystywane w klasycznym obiegu pierwiastków, tak jak w biosferze prawdziwej. Zatem dostawą tlenu zajmą się rośliny zielone, korzystające z dwutlenku węgla, wydzielanego przez zwierzęta i ludzi i powstającego w procesach spalania. Wszystkie wydaliny, odpowiednio przetworzone, użyźnią glebę. Para wodna, wszelka wydzielana wilgoć, zostanie zużyta jako deszcz... i tak dalej, i dalej, nie zmarnuje się nic. Specjalna aparatura, opatrzona w superczujniki, będzie w każdym sektorze regulować temperaturę, ciśnienie, wilgotność, skład atmosfery – zależnie od potrzeb i odpowiednio do typu strefy ekologicznej. Energii dostarczą wysokowydajne ogniwa słoneczne i minielektrownia atomowa.

Eksperyment Biosfera II ma dwa główne cele. Ma więc dostarczyć jak najwięcej informacji o wszelkich zależnościach ekologicznych, o powiązaniach wzajemnych, występujących w rzeczywistej otoczce „życiowej" Ziemi, czyli w tym, co nazywa się właśnie biosferą. Jest to przecież klasyczny model symulacyjny, uproszczony i niepełny wprawdzie, jak każdy model, ale jednak dający ogromne możliwości – jak również każdy prawidłowo zbudowany model – możliwości poznania działania systemu naturalnego, a przynajmniej pewnych zasadniczych sprzężeń tego systemu. Po tym doświadczeniu wiele spodziewają się zwłaszcza obrońcy środowiska (dzisiaj należałoby zresztą mówić nie tyle o nieco staroświeckiej „ochronie środowiska", ile raczej o jego naukowym programowaniu w ten sposób, by zachowało w s z y s t k i e cechy, niezbędne dla utrzymania koniecznej ludziom j a k o ś c i ich życia). Jednak najbardziej bezpośrednim i praktycznym celem Biosfery II jest coś innego: jest mianowicie stworzenie modelu samowystarczalnej kolonii ludzkiej na Marsie lub Księżycu! Chodzi przede wszystkim o sprawdzenie automatycznych systemów oczyszczania powietrza, wody i przetwarzania wydalin w obiegu zamkniętym oraz o zyskanie doświadczeń z życia ludzi i przyrody w „zamkniętym kawałku ziemskiego świata". Z tego względu ma też znaczenie (choćby psychologiczne) naturalne otoczenie Biosfery II – smutny, samotny, niesamowity świat arizońskiej pustyni, bliski pustyniom Marsa (czy może tylko bliski wyobrażeniom o tych pustyniach).

Załoga tej dwudziestowiecznej arki Noego prócz naukowej obserwacji otoczenia, obsługi aparatury i dokonywania pewnych eksperymentów, będzie zajmować się także wszystkimi pracami (w pewnym stopniu zautomatyzowanymi) na farmie, dostarczającej żywności. Uprawa ogrodów i pól, hodowla zwierząt, opieka nad rybnymi stawami (bądź co bądź 200 gatunków ryb!), obserwacja zwłaszcza doświadczalnej laguny koralowej w ciepłym „wewnętrznym morzu" ma znacze-

ludzi zamkniętych w szklanym kokonie; ostatecznie można by wszystko całkowicie zautomatyzować, troskę o wyżywienie powierzyć automatom, względnie co pewien czas dostarczać niezbędne zapasy z zewnątrz – w końcu do kolonii na innych planetach też będą kursowały kiedyś transportowce, tam i z powrotem. Ale nie – chodzi o to, by takie zamknięte „małe Ziemie" – kiedyś gigantyczne kolonie Ziemian w przestrzeni zewnętrznej, także na Marsie i Księżycu (potem – może i na innych planetach?) – otóż by takie „kosmiczne miasta-ogrody" były jak najmniej podobne do fabryk czy laboratoriów, jak najbardziej podobne do skrawków rodzinnej planety, żywych i podtrzymywanych przy życiu ludzką troską i pracą. Chodzi o to, żeby były właśnie biosferami, a nie – „maszynami do życia".

W projektowaniu kolonii bierze udział ponad 200 uczonych. Na przykład spec od podzwrotnikowych lasów, botanik Gilean Prance z Ogrodu Botanicznego w Nowym Jorku, przygotowuje strefę dżungli; biolog morza Walter Adey ze słynnego Instytutu Smithsona (jest to jedna z największych na świecie instytucji naukowych, jego placówki znajdują się w różnych miejscach w USA i gdzie indziej) projektuje „minimorze" i strefę moczarów; znawca ssaków Peter Warschal z Uniwersytetu Arizony przygotowuje strefę sawanny i dobiera do niej zwierzęta; entomolog Scott Miller z muzeum przyrodniczego na Hawajach dobiera dla całej Biosfery II gatunki owadów. Z owadami jest problem szczególny – muszą być zachowane odpowiednie proporcje gatunków, głównie zresztą użytecznych, trzeba zapewnić równowagę „łańcuchów pokarmowych", zapylanie roślin (a jak to zrobić, skoro np. pszczoły kierują się w swych lotach do źródła pyłku położeniem Słońca, wyczuwanym przez odbiór promieni ultrafiołkowych, a szklana kopuła promienie te zatrzyma?) itd. Z pewnych względów potrzebne są mszyce – ale żeby nie rozmnożyły się nadmiernie, w „bańce Noego" muszą również żyć biedronki (swoją drogą, to szczęście, że na przykład w kolonii na Marsie będą mogły znaleźć się także biedronki... dla mnie łąka bez biedronek nie byłaby prawdziwą łąką). Na sawannie będą nawet kopce termitów, ale trzeba było znaleźć taki ich gatunek, który... nie pożarłby specjalnych żywic, służących do uszczelniania szklanych płyt kopuły.

Zespół pod kierunkiem Carla Hodgesa (z ośrodka badań nad ekosystemami Uniwersytetu Arizony) ma do dyspozycji 3 tysiące odmian roślin uprawnych – musi z nich wybrać około 140, najbardziej odpowiednich w takiej kolonii (tj. w sposób optymalny zapewniających jej samowystarczalność żywieniową, łatwych do uprawy, odpornych itd.). To samo dotyczy zwierząt na farmie.

Oczywiście, walory wybranych roślin i zwierząt ujawni w pełni dopiero przebieg dwuletniego doświadczenia, na pewno w czasie tych dwóch lat w Biosferze II nastąpią różne nieprzewidziane zakłócenia i powstaną problemy, których dziś nie można się nawet domyślić. No cóż, po to przecież właśnie odbędzie się ten eksperyment. W razie trudności grożących katastrofą (lub np. choroby kogoś z „biosferzan", nie dającej się wyleczyć na miejscu), zawsze można otworzyć hermetyczną śluzę; mieszkańcy Biosfery II będą zresztą mieli łączność telefoniczną i dalekopisową ze światem zewnętrznym. Kolonie Ziemian na Marsie będą pozbawione tych dodających otuchy możliwości (mimo dalekosiężnej łączności z Ziemią – to jednak nie to samo, co telefon i możność w każdej chwili powrotu do swojskiego świata!).

Myślę, że za 3 lata dowiemy się rewelacyjnych rzeczy o wynikach eksperymentu Biosfera II. Jeśli będzie jeszcze ukazywać się „Fantastyka", a ja w niej będę pisał (mam nadzieję...) – poinformuję o

Sama idea „zamkniętego ekosystemu" nie jest zresztą nowością, nie jest to także pierwsze doświadczenie tego rodzaju. W niektórych laboratoriach działają już od kilkunastu lat zamknięte hodowle na przykład morskich glonów (alg – mogących być dobrą podstawą pożywienia na przykład dla załóg statków kosmicznych). Są to miniekosystemy morskie o bardzo ograniczonym zestawie „współuczestników" systemu; niemniej wyniki są bardzo zachęcające: rzeczywiście glony morskie doskonale sobie radzą, a przygotowana z nich żywność jest nie tylko zdrowa, ale i smaczna. W Krasnojarsku na Syberii, na dalekiej północy, uczeni radzieccy zbudowali doświadczalny ekosystem, sztucznie oświetlony i ogrzewany, w którym bada się możliwości warzyw i odtwarzania wody i powietrza.

Istnieją projekty zamkniętych ekosystemów do badań organizmów transgenicznych, przede wszystkim bakterii o wbudowanych obcych genach. Takie organizmy, swoisty produkt inżynierii genetycznej, mogą być z wielu względów bardzo niebezpieczne. Zamknięcie ich w hermetycznej klatce ułatwia wszelkie obserwacje i eksperymenty bez obawy, że mogą poczynić jakieś szkody w prawdziwej biosferze (choć groźba taka nigdy nie da się wyeliminować całkowicie). Wedle innych projektów, w zamkniętych ekosystemach można by hodować i przechowywać gatunki roślin ginących – wówczas już bez przesady taka konstrukcja mogłaby być nazwana współczesną arką Noego.

Jednakże na razie Biosfera II ma być systemem największym i najbardziej złożonym, przede wszystkim zaś po raz pierwszy mają w niej żyć ludzie.

Jesteśmy u progu podróży w nieznane, a podróż ta – jestem przekonana – przyniesie wielkie odkrycia – powiedziała prasie pani Margaret Augustine, kierująca programem Biosfera II.

Myślę, że jednak najciekawszy i może najważniejszy jest wniosek, jaki z tego wszystkiego wypływa: oto ludzkość rzeczywiście przygotowuje się do stworzenia kolonii na innych planetach i w przestrzeni zewnętrznej! Rosjanie, jak wiadomo, uporczywie realizują swój plan „industrializacji przestrzeni zewnętrznej", to znaczy umieszczenia na orbicie wokół Ziemi stałej, wielkiej stacji kosmicznej, będącej zarazem laboratorium naukowym i rodzajem fabryki. W dalszych planach jest projekt oświetlenia północnych miast ZSRR gigantycznymi lustrami, odbijającymi z Kosmosu promienie słoneczne (nie wiadomo jednak, czy coś takiego nie byłoby trudne do zniesienia dla mieszkańców – takich luster nigdy nie można by wyłączać...), potem transportowanie energii słonecznej z przestrzeni zewnętrznej za pomocą laserów, potem wreszcie całe ogromne elektrownie słoneczne na orbitach. Nie jest pewne, kiedy to wszystko może nastąpić. Wiadomo jednak, że i USA, i ZSRR mają już w szczegółach opracowany projekt bezzałogowej wyprawy na Marsa. (Może będzie to wyprawa wspólna?) Próbki gruntu i powietrza marsjańskiego (i wszystkiego, co się tam znajdzie...) miałyby potem powrócić na Ziemię. Wedle planów nastąpi to w latach dziewięćdziesiątych i będzie podstawą do przygody największej – wyprawy ludzi na Marsa, gdzieś na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia (czyli już niedługo – za 12–15 lat!).

W 1986 r. dr Wendel Mendell, dyrektor Ośrodka Kosmicznego im. Johnsona w Houston w Teksasie, przedstawił oficjalne plany budowy „miasteczka księżycowego". Oto etapy tego planu:

Rok 1996 – system satelitów zwiadowczych wybiera na Księżycu odpowiednie miejsce, o wystarczająco twardym podłożu, bogatym jednocześnie w skały dobre do produkcji księżycowego betonu (wiadomo już, że skały takie są na srebrnym globie, a technologia betonu została już opracowana). Z przetwarzanych skał ma być też czerpany tlen dla ludzi na Księżycu. Miejsce dla księżycowej kolonii ma być – wedle określenia Mendella – *zacisznym, sympatycznym zakątkiem* ... Trudno sobie taki zakątek wyobrazić na martwym, obcym globie, ale określenie jest miłe.

Rok 2000 – pierwsza z czterech kolejnych wypraw z ludźmi, którzy zweryfikują wszystkie dane, uzyskane wcześniej i przygotują w terenie, na miejscu, dokładny plan budowy bazy.

Rok 2005 – pierwsza wyprawa transportowa. Z kontenerami, „zawierającymi wszystko, co trzeba". I od tego momentu zaczyna się budowa „zamkniętego ekosystemu" na powierzchni około 1 hektara. Na utwardzonym gruncie rozpocznie się układanie czegoś w rodzaju gigantycznych rur o średnicy 6 m i długości 18 m – połączenie 6 takich rur utworzy podstawę konstrukcji – cylindryczny sześciokąt, zaopatrzony we wszystko, czego do życia potrzeba, i oczywiście w jądrowy generator. Każdy sześciokąt, pokryty półkolistą, wypełnioną powietrzem kopułą, będzie stanowił „zamknięty ekosystem", z tym, że pierwszy ma stanowić bazę wyjściową dla 10 osób i laboratoria badawcze, drugi – eksperymentalną farmę roślinno-zwierzęcą, trzeci – normalne już mieszkania i „ośrodki rekreacji i rozwoju".

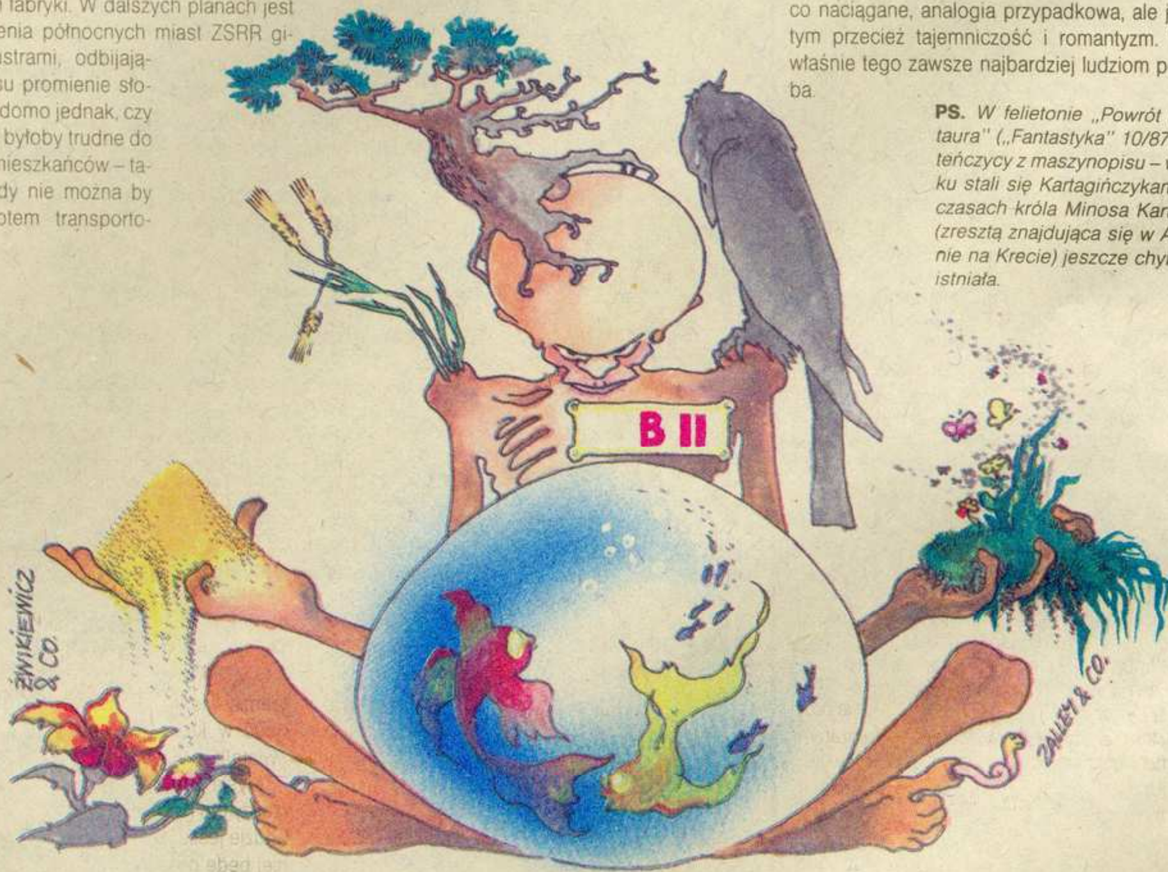
Budowa trzech połączonych sześciokątów potrwa około 12 lat. Gdzieś w 2017 roku ten dziwny „plaster miodu" (bo pojedyncze moduły przypominają pszczele komórki) będzie już stałą, samowystarczalną kolonią, zamieszkałą przez około 100 ludzi. Ale kolonia musi być po ukończeniu szybko przykryta „workami z zestalonym piaskiem księżycowym" (tak właśnie proponuje projekt!), żeby chronić ludzi i konstrukcje przed uderzeniami meteorytów i przede wszystkim osłaniać przed strugami śmiercionośnego promieniowania kosmicznego.

W skałach Księżyca jest ok. 40% tlenu, 20% aluminium, 20% krzemu i sporo rzadkich metali – wszystko to zostanie oczywiście wykorzystane. Kilkakrotnie mniejsza grawitacja ułatwi życie i pracę (tak twierdzą eksperci). A nuda nigdy nie zagrozi mieszkańcom Księżyca. Budować się tam przecież będzie olbrzymie rakiety, niemożliwe do zbudowania na Ziemi. Posłużą do dalszych wypraw kosmicznych. Gigantyczne tele- i radioteleskopy pomogą spojrzeć w głąb Kosmosu, bez zakłóceń ziemskich. Warunki do badań naukowych będą nowe i niezwykłe. Rzeczywiście – będzie to chyba jedna z najciekawszych przygód, jakie czekają ludzkość!

Jeszcze ciekawostka: budowa kolonii na Księżycu ma kosztować 80 miliardów dolarów (kosztorys pewnie, jak zawsze, zaniżony...). Wbrew pozorom, nie jest to jednak tak dużo, projekt „Apollo" kosztował przecież około 73 milionów dolarów. No cóż, zobaczymy, czy nic nie przeszkodzi w tym śmiałym, ale realnym przedsięwzięciu, do którego wstępem jest „Bańka Noego" w Arizonie.

Sentymentalnym Amerykanom projekt księżycowego sześciokąta przypomina obozy na Dzikim Zachodzie, otaczane kręgiem pionierskich wozów – wozy te miały chronić osadników przed niespodziewanym atakiem. Natomiast kolonia przykryta workami z piaskiem tworzy piramidę, która także coś przypomina. Co? Oczywiście, przedkolumbijskie, tajemnicze piramidy Inków, odnajdywane dziś w Andach. Porównanie jest nieco naciągane, analogia przypadkowa, ale jest w tym przecież tajemniczość i romantyzm. Może właśnie tego zawsze najbardziej ludziom potrzeba.

PS. *W felietonie „Powrót Minotaura" („Fantastyka" 10/87) Kreteńczycy z maszynopisu – w druku stali się Kartagińczykami... W czasach króla Minosa Kartagina (zresztą znajdująca się w Afryce, nie na Krecie) jeszcze chyba nie istniała.*



Marek Zalejski i Żwiku

Zmarł Terry Carr

Terry Carr urodził się 19 lutego 1937 r. w Grants Pass w stanie Oregon. Bardzo wcześnie zetknął się z fandomem science fiction. Początkowo rozgłos zdobył przede wszystkim jako wydawca fanzinów „Fanac", „Veid" i „Lighthouse"; sławne stały się zwłaszcza jego humorystyczne eseje. W 1959 r. otrzymał za przeznaczony dla fanów biuletyn informacyjny „Fanac" nagrodę Hugo, a w 1973 r. kolejną nagrodę Hugo już jako najlepszy pisarz.

Terry Carr napisał wiele opowiadań SF, wśród których najbardziej znane to „The Dance of the Changer and the Three" (1968). Był też autorem powieści „Warlord of Kor" (1963) i „Cirque" (1979). Daleko większą sławę zdobył jako wydawca. Będąc zastępcą Donalda A. Wollheima w „Ace Books" (od 1964) zainicjował serię „Ace Science Fiction Specials", w ramach której wydane zostały między innymi powieści „The Left Hand of darkness" Ursuli K. Le Guin, Rite of Passage" Aleksieja Panszina oraz „Picnic on Paradise" Joanny Russ. W latach 1965–1971 wydawał wspólnie z Donaldem Wollheimem „The World's Best SF". W 1971 r. rozstał się z „Ace" i odtąd sam kontynuował serię antologii SF (istnieje również nadal własny wybór Wollheima), która była uznawana powszechnie za najlepszą. Przez pewien czas Terry Carr był również wydawcą serii „Year's Best Fantasy". Jego seria antologii „Universe" (wyłącznie wydania pierwsze), w której opublikował 15 tomów, zaliczana jest do najlepszych w tym gatunku. Carr wydał również wiele innych popularnych i wysoko ocenianych antologii.

Zmarł 7 kwietnia 1987 r. w Oakland.

Miliony za nowe książki

Arthur C. Clarke napisał zupełnie nieoczekiwanie nową powieść: „2061: Odyseja III", przedłużając ostatnią książkę „2001: Finał Odysei" do następnej wizyty Galileo. Clarke otrzymał za rękopis honorarium w wysokości 1 miliona dolarów; pozostałą kwotę 1 375 001 dolarów otrzyma po przeprowadzeniu korekty rękopisu. Wydanie amerykańskie miało się ukazać w styczniu 1988 r.

★

Stephen King otrzymał za dwa zbiory swoich opowiadań: „The Dark Tower: The Gunslinger" i „The Drawing of the Three", które ukazały się najpierw w niewielkim wydawnictwie, sumę 8 milionów dolarów od New American Library oraz następny milion od angielskiego wydawnictwa „Sphere".

★

Carl Sagan, którego pierwsza powieść SF „Contact" zyskała rozgłos już z powodu zaliczki w wysokości dwóch milionów dolarów i w samych tylko Stanach Zjednoczonych rozeszła się w nakładzie 600 000 egzemplarzy, podpisał obecnie na jeszcze korzystniejszych warunkach umowę na kolejną powieść. Nie ma ona jeszcze tytułu, na razie istnieje jedynie pomysł, a wieści głoszą, że Sagan otrzymał już za nią zaliczkę w wysokości co najmniej trzech milionów dolarów.

★

Nieco mniejszą kwotę dolarową, w każdym razie sześciocyfrową, otrzymał Gene Wolfe za trzy książki wydane przez „Tor": są to „The Urth of the New Sun" (kontynuacja jego popularnego cyklu „The Book of the New Sun"), „There are Doors" (powieść z gatunku fantasy) i następna fantasy o tymczasowym tytule „Soldiers of Arete" (kontynuacja „Soldiers of the Mist").

Lem na scenie

Wiedeńska trupa teatralna „Narrenkastl", kierowana przez aktora Justusa Neumanna i dramaturga Josepha Hartmanna przygotowuje spektakl, oparty na powieści „Kongres futurologiczny" Stanisława Lema.

Sztuka ma zostać wystawiona w Zurychu w Szwajcarii oraz na scenach wiedeńskich.

Franz Rottensteiner

1979 (ciąg dalszy)

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1393. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Mister Hopkins, wnuk Sherlocka.* Wyd. IV. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nlb. 2. 20 000 egz.
1394. PAGACZEWSKI Stanisław: *Gąbka i latające talerze.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 222, nlb. 2. 70 000 egz. – CJSF/F.
1395. PETECKI Bohdan: *Królowa Kosmosu.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 289, nlb. 3. 20 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
1396. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] *20 000 mil podmorskiej żeglugi.* Tłum. [z franc.] Bolesław Kielski. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. VIII powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 371, nlb. 5. 80 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
1397. VERNE [Jules]: *Łowcy meteorów.* Tłum. [z franc.] Wojciech Natanson. Wyd. IV powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 214, nlb. 2. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz. – Brak nazw. tłum. i nr kolej. wyd.

Utopia (U):

1398. (?) ANDERSCH Alfred: *Spisek w Winterspelcie.* Tłum. [z niem.] Adam Kaska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 444, nlb. 4. 30 000 egz. – Współczesna Proza Światowa. – Elementy fantast.
AYMÉ M.: *Przechodzimur.* – zob. AF.
1399. CORTÁZAR Julio: *Fantomas przeciw wielonarodowym wampirom.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 74, nlb. 2. 50 000 egz.
1400. DÉRY Tibor: *Pan A. G. w X.* Tłum. [z węg.] Camilia Mondral. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 446, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1401. FUKS Ladislav: *Palacz zwłok.* Tłum. [z czes.] Janusz Anderman i Tadeusz Lis. Posłowie Bogusław Sławomir Kunda. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 145, nlb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1402. HUGHES Richard: *Orkan na Jamajce.* Tłum. [z ang.] Ariadna Demkowska-Bohdziewicz. Wstęp Władysław Kopaliński. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 279, nlb. 1. 185 000 egz. – Koliber. – Elementy fantast.
1403. [IVANOV Miron]: *Żyj jak inni i bądź błogosławiony.* Tłum. [z bułg.] Marzenna Ilieva. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 220, nlb. 3. 20 000 egz. – U/AF.
1404. MORSELLI Guido: *Divertimento 1889.* Tłum. [z wł.] Barbara Sieroszewska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 169, nlb. 3. 10 000 egz.
1405. PRZYBORA Jeremi: *CIociu, przestrasz wujka. Opowieści Starszego Pana.* Warszawa. Wyd. Radia i Telewizji. 16° ss. 220, nlb. 3 + kaseta magnetofonowa. 30 000 egz. – Większość opowiadań fantast.
1406. PRZYPKOWSKI Andrzej: *Taniec marihuany.* Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 186, nlb. 2. 30 000 egz.
1407. ROUSSEL Raymond: *Locus Solus.* Tłum. [z franc.] Anna Wolicka. Wstęp Cezary Rowiński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 291, nlb. 1. 10 000 egz. – U/ASF.
1408. SWIFT Jonathan: *Podróże do wielu odległych narodów świata w czterech częściach, przez Lemuela Gullivera, początkowo lekarza okrętowego, a następnie kapitana licznych okrętów.* Tłum. [z ang.] Maciej Słomczyński. Posłowie Juliusz Kydryński. Wyd. I pełne. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 324, nlb. 3. 50 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – Wyd. poprz. pt. „Podróże Guliwera" było nieco skrócone i w innych tłumaczeniach.
1409. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Totenhorn.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 222, nlb. 2. 15 000 egz. – Polska Proza Współczesna.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1410. [AJTMATOV Čingiz]: *Łaciaty pies biegnący brzegiem morza.* Tłum. [z ros.] Maria Okołów-Podhorska. Warszawa. Czytelnik. 32° ss. 141, nlb. 3. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Czingiz Ajtmatow.
1411. AYMÉ Marcel: *Przechodzimur.* Opowiadania. Tłum. [z franc.] Maria Ochab. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 222, nlb. 2. 160 000 egz. – Koliber. – AF/U.
1412. BELA Zbigniew: *Przygotowania do występu.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 147, nlb. 4. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1413. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Doktor Twardowski.* T. II. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 419, nlb. 1. 30 000 egz. – Stanowi cd. poz. 1214/77.
1414. CAPOTE Truman: *Miriam.* Opowiadania. Tłum. z ang. Krzysztof Zarzecki. Wyd. II skr. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 131, nlb. 4. 150 000 egz. – Koliber. – Wyd. pełne poz. 357/60 (pt. „Zatrzaśnij ostatnie drzwi").
1415. [DOSTOĖVSKIJ Fëdor]: *Opowieści fantastyczne.* Wybór, tłum. [z ros.] i posłowie Maria Leśniewska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 168, nlb. 2. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Fiodor Dostojewski.
1416. IRZYKOWSKI Karol: *Nowele.* Wyd. I w tym zest. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 397, nlb. 7. 50 000 egz. – Pisma pod red. Andrzeja Lama, t. 5. – Większość opowiadań fantast.
IVANOV M.: *Żyj... – zob. U.*
1417. JEMIELITA Bogdan: *Piękna ziemia.* Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 151, nlb. 3. 10 000 egz.
1418. KRUEGER Maria: *Godzina pąsowej róży.* Wyd. IX. Warszawa, Iskry. 16° ss. 222, nlb. 2. 50 000 egz. AF/CJF.
1419. LAMPO Hubert: *Powrót Joachima Stillera.* Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. [Oryginał holend.] Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss.152, nlb. 2. 10 000 egz.
1420. (?) MARKIEWICZ Jarosław: *Chaos wita w tobie łotra i świętego.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 145, nlb. 3. 10 000 egz. – Polska Proza Współczesna. – Elementy fantast. właśc. surrealist.
1421. NODIER Charles: *Wróżka Okruchów i inne opowieści.* Wybór, tłum. [z franc.], wstęp i koment. Joanna Guze. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 361, nlb. 3. 20 000 egz. – Większość opowiadań fantast. – AF/CJF.
PRZYBORA J.: *Ciociu... – zob. U.*
1422. ROSIŃSKI Kazimierz: *Puszysty ptak wieczoru.* Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 121, nlb. 3. 7 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast., większość surrealistyczna.
1423. TOMASZEWSKA Marta: *Podróż do krainy Om. Opowieść hipotetyczna.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 271, nlb. 1. 30 000 egz. – AF/ASF.
1424. ŻUKROWSKI Wojciech: *Białe zaproszenie i inne opowiadania.* Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 433, nlb. 3. 50 000 egz. – Wybór m.in. z „Piórkiem flaminga" i „Nieśmiałego narzeczonego".

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



film i fantastyka

HORROR
znaczy straszyć

Co roku odbywa się na świecie kilka różnych festiwali filmów fantastycznych, między innymi w Paryżu, Brukseli, Avoriaz. Myli się jednak ten, kto sądzi, że pokazywane są na nich filmy w rodzaju „Blade Runnera", „Terminatora" czy „Obcego", które oglądają fanowie SF na swoich pokazach.

Fantastyka znaczy tam przede wszystkim – horror. I tak na przykład pierwsze miejsce na festiwalu w Avoriaz zdobył w zeszłym roku „Vamp" Richarda Wenka (o charakterze tego obrazu informuje już sam tytuł), a na festiwalu paryskim „Evil Dead 2" („Diabelski nieboszczyk 2"). Oba oczywiście reprezentują gatunek, od którego wieje grozą. O pierwszym z nich napiszę innym razem, ponieważ obejrzymy go najprawdopodobniej również i w Polsce. Drugi nie został, co prawda, zakupiony, ale niewątpliwie zacznie niedługo krążyć na kasetach wideo, tak jak jego poprzednik i pierwowzór o tym samym tytule.

Pierwszą część „Diabelskiego nieboszczyka" nakręcił w 1981 roku bardzo młody wówczas – dwudziestoletni reżyser, Samuel M. Raimi. Film zaliczano do horrorów nonsensowych, które daleko odchodziły od klasycznych kanonów gatunku, zawdzięczając wiele niezwykle modnym filmom epatującym gwałtem. „Diabelski nieboszczyk" opowiada o piątce przyjaciół spędzających weekend w opuszczonym domku w górach, w którego piwnicy znajdują księgi i magnetofon. Głos z taśmy ostrzega ich, że w pobliżu znajduje się siedlisko demonów. I rzeczywiście, te ostatnie wkraczają bardzo szybko do akcji. Przeżyć uda się tylko jednemu z ludzi, którego uratuje nadchodzący poranek.

W pięć lat po sukcesie (gdyż „Diabelski nieboszczyk" odniósł sukces!) znany włoski producent Dino de Laurentiis zaproponował Samuelowi Raimiemu ekranizację powieści Stephena Kinga „Thinner" („Chudnący"). Miała to być historia o grubym jegomościu, na którego rzucono czar sprawiający, że zaczyna chudnąć, chudnąć, chudnąć i... No właśnie. Raimi zainteresował się pomysłem, ale nie mógł wyobrazić sobie, jak pokazać na ekranie zakończenie tego procesu, a nie chciał zmarnować tak ciekawej sytuacji. Wtedy to de Laurentiis zasugerował realizację drugiej części „Diabelskiego nieboszczyka" (czasem wydaje mi się, że niedługo będziemy już tylko oglądać kolejne części jakiegoś starego filmu, którego wcale już nie będziemy pamiętać).

„Diabelski nieboszczyk 2" przenosi nas po bardzo krótkim wstępie, mającym cokolwiek wspólnego ze światem rzeczywistym, w krainę gdzie wszystko (oczywiście wszystko co makabryczne) może się przydarzyć. Scenarzysta bez żenady korzysta z pomysłów, a nawet całych scen, które pojawiały się już w pierwszej części utworu. Znowu więc mamy samotny domek w górach, chociaż przyjeżdża tu tylko dwoje młodych ludzi. Ash (Bruce Campbell) znowu znajdzie tajemniczą księgę i magnetofon, z którego popłyną słowa ostrzeżenia. Jeszcze chwila sielanki, Ash gra na pianinie, jego dziewczyna Annie (Sarah Berry) tańczy i już zjawia się demon, który brutalnie ją morduje. Ale nieżywi nie są tu pozostawieni w spokoju, i nie zostawiają w spokoju innych. Dla Asha nie tyle śmierć przyjaciółki, ile jej późniejsze zachowanie będzie prawdziwym szokiem.

Wydawałoby się, że ratunek przyniesie poranek. Ale prawa natury przestają działać, dzień mija jak mgnienie oka i cała zabawa zaczyna się od nowa.

Przez znaczną część filmu Ash pozostaje w domu sam na sam ze złym, który wciela się w kolejne przedmioty, a nawet opanuje dłoń bohatera. Ta ostatnia staje się też jego wrogiem. Pojedynek między Ashem a jego ręką jest jedną z najbardziej udanych scen filmu. Ale finał ma tragiczny i ponury – wroga trzeba się pozbyć przez odrąbanie. Po tym zabiegu ręka żyje jednak nadal własnym życiem...

Przez cały czas domek nawiedzają niszczące, demoniczne siły i choć widzowi zdaje się, że wszystkie drzwi i okna zostały już wyłamane, zawsze znajdzie się coś nowego do zdemolowania. Krew leje się strugami, demony przybierające postać materialną mają chyba wzbudzać obrzydzenie nie strach. Nonsensowność scen sprawia, że najczęstszą reakcją widza jest śmiech (lecz trzeba tu dodać, że jest to reakcja przez reżysera założona).

W filmie widać parę niezłych pociągnięć – atakujący ludzi las, taniec kościotrupa Annie będący powtórzeniem sceny sprzed śmierci, czy wspomniana już scena z ręką, ale wszystko to ginie w zalewie krwi, bzdury i wreszcie nudy!

Gdy realizatorom wyczerpują się pomysły, sprowadzają na miejsce akcji kolejnych gości. I znowu wszystko może się zacząć od nowa. Bronią przeciwko potworom z zaświatów mają być słowa starożytnej księgi, ale sama magia nie wystarcza. Kiedy Ash szykuje się do końcowego pojedynku – wygląda jak karykatura Sigourney Weaver ruszającej do ostatniego starcia. Tyle tylko, że jego broń jest bardziej zgodna z wymaganiami horroru – głównym narzędziem staje się piła elektryczna, która zresztą była używana już wcześniej.

Z kina wyszłam, jak zresztą i pozostali widzowie, raczej przygnębiona niż przestraszona. Przerażające jest jedynie to, że sądząc z ostatniej sceny realizatorzy szykują się już do kręcenia „Diabelskiego nieboszczyka 3".

Dorota Malinowska

DIABELSKI NIEBOSZCZYK 2 (Evil Dead 2). Reżyseria Sam Raimi. Scenariusz: Sam Raimi i Scott Spegel. Zdjęcia: Peter Deming. Obsada: Bruce Campbell, Sarah Berry, Dan Hicks, Kassie Wesley, Theodore Raimi, Denise Bixler. Australia 1987.

Rocznice

Rok 1987 obfitował w okrągłe rocznice w kinie SF. „Jamesowi Bondowi" stuknęło 25 lat, „Gwiezdne wojny" szczycą się 10-letnią tradycją, „Śpiąca królewna" ma już 50 lat.

Zyski

Stosowanym niekiedy kryterium oceny filmów (choć na szczęście nie jedynym) jest obliczanie, czy i ile dany obraz zarobił. Oto lista najbardziej kasowych filmów w historii kina SF w kolejności zysków (w nawiasie podajemy rok produkcji): 1. E.T. (1982), 2. Gwiezdne wojny (1977), 3. Powrót Jedi (1983), 4. Imperium kontratakuje (1980), 5. Bliskie spotkania trzeciego stopnia (1977/80), 6. Superman I (1978), 7. Superman II (1980), 8. Gwiezdna wędrówka I (1979) 9. Obcy – ósmy pasażer Nostromo (1979), 10. Gwiezdna wędrówka II (1982), 11. Gwiezdna wędrówka III (1984), 12. Młody Frankenstein (1974), 13. Gry wojenne (1983), 14. Superman III (1983), 15. Moonraker (1979).

Warto zauważyć, że całą pierwszą piątkę oglądaliśmy na polskich ekranach. „Odyseja kosmiczna 2001" (1968) znajduje się na tej liście na dwudziestej trzeciej pozycji. „Elektroniczny morderca" (1984) na trzydziestej pierwszej, a „Blade Runner" (1982) na trzydziestej siódmej.

D.M.

fantastyka

